

ZWIADOWCY

KSIĘGA 15



ZAGINIONY KSIĄŻĘ

JOHN FLANAGAN

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 15

ZAGINIONY
KSIĄŻĘ



Tłumaczenie Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *Rangers Apprentice. The Royal Ranger. The Missing Prince.*
First published Random House Australia Pty Limited, Sydney, Australia
This edition published by arrangement with Random House Australia
Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

Redakcja: Justyna Techmańska
Korekta: Dorota Piekarska, Renata Kuk
Skład i łamanie: Robert Majcher

ISBN oprawa miękka 978-83-7686-931-5

Copyright © John Flanagan 2020
All rights reserved.

Cover illustration by Jeremy Reston
Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © 2020 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2020

SPIS TREŚCI

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

W serii

*Pamięci mojego brata, Petera Flanagan,
1940–2019*



Sierp księżyca schował się właśnie za zachodni horyzont, gdy spomiędzy drzew wyłoniło się dziesięciu jeźdźców. Jechali przed siebie, dopóki nie znaleźli się na szczycie wzgórza, z którego rozpościerał się widok na Zamek Araluen. Jeździec pośrodku uniósł dłoń w geście nakazującym zatrzymanie się. Grupa konnych ściągnęła wodze, by przyjrzeć się zamkowi. Konie parsknęły niecierpliwie – wyczuwały, że ta potężna budowla oznacza schronienie, wodę i paszę.

Jeździec po prawej tego, który dał sygnał, pochylił się w siodle, uważnie studiując teren, który przyjdzie im pokonać. Stok opadał łagodnie, a potem znowu zaczynał się wznosić. Gdzieś tam porastały go kępy drzew, tu i ówdzie widniały cieniste altany, ale nie zapewniały one schronienia. Każdy obserwator bez trudu dostrzeże jeźdźców.

Zawsze należało zakładać, że istnieje jakiś obserwator. Teraz jednak błonia wydawały się całkowicie puste. Jeśli ktoś miałby ich obserwować, byłby to człowiek z zamku, tam zaś spodziewano się tej niewielkiej grupki uzbrojonych mężczyzn.

Większość okien była ciemna – nic dziwnego, zważywszy na późną porę. Wzdłuż murów, w regularnych odstępach, ustawiono kosze z żarem, zaś po obu stronach bramy, zamkniętej teraz i zaryglowanej w ochronie przed intruzami, migotały pochodnie.

– Wszystko wydaje się w porządku, panie – ocenił cicho jeździec.
Mężczyzna obok niego skinął głową.

– Tego bym się spodziewał, nawet jeśli nie wszystko jest w porządku.

Obaj mówili po galijsku. Po chwili na murach powyżej ogromnej bramy i mostu zwodzonego wywieszono latarnię, która zalała żółtym światłem granitowe ściany.

– A oto i sygnał – powiedział przywódca. Odwrócił się do jeźdźca po prawej stronie. – Odpowiedz im, Julesie.

Mężczyzna, do którego się zwrócił, miał przygotowaną podpałkę i krzesiwo, a także latarnię przypiętą do siodła. Potrzebował chwili, by rozpaść garść podpałki i przysunąć płomyk do knota. Potem zamknął szybkę zrobioną z niebieskiego szkła i podniósł wysoko latarnię, a niebieski blask oświetlił małą grupę.

Kilka sekund później światło na murach zamku poruszyło się powoli z lewej w prawą i z powrotem, po czym powtórzyło ten ruch trzy razy.

– To oznacza, że droga wolna – oznajmił przywódca. Szturchnął ostrogami konia i ruszył naprzód. Pozostali jeźdźcy podążyli za nim, rozdzielając się na dwie kolumny za przywódcą i rycerzem, który odezwał się jako pierwszy.

Poruszali się wolnym kłusem, kopyta koni prawie bezdźwięcznie uderzały w miękką ziemię. Kiedy znaleźli się u stóp zamkowego wzgórza i ruszyli pod górę, wierzchowce nieco zwolniły, więc jeźdźcy musieli je pogonić. Usłyszeli głośny klekot ogromnego mechanizmu, a na szczycie bramy pojawiła się świetlista szpara, coraz szersza, w miarę jak most zwodzony opuszczał się coraz niżej.

Wielkie przesło uderzyło z łoskotem o ziemię, gdy jeźdźcy byli od niego oddaleni o jakieś trzydzieści metrów. Widzieli, że krata nie została jeszcze podniesiona i zagraża wjazd na zamkowy dziedziniec. Jeźdźcy na przedzie grupy zbliżyli się do krawędzi mostu i zatrzymali konie.

Z małej furtki z boku kraty wyszedł mężczyzna w zbroi, z halabardą i długim mieczem u pasa. Kiedy nieco się zbliżył, jego zbroja zaśniła lekko w świetle pochodni po obu stronach przejścia.

Przywódca jeźdźców popatrzył na potężne ciemne ściany wznoszące się nad nim. Nie miał wątpliwości, że znajdują się w zasięgu strzału kilku łuczników uzbrojonych w długie łuki, jakich

używano w Araluenie zamiast kusz. Z pewnością byli strzelcami wyborowymi.

Zbrojny zatrzymał się o kilka metrów od oddziału.

– Czy znacie hasło? – zapytał cicho.

Jeździec na czele poprawił się lekko w siodle.

– *Pax inter reges* – powiedział w starożytnym języku. „Pokój między królami”.

Wartownik skinął głową, odwrócił się w stronę zamku i podniósł prawą rękę, dając sygnał żołnierzom przy kracie. Potężna konstrukcja powoli zaczęła się podnosić przy akompaniamencie szczęki łańcucha w wartowni. Kiedy znalazła się dostatecznie wysoko, zbrojny gestem zaprosił jeźdźców do środka.

– Możecie wjechać – powiedział.

Kopyta koni zadudniły na deskach mostu, gdy jeźdźcy, nadal w dwóch kolumnach, ruszyli przed siebie stępą. Na brukowanym dziedzińcu odgłos kopyt rozbrzmiewał już inaczej. Z obu stron obserwowali ich uzbrojeni żołnierze. Jeden z nich, z insygniami sierżanta, wskazał drzwi donżonu, masywnej kamiennej budowli wznoszącej się pośrodku dziedzińca. Kiedy to zrobił, wrota na parterze otworzyły się, a zza nich wylała się złocista poświata pochodni.

Nowo przybyli podjechali w tamtym kierunku i zsiadli z koni, które oddali w ręce czekających w gotowości służących, by je nakarmili i oporządzili. Przywódca grupy przycisnął dłoń do krzyża. Odzwyczaj się już od tak długiej jazdy, a teraz miał za sobą czterogodziną podróż.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, wyszedł na dziedziniec i skłonił się lekko. Siwowłosy i dystyngowany, miał na sobie eleganckie i kosztowne ubranie.

– Witamy w Zamku Araluen. Jestem lord Anthony, królewski szambelan – powiedział. Ton jego głosu był neutralny, ani zachęcający, ani wrogi. Gość skinął mu głową w milczeniu. Anthony odsunął się na bok i gestem wskazał drogę. – Proszę tędy.

Przywódca grupy wspiał się po schodach, a szambelan ruszył za nim, trzymając się z boku. Pozostali poszli w ich ślady.

Kiedy znaleźli się w jasno oświetlonej wielkiej sali donżonu, szambelan przyjrzał się dowódcy. Był niższy od Anthony’ego o dobre

pięć centymetrów i delikatnie zbudowany. Elegancko skrojony kaftan ze skóry w kolorze ciemnej zieleni nie mógł ukryć jego braku kondycji fizycznej. Miał wąskie ramiona i odrobinę wystający brzuch, a do tego się garbił. U lewego boku nosił bogato zdobiony miecz, u prawego – wysadzany klejnotami sztylet.

Anthony stwierdził, że nawet tak wspaniała broń, nie czyni z tego mężczyzny wojownika. Inna rzecz, że wiedział to już w momencie, kiedy uprzedzono go o tej wizycie.

Rzucił szybkie spojrzenie pozostałym gościom. Wszyscy z wyjątkiem jednego byli wyżsi od przywódcy, muskularni i dobrze zbudowani. Oto prawdziwi wojownicy. Mężczyzna, który wyróżniał się na tle grupy, musiał być spokrewniony z dowódcą – byli podobnie zbudowani i tego samego wzrostu. Anthony zauważył, że przywódca zawahał się, nie wiedząc, w którą stronę ma iść. Szambelan szybko wskazał szerokie schody prowadzące na wyższe piętra donżonu.

– Komnaty króla Duncana znajdują się na pierwszym piętrze – powiedział, a drobny mężczyzna znowu ruszył przodem. – Król wyraża ubolewanie, że nie mógł powitać gości tu na dole, sir. Kolano nadal mu dokucza, więc chodzenie po schodach sprawia mu trudność.

Gość prychnął pogardliwie.

– Czyli nadal jest kulawy, tak?

Szambelan uniósł brew, słysząc obelgę wypowiedzianą tonem pełnym wyższości. Nawet ze sztywnym kolanem Duncan pozostawał wojownikiem. Mógłby w każdej chwili sprać eleganckiego gościa na kwaśne jabłko.

– Może już jeździć konno i codziennie spaceruje z psami – odparł, starając się ukryć poirytowanie.

– Ale jak widać, nie może zejść po schodach – odparł mężczyzna.

Tym razem Anthony pozwolił sobie na okazanie niezadowolenia. Zatrzymał się i odwrócił do gościa.

– Nie. Ale jeśli to wam przeszkadza, sir, możemy w każdej chwili odwołać spotkanie. – Spojrzał wyniosłemu mężczyźnie prosto w oczy i nie odwracał wzroku. Pomyślał, że ten nadęty bałwan przyjechał tu prosić o przysługę, więc powinien umieć się zdobyć na odrobinę pokory.

Przez kilka sekund mierzyli się spojrzeniem, aż w końcu gość poddał się, lekceważąco wzruszając ramionami. Anthony pomyślał, że to typowe galijskie zachowanie.

– To nieważne – stwierdził w końcu. – Możemy wejść na górę.

Ruszył po schodach, zaś Anthony, odczuwając lekki przypływ satysfakcji, poszedł tuż za nim. Na szczycie kamiennych schodów wskazał w lewą stronę.

– Proszę tędy, sir.

Znaleźli się pod potężnymi drzwiami, których strzegło dwóch zbrojnych. Na widok zbliżających się mężczyzn stanęli w gotowości i zagrodzili drogę długimi halabardami.

– Obawiam się, że wasi ludzie muszą poczekać, sir – powiedział Anthony.

Drobny mężczyzna skinął głową. Ostatecznie tego należało się przecież spodziewać.

– Może wam towarzyszyć jedna osoba – dodał szambelan.

Gość wskazał mężczyznę, który był do niego podobny.

– Pójdzie ze mną mój brat Louis – oznajmił. Skinął na pozostałych. – Wy zaczekacie tutaj.

– To nie będzie konieczne. Przygotowaliśmy posiłek w komnacie obok – zapewnił Anthony i zawołał: – Thomas!

W korytarzu otworzyły się dalsze drzwi, z których wyłonił się służący w liberii. Skłonił się lekko i zaprosił gości do jasno oświetlonej komnaty.

Przywódca skinął głową, więc ośmiu wojowników podążyło tam, gdzie czekały na nich jedzenie i napoje. Wartownicy rozstąpili się i stanęli na baczność. Anthony zapukał do drzwi.

– Wejść – rozległ się głos ze środka.

Anthony wprowadził dwóch gości do gabinetu króla.

Duncan siedział za dużym stołem.

– Wasza Wysokość – odezwał się szambelan. – Przybyli król Philippe z Gallii oraz jego brat, księżę Louis.

Duncan, król Araluenu, podniósł się z miejsca i obszedł stół, by przywitać gości.

– Witam w Araluenu – powiedział, wyciągając rękę.

Philippe uścisnął jego dłoń.

– Dziękuję, że zechcieliście nas przyjąć – odparł.

Duncan zbył te słowa wzruszeniem ramion.

– Powinniśmy zawsze być gotowi pomagać przyjaciołom. – Skinął głową drugiemu z mężczyzn. – Książę Louisie – powiedział.

Królewski brat skłonił się z gracją.

– Wasza Wysokość – odparł i wyprostował się.

Duncan przyjrzał się mężczyznom. Byli wyraźnie zmęczeni po podróży i pokryci pyłem z drogi.

– Jest już późno, a wy przybywacie z daleka. Na pewno jesteście znużeni i głodni.

Philippe lekko wyduł wargi i skinął głową.

– To był ciężki dzień – przyznał.

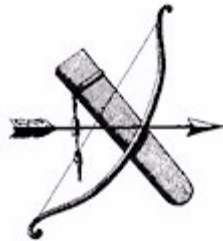
– Wasze komnaty są już przygotowane. Zaraz przyślę tam jedzenie i napoje, a także gorącą wodę do kąpieli, jeśli chcecie się odświeżyć. Wyśpijcie się dobrze, porozmawiamy rano.

Philippe po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Będziemy za to niezwykle wdzięczni. Mamy wiele do omówienia.

Duncan przechylił głowę na bok.

– Nie wątpię – odparł.





Stary, poobijany wiejski wóz pilnie wymagał odmalowania. Drewniana półka prawego koła całkiem wyschła, ponieważ smar wytarł się dawno temu, i skrzypiała teraz w regularnym rytmie – irytujący dźwięk skłaniał wszystkich do zaciśnięcia zębów. Najwyraźniej nie przeszkadzało to staremu farmerowi, który jechał na wozie. Siedział przygarbiony na koźle i cmokał językiem, by pogonić muła zaprzęgniętego w hołoble.

Muła nieustannie należało poganiać. Był uparty i marudny, jak większość jego pobratymców, zaś wóz był ciężki i zapakowany zbiorami z farmy. Dno wypełniały snopy pszenicy i jęczmienia, a także worki ziemniaków, warkocze cebuli i osiem czy dziewięć dorodnych dyń. Z tyłu, głowami w dół, wisiało dziewięć ubitych tłustych kaczek, chwiały się, gdy drewniane koła podskakiwały i kołysały się na wybojach kolein. Ptaki miały oczywiście zostać sprzedane na mięso, ale ich pióra także były cenne jako materiał do wypychania poduszek. Ta podwójna wartość znajdowała odzwierciedlenie w cenie, jaką farmer mógł dostać za nie na targu.

Za wozem, przywiązane do tylnej osi, dreptały dwie młode owce – baran i maciora. Były najcenniejsze z tego, co farmer zabierał na targ. Baran mógł zostać wykorzystany do rozrodu, zaś runo maciora już teraz było grube i gęste. Kiedy podrośnie, będzie w każdym sezonie dostarczać dużo wełny.

Farmer był drobnym mężczyzną, a kiedy się pochylał na koźle, sprawiał wrażenie przygniecionego wiekiem i latami ciężkiej pracy. Sądząc jednak z jakości i ilości produktów wiezionych na targ, jego

trud się opłacał. Nosił starą połataną koszulę, a na głowę nasunął bezkształtny słomiany kapelusz. Spodnie były z szorstkiej wełny, przędzionej w domu, a buty ze skóry – stare, ale dobrze utrzymane. W czasach, gdy większość ludzi na wsi mogła pozwolić sobie tylko na drewniane chodaki wypchane sianem, te buty stanowiły dowód zapobiegliwości i dobrobytu – podobnie jak jakość produktów na wozie.

Droga wspięła się na niewielkie wzgórze, a otwarte pola po obu stronach powoli zaczęły ustępować miejsca gęstemu lasowi, w którym głębokie cienie drzew ukrywały każdego, kto mógłby obserwować trakt.

A teraz właśnie ktoś go obserwował. Dokładnie czterech ktosiów przyglądało się poskrzypującemu wozowi, który toczył się powoli wśród drzew. Po obu stronach drogi rozciągało się jeszcze osiem czy dziewięć metrów otwartej przestrzeni, dalej zaś zaczynała się ściana lasu. Farmer spojrzał obojętnie na mroczne cienie po bokach drogi i poprawił się na koźle, żeby znaleźć wygodniejszą pozycję. Nic nie wskazywało, by zauważył wśród drzew milczących obserwatorów.

Przywódcą grupy był przysadzisty, około trzydziestoletni brodac. Miał proste ubranie – kaftan i domowej roboty spodnie – a także płaszcz z niedźwiedziej skóry. Kaptur zrobiono z łba niedźwiedzia. Na pierwszy rzut oka wyglądało to imponująco i groźnie – jakby warczący pysk znajdował się tuż nad brodatą, brudną twarzą mężczyzny. Jeśli jednak ktoś przyjrzałby się uważniej, dostrzegłby bez wątpienia, że niedźwiedź w chwili śmierci nie był w najlepszej formie. Jeden z kłów był ułamany w połowie, a w licznych miejscach, gdzie futro się wytarło, prześwitywały łyse placki skóry. Ten opłakany stan płaszcza i kaptura nie przeszkadzał jego właścicielowi. Sam siebie nazywał Bartonem Niedźwiedziobójcą i zyskał w okolicy złą sławę jako przywódca bandy rabusiów napadających na prostych ludzi – farmerów i mieszkańców pomniejszych wiosek.

Barton siedział na niskiej gałęzi drzewa i przyglądał się skrzypiącemu wozowi. Z irytacją spojrzał w dół, gdy jeden z jego ludzi pociągnął go za nogę.

– Co jest? – zapytał nieprzyjemnym szeptem. Mężczyzna, który nazywał się Donald, uśmiechnął się głupkowato i wskazał wóz.

– Sporo dobra tam wiezie – powiedział. Ponieważ samozwańczy niedźwiedziobójca nie odpowiadał, Donald kontynuował: – Skoczmy tam je zabrać?

– Po co mielibyśmy to robić? – zapytał Barton.

Donald energicznie wzruszył ramionami i przewrócił oczami.

– Pszenica, pyry, dyńki, kaczki i owce – wyjaśnił, jakby Barton sam tego nie widział. – Ładny grosz można by za to dostać – podsumował.

Barton potrząsnął głową i skrzywił się szyderczo.

– Po co mielibyśmy sobie dokładać roboty? – Wskazał ruchem głowy przygarbionego farmera. – Zaczekamy, aż on je sprzeda za nas.

Donald popatrzył w stronę wozu, skinął głową, ale zaraz zmarszczył brwi.

– No ale – zaczął – wtedy ich nie zabierzemy, co nie? Skoro je sprzeda, to nie będzie ich miał.

– Nie – odparł z naciskiem Barton. – Będzie miał pieniądze, które za nie dostał. Śliczne monetki robiące dzyń-dzyń.

Na brudnej, nieogolonej twarzy Donalda powoli pojawił się wyraz zrozumienia.

– A my mu zabierzemy te dzyń-dzyńki – domyślił się.

Barton z teatralną przesadą pokiwał głową.

– Tak właśnie zrobimy. Zabierzemy mu je.

Donald uśmiechnął się, ale jego uśmiech zbladł, gdy dostrzegł kolejny problem.

– Kiedy? – zapytał. – Kiedy mu je wszystkie zabierzemy?

– Po południu, kiedy będzie wracać z targu – wyjaśnił Barton.

Donald znowu się uśmiechnął, zaczynając pojmować plan przywódcy.

– Będzie tędy wracać z wszyściutkimi pieniążkami...

– A my je zabierzemy – potwierdził Barton.

Uśmiech Donalda stał się szerszy, gdy opryszek wyobraził sobie scenę, jaka miała się rozegrać po południu.

– To mu się nie spodoba, no nie? – powiedział i zarechotał ochryple.

Barton skinął głową, aż zakołysał się kaptur jego płaszcza.

– Ani odrobinę mu się nie spodoba – przyznał. – Ale czy my się tym przejmujemy?

Donald zatańczył w miejscu.

– Ani odrobinę się nie przejmujemy.

Popatrzył za wozem, który zniknął za drzewami na zakręcie traktu. Jeszcze przez minutę czy dwie słyszeli w oddali skrzypienie kół, ale potem nawet ten dźwięk ucichł.

Barton spojrzał na słońce.

– Możemy trochę odpocząć – stwierdził. – On będzie wracać dopiero za kilka godzin.

Zeskoczył z gałęzi i znalazł kępę długiej, miękkiej trawy po drugiej stronie drzewa. Położył się wygodnie i nasunął niedźwiedzią maskę na oczy, żeby je osłonić. Pozostali członkowie bandy – Jednooki Jem i Walter Blizna – poszli w jego ślady i ułożyli się na miękkiej ziemi. Donald patrzył na nich przez chwilę, zastanawiając się, czy może zrobić to samo. Powstrzymał go jednak głos Bartona.

– Ty stój na straży – oznajmił szorstko. – Może przejeżdżać jeszcze jakiś farmer.

Donald, lekko rozczarowany, skinął głową. Trawa była gęsta i wyglądała na chłodną i miękką.

– Tajest – powiedział. – Będę stać na straży



Dopiero po południu skrzypiące koło obwieściło powrót wozu. Rytm poskrzypywania stał się teraz szybszy, ponieważ pusty wóz poruszał się z większą łatwością niż wcześniej. Muł truchtał przed siebie, machając z zadowoleniem ogonem. Wolał ciągnąć lekki wóz niż tak ciężki, jak rano, a poza tym wracał teraz do wygodnej stodoły i worka pełnego obroku. Farmer jak poprzednio siedział na koźle, a na pustym dnie wozu leżały tylko trzy płócienne woreczki.

Wóz zniknął obserwatorom z oczu w niewielkiej kotlinie, przez którą biegła droga. Barton pospiesznie skinął na Jema i Waltera.

– Na drugą stronę drogi – polecił. – Donald i ja zaczekamy tutaj. Nie pokazujcie się, dopóki go nie zatrzymamy.

Pomagierzy nie przypomnieli, że przez ostatnie tygodnie robili to tuziny razy i nie potrzebowali instrukcji. Nie było sensu mówić

takich rzeczy Bartonowi, który niezależnie od nastroju miał wybuchowy temperament. Przykucnięci, chociaż wóz nie pojawił się jeszcze w polu widzenia, przebiegli przez wąski trakt i schowali się pomiędzy drzewami. Obaj byli uzbrojeni – Jem miał własnej roboty włócznię, zaś Walter ciężką, nabijaną kolcami maczugę.

Barton również wyciągnął swoją maczugę zza drzewa, pod którym spał, i gestem nakazał, by Donald się schował.

– Nie pokazuj się – rozkazał. – Czekaj, aż cię zawołam.

Donald skinął kilka razy głową i wbiegł, pochylony, pomiędzy drzewa. Słońce było teraz niżej na niebie, a cienie w lesie stały się głębsze. Barton popatrzył za nim i skinął głową z ponurą aprobatą. Jeśli się nie wypatrywało obszarpanego rabusia, nie dało się go zauważyć.

Skrzypienie stało się głośniejsze. Barton wyrzwał ostrożnie zza drzewa. Wóz wyłonił się z kotliny i był teraz odległy zaledwie o trzydzieści metrów. Farmer wydawał się nieświadomy obecności uzbrojonej bandy. Barton uśmiechnął się złowieszczo.

– No to ma pecha – mruknął.

Nie zaskakiwało go, że tak łakoma zdobycz podróżuje samotnie traktem. Wraz ze swoimi ludźmi od trzech tygodni napadał na farmerów jadących lub wracających z targu. Większość z nich zaczęła teraz stosować środki ostrożności – podróżowali w grupach lub zatrudniali uzbrojonych strażników jako eskortę. W takich przypadkach rabusie przepuszczali farmerów bez zatrzymywania. Barton mógł pozować na nieustraszonego niedźwiedziobójcę, ale nie zamierzał nadstawiać karku w potyczce ze zbrojnymi. Nie w sytuacji, gdy nadal trafiali się głupcy podróżujący samotnie, tacy jak ten tutaj.

Pomyślał, że samotni podróżni pojawiali się jednak coraz rzadziej. Powinien niedługo przenieść się wraz ze swoimi ludźmi w nowe miejsce. Planował to od kilku dni. Teraz jednak ta bogata zdobycz sprawiała, że zwłoka mu się opłacała.

Wóz był oddalony o dziesięć metrów, gdy Barton wyszedł zza drzewa i stanął na skraju drogi. Kilka razy machnął maczugą, pozwalając, by potężna głownia ze złowieszczym świstem przecięła powietrze.

– Stać! – ryknął, unosząc drugą rękę w oczywistym geście nakazującym zatrzymanie się.

Farmer ściągnął lejce, a muł zatrzymał się, machając ogonem i tupiąc przednią nogą. Marzył już o worku obroku, a teraz stało się jasne, że posiłek pojawi się z opóźnieniem. To wystarczyło, by wzbudzić niezadowolenie muła, który z natury był kapryśny.

– Wielkie nieba, cóż my tutaj mamy? – odezwał się spokojnie farmer.

Jego dobór słów i akcent nie przypominały prostej wiejskiej gwary, jakiej należałoby oczekiwać od zwykłego farmera. To powinno obudzić czujność Bartona. Jednak rabuś był zbyt zadowolony z siebie, żeby silić się na ostrożność. Widok wypchanych woreczków na wozie, bez wątpienia pełnych monet, całkowicie wystarczył, by przestał uważać.

– Jestem Barton Niedźwiedziobójca! – zakrzyknął, wskazując pysk niedźwiedzia na swojej głowie. To zazwyczaj wystarczało, by jego ofiary ogarnęło przerażenie. Tym razem jednak nie wywarł efektu, jakiego się spodziewał.

Farmer pochylił się na koźle i z zainteresowaniem przyjrzał niedźwiedziej masce.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś tego niedźwiedzia? – zapytał bez pośpiechu.

Barton zawahał się na sekundę czy dwie, zaskoczony brakiem lęku u swojej ofiary. Potem otrząsnął się, uniósł broń i zamachał nią nad głową.

– Tak właśnie! Zabiłem go jednym ciosem tej maczugi – warknął.

Farmer przypatrzył się uważniej i podrapał po uchu, zanim odezwał się znowu.

– Jesteś pewien?

Barton był naprawdę zdumiony. Ta rozmowa nie tak powinna się toczyć.

– Co takiego? – zapytał w końcu z niedowierzaniem.

Farmer wskazał niedźwiedzią maskę.

– Jesteś pewien, że nie był już zdechły, kiedy go znalazłeś? – zapytał. – Sam popatrz, trudno powiedzieć, że był w szczytowej formie. Jeśli nie był już martwy, z pewnością znajdował się jedną nogą w grobie. Ty po prostu skróciłeś jego męki i odesłałeś go w lepsze miejsce.

– To był... to... ja... – zająknął się Barton, próbując sformułować odpowiedź. W rzeczywistości niedźwiedź przeżył długie życie i odszedł ze starości, zanim bandyta go znalazł. Jednakże nikt wcześniej nie kwestionował przechwałek rabusia. Frustracja i wściekłość w końcu wzięły górę, a on odzyskał głos. – Oczywiście, że go zabiłem! – oznajmił. – Zaatakował mnie, a ja go zabiłem. Dlatego jestem znany jako Barton Niedźwiedziobójca.

Farmer nie wydawał się przekonany.

– Hmm – powiedział z namysłem. – Jesteś pewien, że nie nazywają cię „Barton Zadek Zdechłego Misia”? Przecież na górze masz niedźwiedzi łeb, a ty jesteś pod spodem. To by lepiej pasowało.

To było zbyt wiele dla zmieszanego rabusia. Nikt wcześniej mu się tak nie sprzeciwiał. Nikt wcześniej nie drwił sobie z niego. Nie zamierzał tego znosić. Zrobił krok w stronę wozu i uniósł groźnie maczugę.

– Złóż tutaj! – rozkazał. – Rzuć mi te woreczki i złóż tutaj, albo rozwalę ci łeb!

Farmer popatrzył na niego kpiąco i przechylił głowę na bok.

– Nie sądzę – odpowiedział.

Barton wydał ryk wściekłości i postąpił krok w stronę wozu, gotów zmieść bezczelnego farmera z jego siedzenia. Zanim jednak zdążył to zrobić, mężczyzna podniósł rękę i zatoczył nią koło w powietrzu.

Jakąś sekundę później Barton poczuł gwałtowne szarpnięcie, kiedy niedźwiedzia maska została zerwana z jego głowy i przypięta do drzewa drżącą strzałą.





A zatem, królu Philippe, w czym moglibyśmy wam pomóc?
Grupa Gallów przybyła do Zamku Araluen koło północy, teraz zaś był już ranek, a Philippe i jego brat ponownie pojawili się w gabinecie Duncana. Przy rozmowie byli również obecni szambelan Anthony, a także wysoki, barczysty rycerz, który przedstawił się jako sir Horace, zięć Duncana i dowódca aralueńskiej armii. Wszyscy zasiedli przy stole króla. Szósty mężczyzna, ubrany w dziwną pelerynę w szaro-zielone cętki, siedział na uboczu, jakby starał się nie rzucić w oczy. Philippe musiał odwracać głowę, żeby mu się przyjrzeć. Został przedstawiony jako Gilan, dowódca aralueńskich zwiadowców. Philippe wiedział, że ten mężczyzna jest powodem wizyty Gallów, więc oglądał się co chwila na milczącego zwiadowcę.

– Chodzi o mojego syna, Gilesa – oznajmił, przechodząc od razu do rzeczy. – Jest przetrzymywany jako zakładnik przez jednego z moich baronów.

Duncan przechylił głowę z namysłem. To była poważna sprawa i nie wróżyła dobrze Gallii, krajowi znanemu z niestabilnej sytuacji politycznej, w którym często zdarzały się bunty i właśnie wśród arystokracji. Philippe przez ostatnie dziewięć lat musiał zmagać się z tą trudną sytuacją po tym, jak zorganizowana przez niego rewolta wyniosła go do władzy.

Z drugiej strony dla Araluen nie była to najgorsza wiadomość. Targana wewnętrznymi niepokojami Gallia nie stanowiła zagrożenia dla innych krajów. Wiele lat temu liczny i potężny naród

zachowywał się agresywnie i nieprzewidywalnie, zagrażając sąsiadom i szukając nowych ziem do podbicia. Obecna sytuacja oznaczała, że Gallowie byli zbyt zajęci własnymi problemami, by kierować wzrok poza granice kraju.

– Jak to się stało? – zapytał Duncan. – I kim jest ten baron?

– To Lassigny, baron Joubert de Lassigny. Jego zamek nazywa się Chateau des Falaises i jest potężną fortecą – powiedział Philippe.

Duncan rzucił szybkie spojrzenie Anthony’emu, a szambelan odpowiedział dyskretnym skinieniem głowy. Słyszał o Joubercie de Lassigny. Do jego obowiązków należało zbieranie informacji o ambitnych arystokratkach w Araluen i za granicą, którzy mogliby stanowić zagrożenie dla trwającego pokoju.

– To właśnie on porwał twojego syna? – upewnił się Duncan.

– Nie zrobiłby tego otwarcie – odparł Philippe. – Raczej wykorzystał nadarzącą się okazję. Mój syn był na polowaniu w prowincji Lassigny, kiedy zerwała się gwałtowna burza. Wraz ze swoją drużyną postanowił schronić się w Chateau des Falaises. Niestety Giles jest jeszcze młody i nie doceniał ambicji Lassigny’ego, pragnącego większej władzy. Oddając się w jego ręce, dał mu ogromną przewagę i szansę na wzmocnienie pozycji.

Anthony pochylił się nad stołem.

– Czy Lassigny wysunął jakieś pogroźki wobec syna Waszej Wysokości?

Philippe potrząsnął głową z gorzkim uśmiechem.

– Jest na to za sprytny. Wie, że gdyby zaczął mi grozić, mógłbym poprosić o pomoc innych baronów i zmusić go do wydania Gilesa. Utrzymuje, że Giles postanowił bezterminowo pozostać w Chateau des Falaises z własnej woli. Pozostali baronowie są gotowi uwierzyć mu na słowo i nie wtrącać się w tę sprawę. Żaden z nich nie jest szczególnie lojalny wobec korony – oznajmił z niezadowoleniem. – To potężna forteca, a moje siły nie wystarczą do jej sforsowania. Potrzebowałbym cztery razy więcej ludzi. Poza tym, gdybym zaatakował Lassigny’ego, groziłby mi bunt innych baronów. Wiem, że kilku szuka tylko pretekstu, by powstać przeciwko mnie.

– Czy Lassigny ma jakieś konkretne żądania? – zapytał Horace. – Czy wyznaczył cenę za zwolnienie waszego syna?

Król Gallii znowu potrząsnął głową.

– Nie powiedział niczego bezpośrednio. Od wielu lat stara się o przejęcie władzy w prowincji sąsiadującej z jego ziemiami. Baron, który nią władał, zmarł kilka lat temu, a Lassigny od tamtego czasu ma na nią zakusy.

Umilkł, a głos zabrał jego brat.

– Zmarły baron nie pozostawił następcy, więc Lassigny zgłosił swoje prawa do tych ziem – powiedział Louis. – To bogata prowincja, dzięki której miałby jeszcze większą władzę niż obecnie.

– Wydawało mi się, że król może wyznaczyć na nowego barona tej prowincji, kogo tylko zechce – zauważył Horace. Taki właśnie zwyczaj panował w Araluen, ale najwidoczniej nie w Gallii.

– Chciałbym, żeby tak było – odparł Philippe. – Jednakże Lassigny ma pewne prawa do tego tytułu, chociaż bardzo wątpliwe. Sto lat temu te prowincje tworzyły baronię, zanim zostały podzielone przez jednego z moich poprzedników, być może dlatego, że stanowiły potężną bazę, co mogło zagrozić jego pozycji. W radzie baronów są osoby, które popierają roszczenia Lassigny’ego. Bez wątplenia spodziewają się jakiegoś rodzaju nagrody, gdy ich racje zostaną uznane.

– I całkowitym przypadkiem przypomniał o tych roszczeniach ponownie, akurat wtedy, gdy twój syn znalazł się w jego rękach? – zapytał Duncan.

Philippe odwrócił się do niego.

– Właśnie tak. Nie powiedział niczego wprost, ale jest całkowicie jasne, o co mu chodzi. Jeśli dostanie tytuł barona sąsiedniej prowincji, Giles będzie mógł wrócić do domu.

– Rozumiem, na czym polega problem – powiedział Duncan z namysłem. – Ale nie jestem pewien, jakiej pomocy moglibyśmy udzielić. Nie możemy przecież wysłać wojska do Gallii, by pomóc przywołać Lassigny’ego do porządku. To byłaby zbyt poważna prowokacja dla innych baronów. Sam mówisz, że wielu z nich po kryjomu go popiera.

– Owszem.

– W takim razie wysłanie naszych oddziałów mogłoby stać się zarzewiem buntu, a może nawet wojny między naszymi krajami. Nie zamierzam ryzykować dla sprawy, która w gruncie rzeczy jest wewnętrznym problemem Gallii. – Duncan zmarszczył brwi, po

czym mówił dalej: – Nie chciałbym się wydać głuchy na twoje prośby, ale wiem, jak zareagowaliby nasi baronowie, gdybym poprosił Gallię o pomoc zbrojną dla mojej własnej sprawy. – Popatrzył po swoich doradcach, którzy pokiwali głowami.

– Nie proszę o wojsko. Nie proszę, żebyś walczył zamiast mnie. Tego nie da się rozwiązać przy użyciu zwyczajnej siły. Potrzebne są przebiegłość i podstęp. Być może wystarczy jeden człowiek.

– Jeden człowiek? – wtrącił Horace. – Kto taki?

Philippe rozłożył ręce w geście lekkiego zaskoczenia.

– Nie potrafię wskazać konkretnej osoby – przyznał. – Liczyłem, że wy zdecydujecie i polecicie mi kogoś.

– Nie rozumiem – powiedział Duncan. – Uważasz, że jeden człowiek może rozwiązać ten problem, ale nie wiesz, kto to jest. Mówisz zagadkami, Philippe. – W jego głosie pojawił się cień gniewu. Gallowie znajdowali dziwną przyjemność w zawiłych sformułowaniach.

Philippe zauważył to i machnął uspokajająco ręką.

– Nie chciałem, by to zabrzmiało niejasno – powiedział. – Chodzi o to, że mam na myśli raczej człowieka konkretnego typu, który mógłby sobie z tym zadaniem poradzić. – Odwrócił się na krześle, by spojrzeć prosto na Gilana. – Być może jednego z twoich zwiadowców.

Gilan nie był zaskoczony. Jego twarz niczego nie zdradzała.

– Co takiego wiecie o naszych zwiadowcach? – zapytał.

Philippe wzruszył ramionami.

– Cieszę się pewną sławą – powiedział. – Mówi się, że potrafią doprowadzić sprawę do końca bez niepotrzebnego uciekania się do przemocy. Mówi się, że potrafią dokonywać rzeczy niemożliwych.

– Mówi się także, że jesteśmy magami, którzy praktykują sztukę czarnoksiężką, by osiągać swoje cele – odparł Gilan. – Ale żadne z tych stwierdzeń nie jest prawdziwe. Wszystko sprowadza się do prostego faktu, że moi ludzie są starannie dobierani, wyjątkowo inteligentni i dobrze wyszkoleni. Mogą walczyć, jeśli zajdzie potrzeba, ale zawsze najpierw zastanawiają się, czy istnieje inne rozwiązanie.

– Właśnie kogoś takiego potrzebujemy w tej sytuacji – stwierdził Philippe. – Falaise to potężny zamek, który mógłby się opierać

oblężeniu przez całe lata, nawet gdybym miał ludzi i środki potrzebne, by prowadzić takie oblężenie. Ale jeden człowiek, wykorzystujący przebiegłość, podstęp i inteligencję, być może zdoła przedostać się do zamku i wyciągnąć stamtąd Gilesa.

Duncan odchrząknął, by im przerwać. Nie był pewien, czy podoba mu się, dokąd zmierza ta rozmowa. Zwiadowcy byli bardzo szczególną jednostką. Ich zadanie to strzeżenie pokoju w Araluenu i działanie na rozkaz króla. Nie można było ich „wypożyczać” innym krajom.

– Chciałbym zauważyć jedną rzecz – powiedział. – Rolą zwiadowców jest służenie królowi. Dlatego są zwani królewskimi zwiadowcami.

Louis uśmiechnął się obłudnie.

– Mój brat jest przecież królem.

Duncan ściągnął brwi. Pomyślał, że Gallowie są czasem zbyt elokwentni.

– Nie jest ich królem – przypomniał szorstko.

Philippe zareagował na to typowo galijskim wzruszeniem ramion.

– To oczywiście prawda, ale istnieje chyba coś takiego jak braterstwo pomiędzy władcami. Ostatecznie zagrożenie dla jednej rodziny królewskiej jest zagrożeniem dla wszystkich. Jeśli kryzys w Gallii nie zostanie zażegnany, może ośmielić tutejszych baronów do podobnego zachowania.

Było w tym trochę prawdy, ale Duncan nie czuł się całkowicie przekonany. Wydarzenia w Gallii nie miały właściwie przełożenia na sytuację w Araluenu. Był jednak realistą, wiedział, że chociaż w jego królestwie panuje pokój i względna stabilność, zawsze, w każdym kraju, można znaleźć niezadowolonych z obecnej sytuacji intrygantów.

– Być może – przyznał niechętnie. Rozejrzał się po komnacie, by przypatrzeć się twarzom Anthony’ego i pozostałych. Nie wyglądali na przekonanych.

– Muszę omówić to z moimi doradcami – powiedział do galijskiego króla. – Wieczorem poznasz moją decyzję.

Philippe skłonił się z wdziękiem, mimo że nadal siedział.

– O nic więcej nie proszę – odparł gładko.



Kiedy Philippe i jego brat wrócili do swoich komnat, Duncan popatrzył na trzech doradców.

– Co o tym sądzicie? – zapytał. Wymienili spojrzenia, ale żaden nie chciał się odzywać jako pierwszy. Duncan zwrócił się do swojego zięcia. – Horace?

Wysoki rycerz poprawił się na krześle, wyraźnie niezadowolony.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy się wtrącać – powiedział w końcu. – Nie podoba mi się oczywiście, że ktoś przetrzymuje zakładnika i stawia warunki dotyczące jego uwolnienia, ale sądzę, że to sprawa Gallów, którą powinni załatwić między sobą. Z punktu widzenia moralności potępiam zachowanie Lassigny’ego, ale patrząc na to praktycznie, nie jestem przekonany, czy należy się w to mieszać. Ostatecznie nie jesteśmy winni Philippe’owi żadnej przysługi.

– To racja – przyznał Duncan. – Zaś Philippe nigdy nie był dla nas szczególnie przyjaznym sąsiadem. Mógł znaleźć się w takiej sytuacji głównie na własne życzenie.

– Dlaczego tak twierdzisz, panie? – zapytał Gilan.

Król wzruszył ramionami i skinął na szambelana.

– Ty im wyjaśnij, Anthony.

Lord Anthony odchrząknął i zastanowił się, zanim zaczął mówić. Korpus Zwiadowców był odpowiedzialny za informowanie króla o ewentualnych zagrożeniach lub problemach w granicach Araluenu, natomiast Anthony dysponował siatką tajnych agentów na całym kontynencie – szczególnie w Gallii, Teutonii i Iberionie. Regularnie otrzymywał raporty, dzięki którym był na bieżąco z wydarzeniami i zmianami politycznymi, które mogły mieć znaczenie dla Araluenu.

– Jest słabym królem – powiedział w końcu. – Nigdy nie potrafił wyegzekwować posłuszeństwa baronów. Rządzi, siejąc między nimi niezgodę, i jest znany z tego, że przyjmuje łapówki w zamian za królewskie przywileje. Z tego powodu Gallia od lat jest niestabilnym państwem, podzielonym na wiele frakcji i toczonym korupcją. Obecna sytuacja jest najprawdopodobniej w dużej części konsekwencją jego słabości i niezdecydowania. Lassigny dostrzegł szansę i postanowił ją wykorzystać.

– Co wiemy o tym Lassignym? – zapytał Horace.

– On może stanowić problem – odparł Anthony. – Jest agresywny, ambitny i, jak widać, nie ma skrupułów, by wykorzystać wszystko, co pomoże mu osiągnąć cel. Utrzymuje w Falaises spory garnizon, ma też liczną milicję, z której rezerw może korzystać. Tak jak powiedział król Philippe, ma także poparcie części pozostałych baronów.

– Jak myślisz, jak daleko sięgają jego ambicje? – zapytał Duncan.

Anthony zastanowił się nad tym pytaniem.

– Przypuszczam, że zależy mu na czymś więcej niż na kontrolowaniu dwóch prowincji. Z tego, co o nim słyszałem, wynikałoby, że jest to środek do osiągnięcia celu.

– Jakiego celu? – zapytał Duncan, choć podejrzewał, że zna odpowiedź.

– Moim zdaniem chciałby zasiąść na tronie. Jest potężny i ma poparcie innych baronów, bez wątpienia zagwarantowane obietnicą nagrody, jeśli dopnie swego. Podejmuje ogromne ryzyko, biorąc królewskiego syna na zakładnika. Z całą pewnością nie chodzi mu tylko o władzę nad dwoma prowincjami.

– A co z twierdzeniem Philippe'a, że atak na jedną rodzinę królewską to jak atak na nie wszystkie? – zapytał Horace.

Anthony rozłożył ręce i potrząsnął głową.

– Być może on tak to widzi – odparł. – Zdaje się wierzyć, że jest królem z bożej łaski. Wasza Wysokość – tu zwrócił się do Duncana – piastuje swój urząd i rangę dzięki własnym zaletom. Ludzie są wierni koronie, ponieważ szanują Waszą Wysokość.

Duncan pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

– Być może większość z nich – przyznał. – Ale jestem skłonny zgodzić się z tobą. Rebelia w Galii niekoniecznie doprowadziłaby do podobnych niepokojów u nas. – Spojrzał na Gilana. – Co myślisz o wysłaniu na pomoc zwiadowcy?

Dowódca Korpusu skrzywił się z niesmakiem.

– Nie podoba mi się to – odparł. – Korpus powstał po to, by działać przede wszystkim na terytorium Araluenu i dla sprawy Waszej Wysokości. Nie podoba mi się, że ludzie z zewnątrz wiedzą o nas coraz więcej. Przez lata staraliśmy się nie rzucać w oczy i martwi mnie, że to się zmienia.

Duncan skinął głową.

– Zgadza się. Nie podoba mi się pomysł wysyłania zwiadowcy, by pomagał Philippe'owi. To trochę za bardzo przypomina traktowanie Korpusu jak grupy najemników.

– W przeszłości wykorzystywaliśmy zwiadowców, by pomagać Skandianom i Arydom – przypomniał Anthony.

– To byli nasi przyjaciele i sojusznicy – odparł natychmiast Duncan. – Łączyły nas traktaty pokojowe i zrewanżowali się w pełni za wsparcie. Natomiast Philippe traktował nas z pogardą aż do chwili, gdy okazało się, że potrzebuje pomocy.

– Trzeba jednak wziąć pod uwagę coś jeszcze – odezwał się Anthony. – Może leżeć w naszym interesie dopilnowanie, by Philippe pozostał na tronie. – Umilkł, więc Duncan skinął na niego, by kontynuował myśl. – Philippe jest słabym królem, a Gallowie są podzieleni i skłóceni. Z drugiej strony Lassigny władałby silną ręką. Zjednoczyłby baronów i ustabilizował sytuację w kraju.

– To chyba byłoby dobrze? – zapytał Horace.

Anthony potrząsnął głową.

– Jest ambitny i bezwzględny – przypomniał. – Gdyby zdobył władzę, mógłby zacząć myśleć o poszerzeniu granic. Być może nawet musiałby to zrobić, żeby odwdzińczyć się baronom, których poparcie umożliwiło mu przejęcie tronu.

– Chcesz powiedzieć, że mógłby stanowić zagrożenie dla Araluenu? – zapytał Duncan.

Anthony powoli pokiwał głową.

– Z całą pewnością poważniejsze niż Philippe.

W komnacie zapadła nieprzyjemna cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją Duncan.

– W takim razie może leżeć w naszym interesie zrobienie tego, o co prosi Philippe.



Barton odwrócił się, zszokowany, i popatrzył na swój niedźwiedzi płaszcz, przypięty teraz do pnia drzewa, za którym przed chwilą się chował. Znowu zerknął na farmera, który, całkowicie spokojny, odwzajemnił spojrzenie. Takie zachowanie u ofiary było dla Bartona czymś zupełnie nowym, a że z natury nie był najbystrzejszy, z trudem szukał jakiegoś wyjaśnienia tej sytuacji.

– Och, cóż za szkoda – odezwał się ze współczuciem farmer. – Twój elegancki płaszcz jest teraz dziurawy.

Barton, nadal próbując zrozumieć, co się stało, spojrzął na drogę, w stronę, z której przyjechał farmer – a potem nadleciała strzała. Oczywiście ktoś tam był – na małym, kosmatym koniku siedziała jakaś postać w pelerynie z naciągniętym na twarz kapturem. Nowo przybyły był oddalony o jakieś czterdzieści metrów i trzymał w gotowości łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę. Barton zastanawiał się, dlaczego wcześniej tego nie zauważył.

– Jem! Walt! – krzyknął. – Pomóżcie tu trochę!

Jego kompani wyskoczyli zza krzaków, w których się chowali, i wybiegli na drogę, unosząc broń.

– Na waszym miejscu... – zaczął farmer.

Zanim zdążył dokończyć zdanie, Jem leżał na ziemi, turlając się z bólu i ściskając strzałę, która przeszła jego lewą łydkę. Walter Blizna popatrzył na powalonego towarzysza i zatrzymał się w pół kroku, niepewny, co powinien zrobić. Odpowiedź na to pytanie przyszła w następnej chwili, gdy kamień śmignął ze świstem w powietrzu i uderzył go w głowę. Na szczęście rabuś nosił grubą

filcową czapkę, która złagodziła siłę uderzenia. Mimo to zachwiał się, nogi się pod nim ugięły i runął nieprzytomny na ziemię.

Znajdujący się po drugiej stronie drogi Donald wykazał się większym rozsądkiem. Na widok dwóch pokonanych w takim tempie towarzyszy odwrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

Dopiero teraz uczucie niedowierzania zastąpił nagły przypływ strachu, który ogarnął Bartona. Sytuacja wyglądała zdecydowanie groźnie. Zanim jednak zdążył to pomyśleć, farmer, z większą zwinnością niż ta, jakiej należałoby się spodziewać po staruszką, zeskoczył z wozu i zbliżył się do niego.

– Poproszę tę pałkę – powiedział, wskazując maczugę.

Teraz złość stłumiła strach, a Barton zrobił krok w stronę niższego mężczyzny, robiąc szeroki zamach.

– Zaraz nią oberwiesz! – warknął i zadał morderczy cios.

Chybił jednak celu. Farmer z nieoczekiwaną zwinnością skrócił odległość pomiędzy nimi, tak że znalazł się wewnątrz łuku zataczanego ze świstem przez maczugę. Lewą ręką chwycił Bartona za prawy nadgarstek i szarpnął do przodu, unikając uderzenia pałką. Jednocześnie pojedynczym skoordynowanym ruchem podszedł bliżej, pochylił się i z całej siły uderzył siedzeniem w brzuch bandyty. Impet ciosu, który chciał zadać Barton, pociągnął rabusia do przodu i sprawił, że stracił równowagę, a tymczasem farmer złapał go za nadgarstek także prawą ręką. Jeszcze raz szarpnął napastnika, a potem wyprostował kolana, tak że stopy Bartona oderwały się od ziemi, a on sam został przerzucony ponad ramieniem farmera.

Wylądował na plecach z głuchym łupnięciem, z jego płuc z głośnym świstem uszło powietrze. Uderzył głową o ziemię i przez chwilę leżał oszołomiony. Przed oczami tańczyły mu jasne punkciki. Kiedy doszedł do siebie, spojrzał prosto na ostrze bardzo ostrej saksy, które nakłuwało miękką skórę na jego gardle.

– Kiepski dzień masz dzisiaj, no nie? – powiedział farmer z uśmiechem.

Barton chciał potrząsnąć głową, żeby oprzytomnieć, ale przypomniał sobie saksę i uznał, że lepiej tego nie robić. Popatrzył na twarz pochylającego się nad nim farmera. Był zarośnięty, we włosach i brodzie połyskiwały pasma siwizny, ale nie był ani w części

tak stary, jak wydawał się z większej odległości. Teraz już się nie garbił. Był drobnej budowy, zdecydowanie niższy od zwałistego Bartona, ale miał szerokie ramiona i wydawał się muskularny.

Barton usłyszał odgłos kopyt zbliżającego się konia, a potem skrzypnięcie skóry, kiedy jeździec zeskakiwał z siodła.

– Wszystko w porządku, Willu?

Barton z zaskoczeniem uświadomił sobie, że to głos dziewczyny. Wiedział, że to ona postrzeliła Jema i jakimś sposobem ogłuszyła Walta. Teraz pochyliła się obok brodatego mężczyzny, by przyjrzeć się jeńcowi.

– Oto Barton Niedźwiedziobójca – powiedział farmer. – Chociaż lepiej by chyba pasowało Barton Chwalipięta. Bartonie Niedźwiedziobójco Chwalipięto, poznaj moją uczennicę, Maddie Regale.

– Jesteś dziewczyną... – powiedział Barton, jeszcze bardziej zdumiony.

Dziewczyna popatrzyła na swojego towarzysza.

– Szybko łapie, no nie? – stwierdziła drwiąco.

– Nic mu nie umyka – zgodził się brodaty mężczyzna.

Barton zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, co się dzieje. Pomyślał, że dzień zaczął się całkiem dobrze, teraz zamienił się w kompletną katastrofę, a on nie wiedział, dlaczego ani jak to się stało.

– Kim jesteście? – zapytał w końcu.

Farmer skinął głową jak na powitanie.

– Jestem Will Treaty – powiedział. – Jesteśmy królewskimi zwiadowcami, a ty jesteś aresztowany.

Barton stracił resztki nadziei, gdy uświadomił sobie, że wpadł w ręce dwójki zwiadowców.

Nagle wszystko stało się jasne. Zwiadowcy byli ludźmi, z którymi zdecydowanie nie należało zadzierać. Mówiono, a Barton w to nie wątpił, że mają magiczne moce. Potrafili wedle życzenia zmieniać postać, znikać i pojawiać się, a także strzelać z nadludzką precyzją.

Jęknął i odezwał się unizonym tonem:

– Puść mnie wolno, zwiadowco Treaty. Jestem uczciwym biedakiem, który musi jakoś sobie radzić w życiu.

Will Treaty roześmiał się krótko. Wyprostował się i odsunął ostrze saksy od gardła Bartona. Rabuś spróbował wstać, ale powstrzymało go ostrzegawcze spojrzenie zwiadowcy.

– Zgodzę się, że jesteś biedny – powiedział Will. – Ale na pewno nie można cię nazwać uczciwym. Wraz ze swoimi kompanami od miesiąca rabujesz farmerów na tym trakcie. – Urwał, bo dziewczyna dotknęła jego ramienia. – O co chodzi?

– Skoro mowa o jego kompanach, to czy nie było jeszcze jednego?

Will się rozejrzył. Donald wykazał się większą inteligencją w działaniu od swoich towarzyszy. Był teraz oddalony o jakieś sto pięćdziesiąt metrów i zniknął właśnie za niewielkim pagórkiem.

– Tam jest – powiedział Will. – Nasz przyjaciel z pewnością powie nam, gdzie możemy go znaleźć. Na razie zajmijmy się tym, co mamy tutaj. – Znowu spojrzął z góry na Bartona. – Przewróć się na brzuch i połącz ręce na plecach.

Jego dłoń znowu dotknęła rękajeści saksy, a Barton bez zwłoki wykonał polecenie. Dziewczyna przyklękała przy nim na jedno kolano. Rabuś poczuł, że zakłada na jego kciuki dwie skórzane pętle. Zacisnęła je i porządnie zawiązała.

– Nie ruszaj się stąd – powiedziała, chociaż leżąc na brzuchu z rękami związanymi z tyłu, nie potrafiłby szybko wstać. Zwiadowcy podeszli do pozostałej dwójki bandytów. Jem siedział i ścisnął nogę w miejscu, gdzie strzała przeszła łydkę na wylot. Rana krwawiła, ale drzewce strzały w dużej mierze tamowało krwotok. Bandyta jęczał z bólu i kołysał się w przód i w tył.

– Jeśli myślisz, że teraz cię boli, to zaczekaj, aż wyciągniemy strzałę – powiedział Will bez cienia współczucia. Rabusie nie ograniczali się przez ostatni miesiąc do zabierania pieniędzy bezbronnym farmerom. Część ofiar także poważnie pobili, zostawiając rany i siniaki. Napadali przede wszystkim na starszych mężczyzn, zawsze z przewagą czterech do jednego, więc Will nie miał litości dla bandytów odpowiedzialnych za tak brutalne napady.

Przyklękał za Jemem i szarpnął jego ręce za plecy, by także związać mu kciuki. Maddie zrobiła to samo z Waltem, który – nadal oszołomiony i półprzytomny – nie stawiał żadnego oporu.

– Strzeliłaś do niego z procy? – zapytał Will.

Maddie skinęła głową.

– Zakładałam, że chcesz go dostać żywego, a nie miałam dobrej pozycji, żeby strzelać w nogi.

Will prychnął lekceważąco.

– Przyznaj, że się po prostu popisujesz. – Pochylił się i przyjrzał uważniej Waltowi, podnosząc filcową czapkę, żeby obejrzeć siniec z boku głowy. – Użyłaś kamienia?

Zazwyczaj Maddie strzelała z procy specjalnymi ołowianymi kulkami, ale zawsze nosiła przy sobie także gładkie rzeczne otoczaki.

– Pomyślałam, że kulka mogłaby mu roztrzaskać czaszkę – powiedziała. – Kamień był mniej szkodliwy.

Will się uśmiechnął.

– Wątpię, by on się z tobą zgodził.

Walt patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, koncentrując się na dźwięku ich głosów. Jego oczy nadal były nieobecne i zamglone.

Will wsadził mu ręce pod ramiona i postawił go na nogi.

– No dalej, wstawaj.

Walt stał, chwiejąc się niepewnie. Will zaczekał, aż zyskał pewność, że zamroczony mężczyzna nie przewróci się znowu, a potem podniósł także Jema. Obejrzał go dokładnie, zwracając szczególną uwagę na strzałę wbity w łydkę. Wystawała na jakieś trzydzieści centymetrów od strony wewnętrznej, co sprawiało, że Jem praktycznie nie mógł chodzić – drzewce strzały przy każdym kroku zaczepiałyby o drugą nogę.

– Trzeba to wyciągnąć – stwierdził.

Jem zaskomlał na myśl o nowej fali bólu.

– Nie możecie mnie zostawić tutaj i sprowadzić medyka? – zapytał błagalnie. – Przysięgam, że nigdzie nie pójdę.

– Jestem pewien, że nie pójdziesz – odparł pogodnie Will. – Ale musimy wyciągnąć tę strzałę, a potem oczyścić i zabandażować ranę.

– Musisz ją złamać? – zapytała Maddie. – To dobre drzewce.

Will potrząsnął głową nad jej brakiem współczucia.

– Pomyśl o naszym nieszczęsnym przyjacielu – powiedział. – Będzie mniej bolało, jeśli ją złamiemy. Inaczej musiałbym przeciągnąć całość na drugą stronę.

Zaostrzony grot strzały sprawiał, że nie dałoby się jej wyciągnąć tak samo, jak się wbiła. Najłatwiejszym i najszybszym sposobem

było złamanie drzewca tuż przy wylocie rany i wyciągnięcie go z drugiej strony. Maddie popatrzyła na Jema z niezadowoleniem.

– Kogo obchodzi, co będzie mniej bolało? – zapytała. – To dobre drzewce.

Will zacmokał z dezaprobatą, potrząsnął głową i spojrzał na Jema.

– Młodzi ludzie potrafią być naprawdę okrutni – stwierdził, potem pochylił się i szybko złamał drzewce, a następnie jednym ruchem wyciągnął je z rany. Jem pobladł, a nogi prawie odmówiły mu posłuszeństwa. Will podtrzymał go i owinał ranę bandażem, przez który zaczęła przesiąkać krew. Zacisnął opatrunek i zawiązał koniec bandaża, a później wyprostował się i przyjrzał rabusiowi. Jem zrobił chwiejnie dwa kroki. Widać było, że obciążanie tej nogi sprawia mu ból. Will odwrócił go i zdjął więzy z kciuków.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy tego potrzebowali. – Gestem przywołał bliżej Bartona. – Pomożesz mi iść – powiedział do przywódcy rabusiów, a potem znowu spojrzał na Jema. – Oprzyj się na ramieniu Niedźwiedziobójcy.

Jem zrobił, jak mu polecono – przykuśtykał bliżej i objął lewym ramieniem szerokie bary Bartona. Will przyglądał się im przez kilka sekund, zanim pokiwał głową.

– To doskonale się sprawdzi – stwierdził. – Czeka nas teraz długi spacer.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytał z lękiem Barton. Wiedział, że skoro jest pojmanym bandytą, najbliższe lata nie będą dla niego przyjemne.

– Do wsi Willow Bend – odpowiedział Will. Tam właśnie sprzedał produkty na targu. – Mają tam konstabla i wygodne, ciepłe więzienie. Na pewno wam się spodoba.

Kwaśna mina Bartona wskazywała, że to mało prawdopodobne.

Will mówił dalej.

– Po drodze powiesz, gdzie znajdziemy waszego kolegę, który nam uciekł.

Na twarzy Bartona odmalowała się przebiegłość.

– Czy jeśli to zrobię, poprosicie władze, żeby wymierzyły mi niższy wyrok? – zaczął się targować.

Will patrzył na niego przez kilkanaście sekund z kamienną twarzą.

– Nie – oznajmił w końcu. – Ale jeśli tego nie zrobisz, poproszę naszą Maddie, żeby ciebie także postrzeliła w nogę.

Oczywiście nie było mowy, by spełnił taką pogrózkę, ale Barton nie mógł o tym wiedzieć. Zwalisty rabuś sam zrobiłby coś takiego, więc zakładał, że inni ludzie są równie mściwi jak on.

– Jakies dwa kilometry stąd jest ścieżka wydeptana przez dzikie zwierzęta – powiedział. – Prowadzi do naszego szałasu. Tam go znajdziecie.





Zgodnie z przewidywaniami Bartona znaleźli Donalda w szałasie. Wykazał się wyjątkowym brakiem wyobraźni, próbując się ukryć pod łóżkiem, które było od niego o kilkanaście centymetrów krótsze, przez co nie miał szans schować nóg.

– Bandyci nie są już tacy jak dawniej – oznajmił Will z udawanym żalem, kiedy związali Donalda i dołączyli go do swojej niedużej karawany.

– Kiedyś byli sprytniejsi? – zapytała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– Tak mi się wydaje. A na pewno odważniejsi.

Ruszyli do Willow Bend, jadąc wygodnie na wozie, podczas gdy byli rabusie maszerowali niezgrabnie przed nimi. Barton i Jem poruszali się z trudem, starając się iść równym rytmem, a pozostałych dwóch, z rękami związanymi na plecach, potykało się co chwila na nierównej drodze.

– Czy nie moglibyśmy jechać na wozie? – poprosił Jem, kiedy oddalili się o jakiś kilometr od miejsca, w którym złapali Donalda.

Will roześmiał się bez rozbawienia.

– Moglibyście – powiedział, a twarz Jema pojaśniała. – Ale nie pojedziecie – dodał, a bandyta znowu spochmurniał.

Wjechali na drogę, wzdłuż której ciągnęły się zabudowania Willow Bend, obserwowani przez zaciekawionych wieśniaków, i zatrzymali się przed wartownią konstabla, która pełniła także funkcję lokalnego więzienia. Konstabl, masywny mężczyzna po pięćdziesiątce, wybiegł,

żeby ich powitać. Zwiadowcy byli ważnymi gośćmi. Will włożył już swoją pelerynę i rzucił połataną koszulę na dno wozu.

– Zwiadowcy – odezwał się konstabl z szacunkiem. – Proszę, zsiądźcie z wozu.

Dobrym obyczajem w takiej sytuacji było oczekiwanie na zaproszenie. Maddie i Will zeskoczyli na ziemię.

– Jestem Will Treaty. To zwiadowczyni Maddie Regale – oznajmił Will. Zobaczył, że konstabl trochę szerzej otworzył oczy, słysząc jego imię. Will Treaty był postacią legendarną w tej części kraju, a, prawdę mówiąc, w większości kraju. Zwiadowca wskazał kciukiem czterech żalosnych bandytów, którzy szli przodem.

– Ci ludzie napadali na farmerów jadących na targ – powiedział. – Przetrzyj ich w więzieniu, dopóki sędzia nie będzie robił comiesięcznego objazdu. Potem mogą odsiedzieć wyrok w Zamku Redmont. – Podał konstablowi zwój pergaminu. – Oto moje zeznania. Przekaż je sędziemu. Do czasu, kiedy rozpatrzy tę sprawę, możesz wykorzystać ich do wszelkich nielubianych prac, jakie macie we wsi.

Konstabl schował zwój za pas i zatarł niecierpliwie dłonie. We wsi nie brakowało brudnej, nielubianej przez nikogo roboty. Trzeba było kopać wychodki, opróżniać i czyścić doły kloaczne. Barton i jego banda nie będą siedzieć beczynnie w oczekiwaniu na proces.

– Jak ich złapaliście? – zapytał. Z oczywistych powodów Will nie opowiadał na prawo i lewo o swoim planie przebrania się za jadącego na targ farmera.

– Zająłem miejsce Malcolma Tillermana – wyjaśnił Will. – Zawiozłem jego produkty na targ. Te żalosne obwiesie próbowały mnie obrabować w drodze powrotnej. Pieniądze Malcolma są na wozie, możesz mu je oddać i podziękować ode mnie. Mam nadzieję, że dostałem dobrą cenę za jego towar.

Konstabl się uśmiechnął.

– Nie tak dobrą, jak on by dostał – odparł. Malcolm był znany w całej okolicy jako człowiek, który umie się targować. Konstabl odwrócił się do wartowni. – Barney! Joseph! – zawołał. – Chodźcie no tutaj!

Z budynku wyłonili się dwaj potężni mężczyźni – strażnicy byli zazwyczaj dobrze zbudowani. Mieli na sobie proste mundury

lokalnej straży: skórzane kurtki, wełniane spodnie i buty do kolan, a przy grubych skórzanych pasach nosili klucze i pałki, dwa symbole pełnionej funkcji.

– Zabierzcie tych czterech do środka – polecił konstabl, a jego podwładni zabrali bandytów do wartowni.

– Jeśli macie tutaj medyka, możecie go poprosić, żeby rzucił okiem na ranę na nodze blondyna – powiedział Will. – Zabandażowałem ją, ale trzeba oczyszczać, żeby nie wdała się infekcja.

– Mamy we wsi aptekarza – odpowiedział konstabl. – Poślę po niego.

Will skinął głową.

– Zrób tak. A my się pożegnamy i pojedziemy w swoją stronę.



Na tyłach wartowni znajdował się niewielki dziedziniec. Will i Maddie wyprzęgli tam muła i zostawili go obok wozu, a następnie zanieśli sakwy z pieniędzmi do biura konstabla, żeby zostawić je tam na przechowanie. Następnie pożegnali się, dosiedli Zderzaka i Wyrwija, a potem odjechali, kierując się w stronę gościńca prowadzącego do Zamku Redmont.

– Dlaczego nazywałeś mnie Maddie Regale? – zapytała Maddie po jakimś czasie. Will odwrócił się w siodle, by na nią spojrzeć.

– Jakoś musiałem cię przedstawić – odparł. – Uznałem, że samo „Maddie” nie wystarcza.

Przejechali jeszcze kilkaset metrów, zanim dziewczyna znowu się odezwała.

– Mogłeś mnie nazwać Maddie Altman – podsunęła. – To przecież nazwisko taty, więc właściwie także i moje.

– Mogłem – przyznał Will, ale w jego głosie słychać było powątpiewanie. – Tyle że nazwisko Horace’a jest dobrze znane i rozpoznawalne. Ostatecznie jest przecież sławny. Ludzie mogą dodać dwa do dwóch i zorientować się, że jesteś jego córką.

– No i? – zapytała Maddie.

– No i wtedy zorientują się, że skoro jesteś jego córką, jesteś także córką Cassandry i drugą osobą w kolejce do tronu. Jak wiesz, wolimy trzymać ten fakt w tajemnicy.

Kilka lat wcześniej zgodzono się, że jeśli Maddie zostanie uczennicą zwiadowców, a później zwiadowczynią, jej związki z rodziną królewską powinny pozostać tajemnicą. Zwiadowcy musieli zachowywać jak największą anonimowość. Poza tym powszechna wiedza, że Maddie jest druga w kolejce do tronu, mogłaby stanowić dla niej zagrożenie i uczynić celem wrogów zamierzających zadać cios królowi. Taka wiedza z pewnością sprawiłaby także, że budziłaby powszechne zainteresowanie i trudno byłoby jej działać potajemnie, czego zazwyczaj wymagały obowiązki zwiadowców.

– Ale dlaczego Regale? – zapytała. Wymawiała to nazwisko tak jak wcześniej Will, na sposób galijski, żeby brzmiało „Regal”, a nie, z aralueńska, „Rigeil”.

– Najpierw chciałem cię nazwać Maddie Król – wyjaśnił Will. – Wiesz, ponieważ jesteś księżniczką i tak dalej. Ale uświadomiłem sobie, że równie dobrze mógłbym cię nazywać Altman. Ludzie szybko zaczęliby łapać, że naprawdę masz jakieś związki z rodziną królewską. Wtedy domyśliliby się, że jesteś księżniczką i znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia.

– Skąd ci się wzięło Regale?

– To znaczy prawie to samo, co „Król”, ale jest o wiele mniej oczywiste, szczególnie kiedy wymawiasz to na modłę galijską. Większość ludzi niczego nie skojarzy. – Will milczał przez chwilę. – Nie podoba ci się nazwisko Regale? – zapytał w końcu.

Maddie potrząsnęła głową.

– Maddie Regale – powiedziała drwiąco. – Jeśli powiesz to szybko, brzmi jak „madrygał”.

– Madrygały to bardzo popularne pieśni – odparł Will z szerokim uśmiechem.

Maddie prychnęła.

– Może i popularne pieśni, ale fatalne nazwisko. Nie podoba mi się.

– Uważam, że pasuje do ciebie – Will wyraźnie się z nią drażnił. – Jest melodyjne i pogodne, zupełnie jak ty.

– Cóż, żałuję, że nie wymyśliłeś dla mnie innego nazwiska – podsumowała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– Możesz sobie żałować – powiedział. – Powinnaś być mi wdzięczna, że w ogóle coś wymyśliłem. Nie jestem dobry w takich sprawach. Całe wieki zajęło mi wymyślenie imienia dla nowego psa.

– Dzięki, że porównujesz mnie do Saby – stwierdziła Maddie. Saba była owczarkiem Willa, potomkinią jego pierwszej suki, Shadow.

– Nie ma za co. Saba jest mi bardzo droga – zapewnił ją Will.

– Może powinno mi wystarczyć samo pospolite „Maddie” – stwierdziła. – Po co mi właściwie nazwisko? – Zanim jednak skończyła, Will potrząsnął głową, a z jego twarzy zniknęło całe rozbawienie.

– Potrzebujesz nazwiska – powiedział poważnie. – Wszyscy potrzebują. Jeśli nie masz nazwiska, czujesz się, jakbyś dryfowała swobodnie. Czujesz się niekompletna. Wiem, o czym mówię – dodał.

– Spędziłem połowę życia bez nazwiska, znany tylko jako „Will sierota”.

Maddie była lekko zaskoczona intensywnością jego uczuć.

– Było aż tak źle? – zapytała.

Zwiadowca wzruszył ramionami, trochę zawstydzony, że ujawnia ten okres swojego życia.

– Myślę, że nie byłem w najgorszej sytuacji – przyznał. – Ale inne dzieciaki w sierocińcu: Horace, Alyss, Jenny i George, wszystkie miały nazwiska. Straciły rodziców, ale wiedziały, kim w ogóle byli. Wiedziały, skąd pochodzą. Ja nie wiedziałem i chyba dlatego czułem się... nie wiem, jak to nazwać... Jakby coś mnie omijało.

Maddie popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Zdumiewało ją, że kiedykolwiek mógł się czuć niepewnie. Will był niezwykle uzdolniony, pewny siebie i swoich umiejętności. Trudno było sobie wyobrazić, że mógłby czuć się gorszy.

– Chyba jednak zostanę Maddie Madrygałką – zdecydowała.

Will się uśmiechnął.

– Mogłoby być gorzej.

Kiedy cienie zaczęły się wydłużać, od Zamku Redmont i ich chaty w lesie zostały jeszcze trzy czy cztery godziny drogi. Nie spieszyli się, więc rozbili obóz na niewielkiej osłoniętej polanie niedaleko gościńca.

Maddie lubiła obozować z Willem. Potrafił doskonale gotować w warunkach polowych i zawsze przygotowywał wyborny posiłek.

To, że jedli na świeżym powietrzu, w zapachu dymu unoszącego się z ogniska, sprawiało, że jedzenie smakowało jeszcze lepiej.

Podobnie jak mocna i słodka kawa, którą potem wypili.

Noc była pogodna, więc nie zawracali sobie głowy rozbijaniem namiotów. Rozłożyli posłania i owinęli się pelerynami. Maddie leżała na plecach, patrząc na gwiazdy przesuwające się powoli nad jej głową. Westchnęła z zadowoleniem.

– Uwielbiam takie życie – powiedziała cicho. – Nie wydaje mi się, żebym mogła kiedykolwiek wrócić do pałacu i zostać księżniczką.

– Być może pewnego dnia będziesz musiała zostać królową – przypomniał Will.

Maddie potrząsnęła głową.

– Ktoś inny może się tym zająć. Ja jestem zwiadowcą. Uwielbiam być zwiadowcą.

– Dlatego jesteś w tym dobra – powiedział Will, a zaskoczona Maddie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Rzadko słyszała od niego komplementy. Czekwała, czy nie powie czegoś więcej, ale jego głęboki, równy oddech podpowiadał jej, że zasnął.

Albo przynajmniej udawał.





Will i Maddie jechali powoli główną drogą prowadzącą przez małą wioskę u stóp Zamku Redmont i kiwali głowami na przywitanie mijanym wieśniakom. Will był bardzo popularny we wsi. Dorastał w Redmont, najpierw w sierocińcu pod patronatem barona Aralda, a potem jako uczeń Halta, jednego z najsłynniejszych zwiadowców.

W ostatnich latach Will dorównał sławą swojemu mentorowi, a może nawet go przyćmił, zaś miejscowi byli dumni z tego, że dwóch tak znakomitych ludzi mieszka w ich lennie. To wynosiło Redmont ponad sąsiednie lenna, zaś jego mieszkańcy czuli się opromienieni sławą dwóch wybitnych zwiadowców.

Teraz z kolei Maddie, która mieszkała w tym lennie od czterech lat, dokładała do czynów tamtej dwójki własne osiągnięcia. Niecały rok temu pokrzyżowała intrygę, która miała doprowadzić do przejścia tronu Araluenu. Wcześniej zaś asystowała Willowi w zdemaskowaniu i rozgromieniu bandy porywaczy ludzi, którzy grasowali na wschodnim wybrzeżu królestwa.

Wszystko to razem sprawiało, że wieśniacy mogli czuć się dumni ze zwiadowców i chętnie witali ich, gdy się pojawiali.

Minęli karczmę Jenny. Sama Jenny siedziała na słońcu przed budynkiem, popijała kawę i obserwowała personel, który przygotowywał stoły dla wieczornych gości. Na ich widok uniosła w górę kubek i uśmiechnęła się szeroko. Razem z Willem wychowywała się w sierocińcu i pomagała mu przywołać Maddie do porządku, kiedy przyjechała jako rozpuszczona i samolubna księżniczka, która nie ma pojęcia o dyscyplinie.

Will pomachał do przyjaciółki i przeniósł z namysłem wzrok na jadącą obok niego dziewczynę. Pomyślał, że wiele się zmieniło. Obecnie powierzyłby Maddie własne życie – tak jak choćby dzisiaj, kiedy mieli do czynienia z Bartonem Niedźwiedziobójcą i jego bandą. Maddie wyczuła, że na nią patrzy, i z zaciekawieniem przechyliła głowę.

– O co chodzi? – zapytała.

Will nie odpowiedział wprost. Ostatnio i tak za wiele pochwał słyszała, a on nie należał do osób, które przesadzają z komplementami.

– Pomyślałem, że wieczorem możemy wpaść na obiad do Jenny – powiedział tylko.

Maddie z entuzjazmem pokiwała głową.

– Świetny pomysł – odparła. – Czy mam do niej wrócić i powiedzieć, żeby zarezerwowała dla nas stolik?

Will potrząsnął głową.

– Zawsze znajdzie dla mnie miejsce – zapewnił. – To jeden z przywilejów bycia przyjacielem z dzieciństwa.

Na szczycie wzgórza za wsią skręcili w wąską ścieżkę pomiędzy drzewami prowadzącą do ich chaty. Kiedy się do niej zbliżyli, oba konie zaczęły strzyc uszami i węszyć w powietrzu.

– Cieszę się, że wracają do domu – zauważyła Maddie.

Will nie zgodził się z nią.

– Ktoś jest w chacie – powiedział. – Poczuli jego zapach.

Wyłonili się spomiędzy drzew na polanę wokół chaty, a Maddie zobaczyła, że Will miał rację. Nieduży kosmaty konik stał przywiązany przed chatą, a na werandzie siedział ktoś w szarozielonej pelerynie, wygrzewając się na słońcu z wyciągniętymi nogami. Ich konie zarżały radośnie do uwiązanego towarzysza, który odpowiedział tym samym.

– To Halt – stwierdziła Maddie, która najpierw rozpoznała konia. Twarz gościa nie była najlepiej widoczna w cieniu pod dachem werandy sięgającym mu aż do ramion.

– Co on tu robi? – zapytał sam siebie Will. Podjechali do chaty, a kiedy znaleźli się bliżej, Halt wstał, żeby się z nimi przywitać.

– Piękny poranek – powiedział radośnie, chociaż omal nie spóźnił się z tym twierdzeniem. Od południa dzieliło ich zaledwie kilka

minut. Potrząsnął dłonią Willa, gdy tylko młodszy przyjaciel zeskoczył na ziemię, a potem zamknął Maddie w niedźwiedzim uścisku. Halt miał ogromną słabość do uczennicy swojego byłego ucznia. Odegrał kluczową rolę w wyborze Maddie jako kandydatki, która miała stać się pierwszą zwiadowczynią w dziejach Korpusu. Kiedy widział, ile osiągnęła, miał poczucie, że jego wybór był całkowicie uzasadniony.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał Will, gdy Halt wypuścił jego uczennicę z objęć. Starszy zwiadowca wskazał kciukiem czarno-białego psa, rozciągniętego w słońcu na końcu werandy. Suka leżała z wyciągniętymi tylnymi łapami i wygodnie podkulonymi przednimi.

– Pomyślałem, że wrócisz dzisiaj, więc przyprowadziłem z zamku Sabę – wyjaśnił.

Gdy Maddie i Will polowali na rabusiów napadających farmerów, Halt i lady Pauline, podobnie jak wiele razy wcześniej, opiekowali się psem Willa. Na dźwięk swojego imienia Saba uderzyła kilka razy ogonem w deski werandy. Poza tym nie zamierzała się ruszać.

Will uniósł jedną brew.

– Czuję się przytłoczony tak gorącym powitaniem – stwierdził. – Najwidoczniej niezbyt za nami tęskniła. Jak się domyślam, jak zwykle ją rozpieszczaliście?

Halt się uśmiechnął.

– Ja nie. Pauline.

Jego żona lubiła wszystkie psy, a Sabę w szczególności. Saba, która jak większość czworonogów potrafiła to wyczuć, cieszyła się zawsze na widok lady Pauline i w efekcie była stale nagradzana, gdy Pauline podsuwała jej przysmaki, głaskała ją i drapała za uszami lub po brzuchu. Kiedy Saba zostawała z Haltem i Pauline, szybko przywykała do takiego traktowania. Will potrzebował zazwyczaj kilku dni, by przeskolić ją na nowo w tym, co uważał za stosowne zachowanie.

– Rozpaliłem w piecu i zaparzyłem kawę – powiedział Halt, a Will skinął głową z wdzięcznością.

Maddie podeszła i wzięła Wyrwija i Zderzaka za uzdę.

– Zajmę się końmi – powiedziała.

Will odpiął zza siodła Wyrwija swoją torbę podróżną i zwinięte posłanie, które przerzucił przez ramię.

– Dziękuję – powiedział. – Przez ten czas nalejemy ci kawy.

Wraz z Haltem wszedł do środka, podczas gdy Maddie zaprowadziła konie do stajni na tyłach chaty.

Kiedy do nich dołączyła, trzymali już kubki z gorącą kawą, a kolejny czekał na nią. Maddie dodała do parującego napoju pełniutką łyżeczkę miodu i starannie zamieszała.

Will popatrzył na nią z urazą.

– Już słodziłem – powiedział.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zawsze słodzisz za mało – stwierdziła i spróbowała napoju. – Idealnie.

Will potrząsnął głową.

– Może dlatego, że muszę płacić za ten miód – mruknął. Popatrzył na Halta. – No dobrze, co takiego cię sprowadza? Poza chęcią odprowadzenia Saby.

Pod nieobecność Maddie nie rozmawiali o powodach, dla których Halt na nich czekał. Zamiast tego mówili o błahych sprawach, a Will opowiadał o ich spotkaniu z samozwańczym niedźwiedziobójcą i jego kompanami.

– Wczoraj wieczorem przybył gołąb pocztowy od Gilana – powiedział Halt. – Król wzywa nas do Zamku Araluen.

– Czy to pilne? – zapytała Maddie.

Starsi zwiadowcy wymienili spojrzenia.

– Królewskie wezwanie zawsze jest pilne – odpowiedział Will. – Czy powinniśmy wyruszyć od razu? – zapytał Halt.

Halt machnął przecząco ręką.

– Nie ma potrzeby się spieszyć – powiedział. – Ostatecznie nikt nie mógł wiedzieć, kiedy dokładnie wrócicie ani kiedy dostaniecie tę wiadomość. Możemy wyjechać z samego rana. Wyśpimy się dzisiaj i wyruszymy po wschodzie słońca.

Will skinął głową.

– To dobry pomysł. Czy Gilan zasugerował, o co może chodzić?

– Napisał tylko „Przyjeżdżajcie jak najszybciej”. Spodziewam się, że to ważna sprawa.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytała Maddie.

Halt wzruszył ramionami.

– Na to wskazuje ton wiadomości. Poza tym listy przesyłane przez gołębie pocztowe aż za łatwo mogą nie dotrzeć do celu – wyjaśnił. – Jeśli sprawa jest delikatna, lepiej nie podawać szczegółów na wypadek, gdyby wiadomość trafiła w niepowołane ręce.

– Czy to prawdopodobne? – zapytała Maddie z oczywistym powątpiewaniem w głosie.

– W przeszłości pozbawieni skrupułów ludzie szkolili sokoły, by przechwytywały lub zabijały gołębie pocztowe – powiedział Halt. – Poufne informacje mogą być bardzo cenne, jeśli dostanie je nieodpowiednia osoba.

– Może popełniamy błąd, wykorzystując jako posłańców gołębie – zauważył Will. – Są zbyt łagodne. Nie potrafią się bronić.

– Ileś lat temu próbowaliśmy wyszkolić kruki do przenoszenia wiadomości. Tylko najodważniejsze sokoły ośmieliłyby się zaatakować kruka – stwierdził Halt. – Ale to się nie sprawdziło.

– Dlaczego? – zapytała Maddie, a siwowłosy zwiadowca ukrył uśmiech.

– Kruki są zbyt gadatliwe – odparł. – Mimo najlepszej woli nie potrafią dochować tajemnicy.

Maddie przewróciła oczami tak, jak potrafią tylko nastolatki.

– Bywa, że udaje ci się dobry żart, Halcie – powiedziała. – Ale nie tym razem.

Halt dopił kawę i wstał.

– Młodzi ludzie nie mają poczucia humoru – oznajmił z niejaką godnością. Naciągnął na głowę kaptur i odwrócił się do drzwi. – Spotkamy się o wschodzie słońca – powiedział. – Pauline wpadnie tu później, żeby zabrać Sabę.

Pożegnali się, po czym Halt dosiadł Abelarda i skierował go na wąską ścieżkę przez las. Will i Maddie patrzyli za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem.

Will z namysłem potarł brodę.

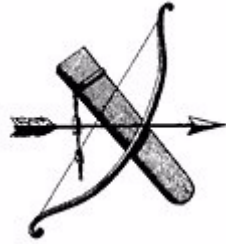
– To niezwykle – powiedział bardziej do siebie niż do Maddie.

Z ciekawością przechyliła głowę.

– Co takiego?

– Cóż – powiedział, wracając do niewielkiej chaty. – Halt jest już częściowo na emeryturze i nigdy nie jeździł z nami na misje. Zastanawiam się, czemu Duncan wezwał do zamku całą naszą trójkę.

Maddie zastanowiła się nad tym, ale nie znalazła odpowiedzi.
– Przypuszczam, że dowiemy się tego na miejscu – powiedziała.
– Też tak przypuszczam.





Ale dlaczego Maddie? – zapytała nieco podniesionym głosem Cassandra. – Dlaczego to właśnie ona ma brać w tym udział?

Horace westchnął.

– Cassandro, rozmawialiśmy już o tym...

Żona przerwała mu, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze. Ignorując go, zwróciła się bezpośrednio do ojca.

– Rozumiem, dlaczego chcesz wysłać Willa. Ostatecznie jest najlepszym z twoich zwiadowców. Ale dlaczego Maddie ma z nim jechać?

– Jest zwiadowczynią – przypomniał cierpliwie jej ojciec. Wiedział, o czym myśli Cassandra i wiedział, że nie uniknie tej dyskusji.

– Jest twoją wnuczką – powiedziała Cassandra. – Jest też druga w kolejce do tronu. Ty zaś jesteś gotów narazić ją na niebezpieczeństwo.

– Świat jest niebezpiecznym miejscem – stwierdził Duncan. – Nawet dla księżniczek. Maddie postanowiła dołączyć do zwiadowców i prowadzić takie samo życie jak oni. Nie mogę robić dla niej wyjątków.

– Ale to będzie ryzykowne! – zaprotestowała Cassandra.

– Tak samo ryzykowne było, kiedy wybrałaś się wykupić Eraka od Tualegów. Tak samo ryzykowne było, kiedy popłynęłaś do Nihon-Ja na poszukiwanie Horace'a.

– To co innego! – zaprotestowała Cassandra. – Byłam...

– Byłaś następczynią tronu. Stwierdziłaś, że z tym przywilejem wiąże się pewna odpowiedzialność. W taki sposób musimy żyć, Cassandra.

– Nie rozumiem po prostu, dlaczego ona koniecznie musi jechać. Niech Will się tym zajmie. Poradzi sobie sam.

– Będzie znacznie lepiej, jeśli Maddie pojedzie razem z nim – powiedział cicho Gilan. Spodziewał się, że Cassandra będzie się sprzeciwiać decyzji, by Maddie towarzyszyła Willowi w tajnej misji na terenie Gallii. Wiedział, co Cassandra myśli o tym, że jej córka jest uczennicą zwiadowców. Sprzeciwiała się temu od samego początku i nawet teraz nie do końca to akceptowała.

Cassandra odwróciła się do niego.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała gwałtownie.

– Wędrujący w pojedynkę cudzoziemiec będzie budzić większe podejrzenia niż ojciec podróżujący z córką. Tak właśnie będą postrzegani. Mężczyzna, któremu towarzyszy córka, wydaje się stosunkowo niegroźny. Ostatecznie jaki ojciec świadomie narażałby swoje dziecko na niebezpieczeństwo?

– Czyli przyznajesz, że będzie w niebezpieczeństwie? – zapytała Cassandra.

Gilan skinął głową.

– Oczywiście, że to przyznaję. Ona jest przecież zwiadowczynią, a to nieodłączna część życia zwiadowcy.

Cassandra otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Horace ją uprzedził.

– Zgodziliśmy się na to, kiedy postanowiła dołączyć do Korpusu – przypomniał. – Jest zwiadowczynią, nierzadko będzie znajdować się w niebezpiecznej sytuacji. Nie możemy decydować o tym, co ma robić. Nie możemy się upierać, żeby wysyłano ją tylko na misje pozbawione ryzyka.

– Takich zresztą nie ma za wiele – zauważył Gilan.

Cassandra nie zamierzała jednak się poddać.

– Ty się na to zgodziłeś. Ja od początku nie chciałam, żeby zostawała zwiadowcą.

– Ale mimo wszystko nim jest – oznajmił stanowczo jej ojciec. – Zaś jako zwiadowca musi podejmować się także ryzykownych zadań. W przeciwnym razie mogłaby już teraz opuścić Korpus.

– Nie miałabym nic przeciwko – oznajmiła z goryczą Cassandra.
– Wolałabyś, żeby siedziała grzecznie w zamku, wprawiała się w robótkach ręcznych i uczyła dworskiej etykiety? – zapytał Duncan.
– To marna szkoła dla przyszłej królowej. Sama tego nigdy nie akceptowałaś. Wiedziałaś, że musisz poznać prawdziwy świat, nauczyć się dowodzić i bronić swojego kraju w czasie wojny.

W głębi serca Cassandra wiedziała, że miała rację. Jako młoda dziewczyna prowadziła ekscytujące, często niebezpieczne życie. Podróżowała po świecie, brała udział w bitwach i wielokrotnie mierzyła się z wrogami królestwa. Myśl o siedzeniu w bezpiecznym Zamku Araluen była dla niej nieznośna i wiedziała, że nie może narzucać córce podobnych ograniczeń. Jeśli Maddie ma kiedyś zostać królową, musi znać prawdziwy świat wraz z jego niebezpieczeństwami. Dzięki temu będzie mogła odważnie i mądrze rządzić krajem. Cassandra wiedziała to wszystko, ale to nie znaczyło, że musiało jej się to podobać. Skrzywiła się do trzech mężczyzn siedzących naprzeciwko niej.

– Nie znoszę, kiedy się przeciwko mnie sprzymierzacie – oznajmiła.

Jej ojciec uśmiechnął się ciepło.

– Teraz wiesz, jak ja się często czułem – powiedział. – Nie jest łatwo pozwolić, by twoja jedyna córka wyruszyła w świat. Ale wszyscy musimy przez to przejść. Doświadczenia Maddie jako zwiadowczynie sprawią, że w swoim czasie będzie lepszą królową.

Odwrócił wzrok i w tym momencie rozległo się dyskretne pukanie.

– Kto to?! – zawołał Duncan.

W otwartych drzwiach stanął jeden ze służących.

– Troje zwiadowców przybyło na wezwanie Waszej Wysokości – powiedział.

Duncan machnął zapraszająco ręką.

– Dziękuję, Milesie. Powiedz im, żeby weszli.

Służący otworzył drzwi szerzej i odsunął się na bok, żeby przepuścić trzy osoby w szaro-zielonych pelerynach. Halt, Will i Maddie weszli do komnaty – dziewczyna dwa kroki za starszymi towarzyszami. Zatrzymali się przed obszernym biurkiem Duncana, a służący wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Halt, jako najstarszy w grupie, odezwał się pierwszy.

– Chciałeś nas widzieć, panie?

Duncan podniósł się z miejsca, by ich powitać, i skrzywił się lekko, kiedy oparł ciężar ciała na chorej nodze.

– Halt! Jak miło cię widzieć! Ciebie także, Willu, rzecz jasna.

Dla swojej wnuczki miał specjalny uśmiech powitalny. Poczł przyplw dumy na widok jej stroju zwiadowcy. Chociaż nadal była uczennicą, już kilka razy dowiodła swoich umiejętności i odwagi.

– Maddie – powiedział. – Mam nadzieję, że jesteś grzeczną dziewczynką.

Odpowiedziała mu szerokim uśmiechem.

– Nie bardzo, dziadku – odparła.

Horace i Gilan podeszli, by powitać nowo przybyłych, więc komnatę wypełniły ciepłe słowa i gesty. Cassandra przez chwilę trzymała się na uboczu, ale potem podbiegła i uściskała Maddie, zbyt roztrzęsiona, by się odezwać. Miała łzy w oczach.

Maddie, trochę przytłoczona tak wylewnym powitaniem, była nim także lekko zaskoczona.

– Mamo! – zawołała. – Spokojnie! – Spojrzała ponad ramieniem Cassandra na ojca i uniosła pytająco brwi. Machnął rękami w sposób, który zrozumiała jako: „Twoja mama jest trochę zdenerwowana. Pozwól jej na to”. Skinęła głową i odczekała kilka sekund, żeby matka się uspokoiła.

Cassandra w końcu zapanowała nad emocjami i wypuściła Maddie, żeby mógł ją uściskać Horace. Will podszedł do nich powitać Cassandrę. Podejrzewał, że wie, dlaczego tak emocjonalnie zareagowała. Najwidoczniej on i Maddie mają zostać wysłani z jakąś misją i właśnie tym Cassandra była tak poruszona. Pomyślał, że to nic nowego. Bywała nadopiekuńcza, gdy chodziło o jej córkę.

– Będę się nią opiekować – powiedział cicho. Cassandra na moment wtuliła twarz w jego ramię, ale zaraz uspokoiła się i cofnęła z uśmiechem.

Powitania trwały jeszcze kilka minut, zanim Duncan nie przywołał obecnych do porządku. Zajęli miejsca wokół stołu i niecierpliwie czekali na wyjaśnienia. Król bez dalszej zwłoki przeszedł do rzeczy.

– Willu, chciałbym, żebyś wraz z Maddie pojechał do Gallii – oznajmił.

Maddie i Will wymienili szybkie spojrzenia. Maddie pomyślała, że kiedy jest się zwiadowcą, życie staje się pasmem niespodzianek.

Will podrapał się po brodzie.

– Do Gallii? – powtórzył. – Co tam się dzieje, że nas dotyczy?



Will siedział wygodnie i kiwał głową, kiedy Duncan skończył wyjaśniać powody, dla których wezwał ich do Zamku Araluen.

– To ma sens – powiedział. – Ojciec i córka podróżujący razem nie zwrócą na siebie zbyt dużej uwagi. Ludzie będą mniej podejrzliwi, niż gdybym był sam.

– Tak właśnie pomyślałem – oznajmił Gilan. – To się sprawdziło, kiedy szukaliście porywaczy dzieci na wschodnim wybrzeżu.

– Ale co nas obchodzą problemy w Gallii? – zapytała Maddie. – Ostatecznie Philippe nie wyświadczył nam nigdy żadnej przysługi. – Uświadomiła sobie, że to mogło zabrzmieć bezdusznie, więc szybko dodała: – To znaczy, przykro mi, że jego syn został porwany, ale to chyba nas nie dotyczy?

– Być może nie – odparł Horace. – Ale przypuszczalnie jest dla nas korzystniejsze, by Philippe pozostał na tronie. Ten Lassigny może stanowić problem, jeśli zajmie jego miejsce, a nie ma wątpliwości, że takie są jego zamiary. Im większą zdobędzie władzę, tym większym potencjalnym zagrożeniem będzie dla nas.

Maddie skinęła głową, zgadzała się z tokiem myślenia ojca.

Halt lekko zmarszczył brwi.

– Panie – odezwał się do Duncana. – Jak rozumiem, nie chcesz, żebym jechał z Willem i Maddie. Dlaczego więc mnie wezwałeś?

Duncan zawahał się na moment, zanim odpowiedział.

– Zawsze ceniłem twoje opinie, Halcie. Musimy się zastanowić, jakiego przebrania mają używać. Ostatecznie potrzebują dobrego powodu, by wędrować przez Gallię.

Halt powoli skinął głową. Podejrzewał, że Duncan nie mówi wszystkiego. W stosownym czasie dowie się, o co może chodzić, więc był gotów spokojnie czekać, aż król sam mu to powie.



Niedługo później narada dobiegła końca, zaś trójka nowo przybyłych dostała czas, żeby się odświeżyć i zjeść coś po długiej podróży. Później Gilan, Halt, Will, Horace i Cassandra spotkali się w gabinecie Gilana, żeby zaplanować podróż Willa i Maddie do Gallii. Maddie nie musiała być przy tym obecna, więc poszła poszukać Ingrid, swojej dawnej pokojówki i towarzyszki, która była teraz jedną z wyższych rangą dam dworu Cassandra. Duncan miał inne sprawy, którymi musiał się zająć – król nigdy nie próżnował – ale wiedział, że jego dowódcy wymyślą skuteczny plan. Nie musiał przejmować się jego szczegółami. Zdolność delegowania zadań była cechą dobrego przywódcy i charakteryzowała sposób rządzenia Duncana. Wybierał jako swoich podwładnych ludzi godnych zaufania i pozwalał, by zajmowali się różnymi sprawami.

– Po co kupować psa i samemu machać ogonem? – zwykł mawiać.

– Nie powinno się mówić raczej „Po co kupować psa i samemu szczekać”? – zapytała raz Cassandra, kiedy była mała.

Duncan wzruszył ramionami.

– Szczekać, machać ogonem... Psy robią jedno i drugie. Po co robić cokolwiek z tego, jeśli ma się psa?

– Czyli będziemy mieć psa? – zapytała z entuzjazmem, ale jej ojciec potrząsnął głową.

– Nie, na razie muszę sam machać ogonem – odparł. – Poza tym kto z psami lega, ten z pchłami wstaje.

Tamtego wieczoru Cassandra poszła spać jako bardzo zdumiona dziewczynka.

Piątka przyjaciół siedziała w gabinecie Gilana na wieży, a na stole pomiędzy nimi stał duży dzban kawy. Kiedy napełniono nią kubki i szczerze osłodzono miodem, zebrani rozsiedli się wygodniej i zaczęli dyskutować nad najlepszym sposobem pozwalającym Willowi i Maddie podróżować po Gallii bez zwracania uwagi.

– Nie zdołacie udawać miejscowych – stwierdził Horace. – Jesteście cudzoziemcami, ludzie będą to zauważać.

– Mówię po galijsku – przypomniał Will.

Halt uniósł brew. Sam mówił płynnie tym językiem i nauczył go Willa, więc znał słabe strony byłego ucznia.

– Z koszmarnym akcentem aralueńskim – stwierdził. – Wystarczy, że powiesz „dzień dobry”, a zorientują się, że jesteś cudzoziemcem. I to zanim jeszcze dotrzesz do „dobry”.

Will wzruszył ramionami. Wiedział, że Halt miał rację. Nigdy nie udało mu się nauczyć galijskiej wymowy.

– Cóż, nie możemy po prostu jeździć po Gallii bez żadnego powodu – zauważył. – Wtedy z pewnością zwrócimy na siebie uwagę.

– Najlepszym sposobem na odwrócenie uwagi jest zwrócenie jej na coś innego – powiedział Gilan. Na jakieś dziesięć sekund zapadła cisza, kiedy się nad tym zastanawiali.

– Musicie mieć jakiś powód, żeby podróżować – stwierdziła w końcu Cassandra. – Coś, co odwróci uwagę ludzi od tego, że nie jesteście miejscowi.

– Możecie udawać, że jesteście druciarzami i naprawiacie garnki i patelnie – podsunął Horace. Pozostali spojrzeli na niego ze znużeniem. Widząc wyraz ich twarzy, rozłożył ręce. – O co chodzi?

– Dlaczego zawsze ktoś musi to proponować? – zapytał Gilan. – Druciarze mają opinię złodziejasków, a to oznacza, że ludzie będą ich uważnie obserwować.

Horace zmarszczył brwi.

– Ale w romansach i sagach bohaterowie często przebijają się za druciarzy! – zaprotestował.

– Często walczą też ze smokami i latają na magicznych koniach – przypomniał Will, a Horace musiał ustąpić, ponieważ wiedział, że przyjaciel miał rację.

– Jestem pewna, że nie wszyscy druciarze są nieuczciwi – powiedziała Cassandra. – Prawdopodobnie nieliczne czarne owce sprawiają, że pozostali mają złą sławę.

– Może zrobimy sobie tabliczkę z napisem: „Jesteśmy uczciwymi druciarzami”? – zaproponował Will. – To na pewno pomoże.

Cassandra skrzywiła się gniewnie, kiedy się uśmiechnął.

– Niezależnie od tego, czy druciarze są uczciwi czy też nie, mają taką reputację, jaką mają, a ludzie zazwyczaj są wobec nich podejrzliwi – powiedział Halt.

– Poza tym – dodał Will – co będzie, jeśli ktoś rzeczywiście nam uwierzy i poprosi, żebym naprawił dziurawy garnek? To zupełnie poza zakresem moich umiejętności.

– To prawda – przyznał Halt. – Trudno nazwać cię złotą rączką. – Potarł z namysłem brodę. – Wiele lat temu, kiedy pojechałeś do Macindaw, udawałeś rybałta. Może dałoby się to powtórzyć?

Will zastanowił się nad tym i powoli pokiwał głową. Potrafił całkiem dobrze grać na mandoli i śpiewać przyjemnym, melodyjnym głosem.

– To by się mogło sprawdzić – przyznał. – Wydaje mi się, że pamiętam jeszcze porady, jakich udzielał mi Berrigan.

Berrigan był dawnym zwiadowcą, który musiał odejść z Korpusu, ponieważ stracił nogę. Znalazł nowe zajęcie i cel w życiu jako rybałt – wędrowny muzyk – i w przeszłości kilka razy brał udział w misjach szpiegowskich Korpusu.

– Pamiętasz jeszcze, jak się gra na lutni? – zapytał Halt.

Will popatrzył na niego z urazą.

– To jest man... – zaczął, ale zorientował się, o co chodzi Haltowi, więc bez większego powodzenia spróbował ukryć uśmiech i przytaknął. – Owszem. Mam ją nawet ze sobą – powiedział.

Halt od lat starał się go prowokować, udając, że nie widzi różnicy między lutnią a mandolą. Zwykle mu się to udawało.

Teraz jednak Will zmarszczył brwi, kiedy coś mu przyszło do głowy.

– A co ma robić Maddie? – zapytał.

Gilan wzruszył ramionami.

– Nie może ci towarzyszyć? To znaczy, śpiewać razem z tobą?

– Czy ona umie śpiewać? – zapytał Halt. Nie zauważył, że Cassandra i Horace odwrócili spojrzenia, unikając kontaktu wzrokowego z nim.

Will się zawahał. Lubił swoją uczennicę i nie podobało mu się, że musi powiedzieć o niej coś niekorzystnego.

– Jak ptak – rzucił w końcu.

Halt z satysfakcją rozłożył ręce.

– Cóż, to problem rozwiązany.

Will jednak jeszcze nie skończył myśli.

– Ten ptak, o którym mówię, to wrona – dodał niechętnie.

Horace i Cassandra pokiwali głowami.

Gilan nie był przekonany.

– Daj spokój, nie może być aż tak źle – powiedział, ale rodzice Maddie popatrzyli na niego.

– Jest aż tak źle – oznajmiła w końcu Cassandra.

Gilan spojrzał na nią podejrzliwie. Uznał, że to może być pretekst, pod jakim Cassandra miała nadzieję wyłączyć Maddie z udziału w misji. Will zauważył jego niezdecydowanie i uznał, że najlepiej będzie, jeśli Gilan przekona się o tym na własne uszy.

– Jeśli pošlesz po Maddie i poprosisz kogoś, żeby przyniósł moją mandolę, zademonstruję ci – zaproponował.

Gilan wysłał swojego asystenta, Nichola, ucznia drugiego roku, żeby przyniósł instrument i przyprowadził Maddie. Nichol wrócił z mandolą po pięciu minutach. Kilka chwil później pojawiła się Maddie.

Will stroił właśnie ośmiostrunową mandolę, kiedy dziewczyna weszła. Na jej twarzy malowała się ciekawość. Domyślała się, że uczestnicy narady wpadli na jakiś pomysł dotyczący tego, jak ona i jej mentor mają podróżować po Gallii. Z wyraźnym zainteresowaniem popatrzyła na trzymany przez Willa instrument.

– Padł pomysł, żebyśmy podróżowali jako rybałci – powiedział. – Ja będę grał i oboje będziemy śpiewać.

Maddie pokiwała głową.

– Świetny pomysł.

Will popatrzył na instrument, żeby uniknąć jej entuzjastycznego spojrzenia. Podobnie jak wielu niemuzykalnych ludzi, Maddie nie miała pojęcia o tym, że fałszuje.

– Pamiętasz słowa *Gwiżdżącego młynarza*? – zapytał, a ona pokiwała głową. Will brzęknął jedną struną. – Dołącz do mnie w refrenie.

Zagrał zgrabnie przygrywkę i zaczął śpiewać.

*Był sobie raz młynarz z Wierzbowej Kipieli
Tak gwizdał, jak żeście jeszcze nie widzieli...*

Tu musiał przerwać, ponieważ Halt uniósł ręce, żeby zaprotestować.

– Zaraz! Zaraz! Nie tak szybko z tym wozem! – powiedział.

Will popatrzył na niego zaskoczony.

– Coś nie tak?

Halt z przekonaniem pokiwał głową.

– Owszem, coś jest nie tak. Jak możesz zobaczyć gwizdanie? Rozumiałbym, gdyby była mowa o gwizdku, ale tu chodzi o dźwięk wydawany przez tego całego młynarza, prawda?

– Owszem – zgodził się Will.

– W takim razie powinno być „Tak gwizdał, jak żeście jeszcze nie słyszeli”.

– Ale tak idą słowa tej piosenki.

– Cóż, jak widać, nie mają sensu – oznajmił gorąco Halt. – Są absurdalne.

– To jest piosenka, Halcie. *Licentia poetica*.

– Ludzie zawsze tak mówią, jak coś jest głupie. To głupia piosenka.

– Mogę zamiast tego zaśpiewać *Pieśń o Halcie Siwobrodym...* – zaproponował Will. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Halt nienawidził tej piosenki. W końcu uniósł ręce, dając znak, że się poddaje.

– No dobrze, śpiewaj dalej o tym widzialnym gwiździe – powiedział.

Will kontynuował od miejsca, w którym przerwał.

*Umiał gwizdać jak kos i gwizdać jak szpak,
A gdy ktoś go zapytał, odpowiadał mu tak...*

Halt znowu podniósł rękę, więc Will urwał, trochę zniecierpliwiony. Żaden śpiewak nie lubi, żeby co chwila mu przerywać, a on podejrzewał, że Halt robi to specjalnie.

– Co znowu? – zapytał oschle.

– O co go zapytał? – zainteresował się Halt.

Will skrzywił się do swojego mentora.

– Zaraz do tego dojdziemy – zapewnił. – Jeśli przestaniesz mi przerywać, dowiesz się, o co go pytano.

– Cóż, w takim razie kontynuuj – powiedział Halt bez cienia skruchy, a Will odetchnął głęboko i śpiewał dalej.

*Tajników mej sztuki nie będę tu krył:
Stul wargi i dmuchnij, na ile masz sił!*

Skinął głową na Maddie, żeby razem z nim śpiewała refren. Włączyła się z imponującą energią.

*Gwiżdż głośno i mocno,
Nie będę tu krył.
Gwiżdż głośno i mocno,
Na ile masz sił!*

Will ostatni raz uderzył w struny i piosenka się skończyła. Maddie wyczekująco popatrzyła na publiczność.

– Co o tym myślicie? – zapytała.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, aż w końcu Gilan powiedział cicho:

– Wielkie nieba...



Will wskazał drzwi prowadzące do poczekalni przed gabinetem Gilana.

– Maddie, możesz nas zostawić na chwilę, żebyśmy mogli porozmawiać? – poprosił. Dziewczyna wzruszyła ramionami i wyszła. Kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi, pozostali wymienili spojrzenia. Halt, który nie miał szczególnie wyrobionego ucha, zmarszczył brwi z namysłem.

– Jak rozumiem, nie wypadło to najlepiej? – upewnił się.

Cassandra uniosła brwi. Była matką, a matki nigdy nie chcą mówić niczego złego o swoich dzieciach.

– Może jest odrobinę lepsza niż w przeszłości – powiedziała ostrożnie.

Horace roześmiał się ironicznie.

– Naprawdę tak myślisz?

Cassandra niechętnie potrząsnęła głową.

– Czyli jest do niczego? – podsumował Halt.

– Nie chodzi o to, że się nie stara – zapewniła go Cassandra. – Nie brakuje jej entuzjazmu.

– To należy rozumieć jako „jest bardzo głośna” – wtrącił Horace, a Cassandra rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Ujmijmy to w ten sposób, Halcie – powiedział Gilan. – Maddie mogłaby stać się wielką mistrzynią gildii fałszujących.

– To się nazywa „mieć drewniane ucho” – dodał Will. – Czasem śpiewamy razem wieczorem, po obiedzie. Przyznaję, że nie brakuje

jej entuzjazmu. Umie śpiewać bardzo głośno. I fałszuje dosłownie każdą nutę. Mija się z nią o kilometr.

– Wystarczy – warknęła Cassandra. – Ustaliliśmy, że nie jest najlepszą śpiewaczką. Możemy już zostawić ten temat?

– Przepraszam. – Will teatralnym ruchem podniósł ręce w obronnym geście.

– Cóż, skoro nie może być wędrowną muzykanką, to co jej zostanie? – zapytał Halt, ponieważ wyczuł, że rozmowa wkracza na grząski grunt. W komnacie znowu zapadła długa cisza.

– Może Malloy by nam pomógł? – zaproponował w końcu Gilan.

– Malloy? Błazen taty? – zapytała Cassandra.

– Jest nie tylko królewskim błaznem – wyjaśnił Gilan. – Malloy odpowiada za dostarczanie rozrywki mieszkańcom zamku. Zatrudnia artystów, którzy występują przed królem. Sam także ma wiele talentów. Jest oczywiście błaznem, ale potrafi tańczyć i naprawdę dobrze śpiewać. Umie też zonglować. Może on potrafiłby podpowiedzieć, co Maddie mogłaby robić.

Will wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi spróbować.

Gilan zadzwonił małym dzwonkiem, który miał na biurku, by wezwać Nichola. Młody uczeń otworzył drzwi i wszedł do środka. Zza jego pleców Maddie patrzyła na nich wyczekująco.

– Jeszcze kilka minut, Maddie – zapewnił ją Gilan. Zwrócił się do Nichola: – Czy mógłbyś sprowadzić tu Malloya? – Zastanowił się nad tym poleceniem. Nichol miał szesnaście lat, a szesnastolatkiem nie byli wcieleniem taktu. – Przekaż mu moje wyrazy uszanowania i zapytaj, czy zechciałby poświęcić nam kilka minut – poprawił się.

Nichol jako szesnastolatek miał typowy dla tego wieku dar ostentacyjnego okazywania znudzenia. Był mistrzem przewracania oczami i wzdychania. Teraz zrobił jedno i drugie.

Mówił w ten sposób jasno: „Przyprowadź Maddie. Przynieś mandolę. Przyprowadź Malloya...”.

– Tak jest – odpowiedział bez entuzjazmu i wycofał się z komnaty.

– Cóż za radosny młodzieniec – zauważył Will.

Gilan skinął głową.

– Nie podoba mu się, że siedzi tutaj jako mój asystent do spraw papierkowych – powiedział. – Będę musiał niebawem zadbać, żeby

zdobył doświadczenie w terenie.

– Przyślij go do mnie. – Will uśmiechnął się złowieszczo. – Na pewno zdobędzie doświadczenie.

Gilan się uśmiechnął. Pomyślał, że po kilku tygodniach u Willa Nichol może zacząć tęsknić do Zamku Araluen.

– Może tak zrobię. To w gruncie rzeczy dobry dzieciak, ale ta praca potrafi być okropnie nudna.

– Ha! – prychnął Will.

Cassandra uśmiechnęła się do niego.

– Kiedy zmieniłeś się w zgryźliwego staruszka? – zapytała.

Will wskazał kciukiem Halta.

– Jakies pięć minut po tym, jak go poznałem – oznajmił. – To on nauczył mnie wszystkiego, co umiem.

– Na szczęście – odparł z uśmiechem Halt – nie nauczyłem go wszystkiego, co sam umiem.

Kilkanaście minut później Nichol powrócił, zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu.

– Błazen Malloy już jest, sir – powiedział do Gilana. Być może wyczuł wcześniej poirytowanie Willa, ponieważ był teraz rzeczowy i energiczny, a jego oczy nie wykonywały dziwnych sztuczek.

Gilan uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję, Nicholu. Zaproś go tutaj. Przyślij nam także Maddie.

Błazen był wysoki i szczupły, ale o atletycznej budowie, z wąskimi biodrami i szerokimi ramionami. Był gładko ogolony, co podkreślało wystające kości policzkowe i orli nos. Miał na sobie stonowaną wersję tradycyjnego stroju błazna – kaftan w zielono-czerwone romby oraz żółte rajtuzy, a także długie szpiczaste buty bez dodatkowych pomponów i dzwoneczków. Na krótko przyciętych włosach nosił filcową czapkę zamiast tradycyjnego nakrycia głowy ozdobionego dzwoneczkami i błyskotkami.

Był pięknie umięśniony i poruszał się z wdziękiem. Will, przyglądając mu się, doszedł do wniosku, że Malloy miałby szansę z każdym wojownikiem – i nie mylił się. Malloy w razie potrzeby potrafił posługiwać się mieczem z przerażającą prędkością i precyzją.

Gilan przedstawił obecnych. Malloy znał oczywiście Cassandrę i Horace'a. Rozpoznawał też Maddie, ale zgodnie z przyjętym protokołem udawał, że widzi w niej tylko uczennicę zwiadowców,

a nie drugą osobę w kolejce do tronu. Od niedoszęłego przewrotu pałacowego Dimona większość wyższego rangą personelu na zamku wiedziała o podwójnej tożsamości Maddie. Panowała jednak milcząca zgoda, że nie wypada tego zauważać ani też o tym dyskutować. Jeśli ubierała się jak zwiadowca, była po prostu Maddie. Jeśli pojawiała się w eleganckiej sukni, stawała się księżniczką Madelyn.

– Potrzebujemy twojej rady, Malloyu – zaczął Gilan. – Will musi jechać na misję w przebraniu rybaka. Potrafi grać na mandoli i śpiewać.

Malloy skinął Willowi głową.

– Słyszałem, że jesteś obdarzony prawdziwym talentem, sir – powiedział.

Will się uśmiechnął.

– Nie narzekam.

– Maddie ma jechać z nim – ciągnął Gilan. – Ale dla niej także musimy wymyślić jakąś rolę.

– Mogę śpiewać razem z Willem, prawda? – wtrąciła Maddie, rozglądając się po obecnych. Przez chwilę nikt jej nie odpowiadał.

W końcu odezwał się Halt, z rzadko okazywanym taktem.

– Masz przyjemny głos, Maddie, ale... nie w kategoriach profesjonalnych. – Bardzo lubił Maddie i nie chciał jej zawstydząć.

Dziewczyna wydawała się trochę rozczarowana, ale skinęła głową.

– Skoro tak mówisz. Jeśli uważasz, że to by coś dało, mogę poćwiczyć.

– Zobaczmy, co zaproponuje Malloy – powiedział Halt. – On jest ekspertem.

Malloy skinął szybko głową. Przez lata spędzone w zamku zdarzało mu się czasem słyszeć, jak Maddie śpiewa. Stanął teraz przed nią i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Hmm. Wydaje się, że jesteś dość sprawna – powiedział. – Może akrobacja? Jak sobie z tym radzisz? To coś, czego w miarę szybko mógłbym cię nauczyć. – Popatrzył na Gilana. – Wnoszę, że to pilna sprawa, tak? – zapytał. Wiedział, że tak zazwyczaj było w przypadku misji zwiadowców.

– Tak – odparł Gilan. – Musi być gotowa w kilka tygodni.

Will podniósł rękę, zanim Malloy zdążył rozwinąć myśl.

– Akrobacje mogą nie być dobrym pomysłem – powiedział. – Maddie jest bardzo sprawna i zwinna, z doskonałym wyczuciem równowagi, ale kilka lat temu została raniona oszczepem i ma odrobinę sztywne biodro.

– Czy sprawia ci to ból? – zapytał Malloy.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Zazwyczaj nie. Ale po dłuższym treningu lub gdy się zmęcę, czuję, że sztywnieje. – Rozłożyła przepaszając ręce. – Przykro mi.

– To nie twoja wina – odparł Malloy. – Poproszę Sanne, żeby rzuciła na to okiem.

– Sanne? Kto to taki? – zapytała Maddie.

– Jedna z moich ludzi. Ma potrójną specjalizację: zonglerka, akrobacja i rzucanie nożami. Może uda jej się nauczyć cię zonglowania, chociaż w tak krótkim czasie nie wyjdiesz poza podstawy. Potrzebujemy czegoś więcej, jeśli ludzie mają uwierzyć, że zarabiasz w ten sposób na życie.

– Maddie umie rzucać nożem – zauważył Gilan, co zainteresowało Malloya.

– Naprawdę? Jak dobrze?

Maddie popatrzyła pytająco na Gilana. Zwiadowca wskazał portret jednego z przodków Duncana, wiszący na ścianie za biurkiem.

– Pokaż mu.

Maddie sięgnęła do podwójnej pochwy przy lewym boku. Zamachnęła się do tyłu jednym płynnym ruchem, a potem szarpnęła rękę do przodu. Rzucony nóż zalśnił w świetle, koziółkując przez całą długość komnaty, a potem z głośnym dźwiękiem wbił się dokładnie pomiędzy oczy wiekowego rycerza na portrecie.

– Tak dobrze – powiedział Malloy. – Myślę, że moglibyśmy to wykorzystać.

– Prapradziadek Hesperus stracił trochę na urodzie – zauważyła Cassandra.

Gilan się uśmiechnął.

– Nigdy nie przepadałem za tym obrazem.



Następnego ranka Maddie, na polecenie Malloya, zjawiała się w zbrojowni na pierwszym piętrze donżonu. Czekała, rozglądała się wokół. Nie była w tej długiej, pustej sali od ostatniego pojedynku treningowego jej matki z Dimonem przed rebelią Czerwonych Lisów. Sala była obszerna, ale dobrze oświetlona przez wysokie okna ciągnące się wzdłuż południowej ściany. Na jednym końcu, na stojaku, czekały broń i zbroje do treningu – drewniane miecze, topory i halabardy, a także wataowane kurtki i skórzane hełmy z metalową siateczką mającą chronić twarz. Na potrzeby bardziej realistycznych ćwiczeń przygotowano także stojak ze stalowymi mieczami.

Maddie zauważyła, że miecze miały zaokrąglone czubki i stępione ostrza. Uznała, że nie są zbyt realistyczne.

Drewniana podłoga została wydeptana na przestrzeni lat przez tysiące stóp, ponieważ wojownicy od pokoleń ćwiczyli tu swoje umiejętności. Deski w wielu miejscach były ponacinane lub poobijane, to zbyt energicznie wyprowadzone ciosy nie trafiły w cel i uszkodziły podłogę. Takie miejsca wygładzono piaskiem i wypełniono, ale pozostawały widoczne.

– Dzień dobry. Jestem Sanne. Malloy poprosił mnie, żebym z tobą popracowała.

Maddie odwróciła się na dźwięk tych słów. Sanne okazała się młodą kobietą po dwudziestce. Była drobna, ale niezwykle sprawna, z wyrobionymi mięśniami. Wymawiała swoje imię „Sana”. Miała

przyjemne, regularne rysy, a jej ciemnoblonde, sięgające do ramion włosy opadały grubą falą na prawą stronę twarzy.

Miała na sobie długi kaftan w tworzące tradycyjny wzór romby – czerwone, zielone i żółte. Do tego włożyła żółte rajtuzy i czerwone skórzane buty do kostek. Maddie zauważyła, że buty nie były w typowym dla błaznów kroju, z zawiniętymi do góry noskami i dzwoneczkami. Przypomniała sobie, że Malloy zapowiedział, że będzie pracować z akrobatką. Prawdopodobnie długie, zawinięte noski przeszkadzałyby w popisach akrobatycznych.

Zanim Maddie zdążyła odpowiedzieć, Sanne zapytała:

– Jesteś księżniczką Madelyn, prawda?

Maddie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Nazywaj mnie Maddie – powiedziała.

Zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę. Sanne szybko nią potrząsnęła, ale Maddie zdążyła zauważyć siłę i stanowczość uścisku. Akrobatka przyglądała się jej teraz z zainteresowaniem. Maddie była ubrana podobnie do niej, w długi kaftan i rajtuzy, ale wybrała bardziej stonowane kolory – spokojną zieleń i brąz, kontrastujące z jaskrawymi rombami na stroju Sanne.

– Nie wyglądasz jak księżniczka – zauważyła Sanne.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Od jakiegoś czasu jestem uczennicą zwiadowców – wyjaśniła i dodała: – Ale to powinno pozostać tajemnicą.

Sanne zmarszczyła brwi.

– A tak – powiedziała. – To ty pokrzyżowałaś Dimonowi szyki półtora roku temu, prawda?

Jej ciekawość zaczęła się teraz mieszać z szacunkiem. Maddie westchnęła. Po tym, jak odegrała ważną rolę w doprowadzeniu do klęski Klanu Czerwonego Lisa, wiedziała, że trudno jej będzie zachowywać swoją tożsamość w całkowitej tajemnicy – szczególnie wśród pracowników Zamku Araluen.

– Wiele osób pokrzyżowało mu szyki – przypomniała. – W szczególności moja matka. Ale tak jak mówiłam, nie ujawniamy publicznie mojej roli zwiadowcy.

Sanne skinęła głową, ponieważ rozumiała, z czego to może wynikać. Byłoby ryzykowne, gdyby zbyt wiele osób wiedziało o podwójnej tożsamości Maddie.

– Będę o tym pamiętać – obiecała. Kwestia tożsamości Maddie została już wyjaśniona, więc Sanne przeszła do rzeczy. – No dobrze, w czym mogę ci pomóc? Malloy powiedział, że mam cię wyszkolić na rybakę.

– Jadę na misję razem z moim mentorem, Willem Treaty – zaczęła Maddie. Zauważyła, że na dźwięk imienia Willa, Sanne otworzyła szerzej oczy. Nauczyciel Maddie był w Araluenie sławną postacią, niemal żywą legendą, podobnie jak wcześniej Halt, chociaż mało kto osobiście spotkał któregoś z nich. W efekcie o obu zwiadowcach krążyły nieprawdopodobne historie. Ludzie mówili, że są wysocy jak olbrzymi, potężni i umięśnieni. Prości ludzie rozpowiadali także po wsiach, że zwiadowcy potrafią pojawiać się i znikać na życzenie i są biegli w sztuce czarnoksiężkiej.

W rzeczywistości, chociaż obaj mieli wyrobione mięśnie ramion i pleców od wieloletnich ćwiczeń z długimi łukami, byli, podobnie jak większość zwiadowców, niżsi od przeciętnego mężczyzny. Przypisywana im zdolność pojawiania się i znikania stanowiła rezultat treningu, umiejętności maskowania oraz wykorzystania szaro-zielonych, cętkowanych peleryn, które pozwalały im wtapiać się w zielen lasu. Wszyscy zwiadowcy wiedzieli, że kluczem do tego, by nie dać się zauważyć, było pozostawanie w bezruchu nawet wtedy, gdy wydawało się, że nieprzyjaciel musiał ich dostrzec. W dziewięciu przypadkach na dziesięć niczego tak naprawdę nie zauważał.

Maddie zawsze bawiło obserwowanie ludzi, którzy po raz pierwszy spotykali Willa. Widać było ich niedowierzanie, a nawet rozczarowanie.

Wyraz ich twarzy mówił jasno: „To ma być ten wielki Will Treaty? To chyba jakaś pomyłka!”.

– Mamy podróżować przebrani za rybaków – mówiła dalej. – Will będzie udawać minstrela. Potrafi całkiem dobrze grać na mandoli i śpiewać.

– A ty? – zapytała Sanne.

Maddie się zawahała.

– Nie umiem grać na mandoli – powiedziała. Nie wspominała o śpiewaniu, ponieważ zaczynała podejrzewać, że nie idzie jej to tak dobrze, jak jej się wydawało. Z ulgą przyjęła to, że Sanne nie

ciągnęła tematu. Akrobatka zmierzyła ją badawczym wzrokiem, a potem obeszała dokoła.

– Wydaje się, że jesteś sprawna – powiedziała bardziej do siebie. – Czy umiesz robić koziołki?

– Nie jestem pewna. Ja...

Sanne przerwała jej szybkim machnięciem ręki.

– Spróbuj czegoś takiego – poleciała i położyła na podłodze skórzaną torbę, którą miała do tej pory na ramieniu.

Bez żadnego przygotowania zrobiła trzy szybkie kroki, wybiła się wysoko w górę i obróciła, robiąc salto w przód. Wylądowała na obu stopach prawie bezgłośnie i utrzymując idealną równowagę.

Maddie zauważyła, że podeszwy czerwonych butów akrobatki są z miękkiej skóry, czemu po części zawdzięczała tak ciche lądowanie. Odetchnęła głęboko, przygotowała się, a potem skoczyła do przodu, wybijając się wysoko w powietrze i podkulając głowę, żeby zrobić salto.

Wyszło jej to całkiem dobrze, chociaż znajdowała się znacznie bliżej podłogi niż Sanne, a jej palce musnęły deski.

Kiedy jednak wylądowała, kontuzjowane biodro zawiodło ją trochę i potknęła się, robiąc trzy kroczyki, żeby złapać równowagę. Sanne zmarszczyła brwi. Maddie zakłęta pod nosem. Miała nadzieję, że biodro wytrzyma taki wysiłek. Poklepała się po nim.

– Mam trochę sztywne biodro – wyjaśniła. – Kilka lat temu zostałam raniona włócznią i nigdy nie wróciłam do pełnej formy.

Sanne z namysłem przygryzła wargi.

– Hmm. Rozumiem. To poważny problem w przypadku akrobacji. Gdybyśmy miały czas, mogłybyśmy coś na to poradzić, chociaż to by było bolesne. Zgodziłabyś się spróbować?

– Nie obawiam się bólu – odparła Maddie. – Ale czas nam nie sprzyja. Mamy najwyżej kilka tygodni. Może po powrocie będę mogła popracować nad uruchomieniem tego biodra.

– Cóż, w kilka tygodni nie damy rady – przyznała Sanne. – Lepiej zastanówmy się nad czymś innym. Umiesz choć trochę zonglować?

– Dwoma piłeczkami – powiedziała Maddie. – Nie więcej.

Sanne nie odezwała się ani słowem. Sięgnęła, pochylając się po torbę, leżącą na podłodze, wyjęła dwie miękkie piłeczki do

żonglowania i rzuciła je Maddie. Skinęła głową z nieukrywaną aprobatą, widząc, że młoda zwiadowczyni złapała je zgrabnie.

– Na razie nieźle – oceniła. – A teraz zobaczymy, jak dobra w tym jesteś.

Maddie wzięła po jednej piłeczce w każdą dłoń i zaczęła. Podrzuciła piłeczkę lewą ręką, rzuciła tę z prawej dłoni poziomo do lewej, a potem złapała pierwszą piłeczkę prawą dłonią. Powtarzała to, pozwalając, by obie piłeczki krążyły w górę i w dół.

Po kilku powtórzeniach Sanne uniosła rękę, dając jej znać, że może przerwać.

Maddie złapała piłeczkę i czekała na opinię. Uważała, że całkiem dobrze sobie radziła. Tylko z dwoma piłeczkami, ale mimo wszystko nieźle.

– Dobrze, a co to było? – zapytała Sanne.

Maddie popatrzyła na nią zaskoczona.

– Żonglowałam – powiedziała.

Sanne potrząsnęła głową.

– Nie. Rzucałaś do góry jedną piłeczkę i przerzucałaś drugą do wolnej ręki. Większość ludzi myśli, że to żonglowanie. TO jest prawdziwe żonglowanie.

Kobieta bez żadnego wysiłku rzuciła obie piłeczki w powietrze w przeciwnych kierunkach. Tę z lewej dłoni tak, by spadła do prawej ręki, a tę z prawej odrobinę później, tak że minęła się w powietrzu z drugą i spadła do lewej ręki. Złapaną piłeczkę rzucała natychmiast znowu, w rytmie raz, dwa, trzy, cztery. Piłeczki leciały wysoko do góry i zataczały łuk nad jej głową.

Po kilku powtórzeniach Sanne przerwała i przechyliła głowę, żeby spojrzeć na Maddie.

– Zobaczymy, czy zdołamy cię tego nauczyć – powiedziała.





No dobrze – powiedziała Sanne. – Musisz zapamiętać kilka rzeczy. – Położyła dłonie na ramionach Maddie i ściągnęła jej łopatki. Przesunęła dziewczynę tak, żeby stała dokładnie przed nią.

– Stój swobodnie i pewnie, z lekko ugiętymi nogami i stopami płasko na podłodze. Teraz weź piłeczkę do każdej ręki.

Maddie wykonała polecenie, patrząc wyczekująco na Sanne.

– Rozluźnij się. Zaczynasz się spinać. Przyciągnij łokcie do ciała tak, żeby skierować przedramiona do przodu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. – Zaczekała, aż Maddie przyjmie właściwą pozycję. – Teraz rzuć piłeczkę z prawej ręki w górę ponad głowę tak, żeby złapać ją lewą ręką.

Maddie posłuchała. Piłeczka spadła w jej lewą dłoń. Zwiadowczyni popatrzyła na Sanne, która skinęła głową z aprobatą.

– Dobrze. Teraz rzuć ją z powrotem do prawej ręki.

Maddie znowu podrzuciła piłeczkę, ale tym razem musiała wyciągnąć rękę, żeby ją złapać, ponieważ spadła jakieś trzydzieści centymetrów przed nią. Sanne uniosła dłoń, dając jej znać, żeby przestała.

– Widzisz? – zapytała. – Musisz wyciągnąć rękę, żeby złapać piłeczkę. To znaczy, że rzuciłaś ją za daleko do przodu. Piłeczki powinny pozostawać w jednej płaszczyźnie i poruszać się tylko w górę i w dół, tak żeby lądowały w twojej dłoni bez konieczności łapania. Spróbuj znowu.

Maddie zrobiła to, marszcząc brwi w skupieniu i pilnując, żeby rzucić piłeczkę pionowo w górę. Tym razem spadła dokładnie w jej

dłoni.

– Lepiej. Powtórz to.

Rzut, lot, pacnięcie. Po raz kolejny piłeczka wylądowała prosto w dłoni Maddie. Rzuciła ją znowu w drugą stronę.

– Dobrze – pochwaliła Sanne. – Nie przerywaj. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Rzuć. Złap. Rzuć. Złap.

Przestała odliczać rytm, ale Maddie nadal rzucała i łapała piłkę, licząc półgłosem.

– Możesz liczyć głośno, jeśli wolisz – powiedziała Sanne.

Za siódmym razem Maddie rzuciła piłeczkę znowu za daleko do przodu i wyciągnęła rękę, żeby ją złapać, ale nie zdołała tego zrobić. Zakłęła cicho, gdy piłeczka uderzyła o podłogę.

Sanne podniosła ją i rzuciła do Maddie. Uśmiechnęła się ze współczuciem.

– To największa trudność, z jaką musisz sobie poradzić – powiedziała. – Ale niedługo ci się uda.

Maddie znowu zaczęła sekwencję.

– Nie rozumiem, czemu nie używacie piłeczek, które by się odbijały – mruknęła pod nosem. Piłeczki były ze skóry, wypełnione czymś, co w dotyku przypominało ziarna zboża.

– Cóż, gdyby tak było, biegałabyś za nimi po całej sali – odparła Sanne. Popatrzyła, jak Maddie rzuca piłeczkę jeszcze kilka razy, a potem zatrzymała ją gestem uniesionej ręki. – Dobrze. Rzucasz już dość równo, chociaż trochę za wysoko. Spróbuj przerzucać je tuż nad głową.

Wręczyła Maddie drugą piłeczkę.

– Spróbuj teraz z dwoma. Rzuć piłeczkę prawą ręką, a kiedy znajdzie się na wysokości twojej głowy, rzuć piłeczkę z lewej ręki, żeby przeszła pod nią. Powinnaś podrzucić obie na tę samą wysokość.

Maddie ustawiła się i przygotowała na nowe wyzwanie.

– Nie spinaj się – przypomniała Sanne. – Sekret żonglowania nie polega na łapaniu, tylko na rzucaniu. Jeśli będziesz rzucać piłeczki prawidłowo i w jednej płaszczyźnie, same z siebie wylądują w twoich rękach. Gotowa?

– Gotowa – odparła krótko Maddie, skoncentrowana na tym, co ma przed sobą.

– Pamiętaj, jeśli będziesz je rzucać prawidłowo, nie musisz na nie patrzeć. Pozwól, żeby latały przed tobą. A teraz raz, dwa, trzy, zaczynasz.

Rzut, rzut, chwyt, chwyt.

– Doskonale! Jeszcze raz.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Maddie uśmiechnęła się triumfalnie, kiedy druga piłeczka spadła w jej prawą rękę, zamykając sekwencję.

Sanne skinęła głową z aprobatą.

– Dobrze. A teraz rzuć najpierw piłeczkę z lewej dłoni.

Maddie zawahała się na moment, przestawiając się na działanie w drugą stronę. Potem wykonała polecenie.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Druga piłeczka spadła w jej lewą rękę, a Maddie omal jej nie upuściła.

– Spróbuj jeszcze raz w ten sposób – poleciła Sanne.

Tym razem Maddie wykonała sekwencję bez upuszczenia piłeczki. Spróbowała jeszcze raz, a potem kolejny. Za trzecim razem druga piłeczka poleciała za daleko do przodu. Zwiadowczyni zdołała ją złapać, ale musiała przerwać, ponieważ zgubiła rytm. Przygryzła wargi z irytacją.

– Spokojnie. Dobrze ci idzie.

– Tyle że ile razy wydaje mi się, że już wiem, co robię, rzucam piłeczkę za daleko do przodu – odparła Maddie.

– Spróbuj ćwiczyć, stojąc przy ścianie – poradziła Sanne. – To może pomóc.

Maddie przemyślała to i skinęła głową.

– Masz rację, to może być dobry pomysł. Co dalej?

Sanne się uśmiechnęła.

– Dalej ja zrobię sobie kilka dni wolnego, a ty będziesz ćwiczyć, aż zaczniesz to wychodzić uszami. Wtedy dodamy trzecią piłeczkę.

– Nie możemy tego zrobić od razu? – zapytała Maddie. – Wydaje mi się, że prawie już opanowałam dwie.

– „Prawie” nie wystarczy – odparła Sanne. – Musisz całkowicie swobodnie i bez zastanowienia żonglować dwoma piłeczkami, zanim przejdziemy dalej.

– Ale... – zaczęła Maddie. Chciała jak najszybciej opanować nową umiejętność.

Sanne uniosła rękę, by jej przerwać.

– Słyszałam od Gilana, że wy, zwiadowcy, macie takie powiedzenie dotyczące ćwiczenia – powiedziała. – Jak ono szło?

– Większość ludzi ćwiczy, dopóki nie zaczną trafiać. Zwiadowca ćwiczy, dopóki nie przestanie pudłować.

– W tym przypadku „zwiadowczyni” – zauważyła Sanne. – Żonglerzy mają podobną zasadę. Ćwicz dalej, zobaczymy się za dwa dni.

– Niech tak będzie – zgodziła się Maddie. Zaczęła kolejną sekwencję, ale ostatecznie, przy trzecim powtórzeniu, musiała wyciągnąć rękę po jedną z piłeczek i upuściła ją. Zaklęła cicho.

Sanne się uśmiechnęła.

– Widzisz już, co miałam na myśli? – zapytała.

Oddaliła się do schodów, zostawiając Maddie rzucającą i łapiącą, rzucającą i łapiącą, z językiem wysuniętym spomiędzy zębów.



– Zamierzasz pokazywać język publiczności? – zapytał Will następnego dnia, kiedy Maddie ćwiczyła rzucanie i łapanie w jednej z komnat ich apartamentów.

– Co takiego? – zapytała, nie słuchając.

Will wzruszył ramionami.

– Wiesz, niektórzy mogą się poczuć urażeni. A nie należy obrażać tych, którzy mają ci zapłacić.

Maddie skinęła głową i schowała język, ale po kilku kolejnych rzutach znowu zaczęła go bezwiednie wysuwać. Will zauważył to od razu.

– Znowu to robisz – oznajmił pogodnie.

Maddie zaklęła pod nosem. Schowała język i natychmiast zepsuła następny rzut, a piłeczka spadła na podłogę i wtoczyła się pod kanapę.

– Niech to – powiedziała z goryczą, pochylając się, by podnieść piłeczkę. Zaczęła znowu sekwencję i tym razem zrobiła osiem albo dziewięć powtórzeń, zanim jedna z piłeczek poleciała krzywo

i spadła na podłogę. Wturlała się pod fotel, a Maddie znowu musiała przykłęknąć, żeby ją wyciągnąć. Will obserwował uczennicę z zainteresowaniem.

– Gdybyś ćwiczyła nad stołem albo nad łóżkiem, nie musiałabyś się czołgać za nimi po podłodze – zauważył, nie kryjąc nutki złośliwości w głosie.

– Bądź cicho – odparła szorstko Maddie, śledząc wzrokiem tor lotu piłeczek. Tym razem zrobiła ponad tuzin powtórzeń, zanim musiała sięgnąć po piłeczkę, którą upuściła. Z westchnieniem podniosła ją i podeszła do stołu, żeby ćwiczyć dalej. Tym razem zrobiła piętnaście powtórzeń, zanim upuściła piłeczkę. Teraz jednak piłeczka wylądowała na stole, przetoczyła się kawałek i znieruchomiła. Maddie podniosła ją bez trudu.

– Mówiłem – oznajmił Will.

Maddie zaczerpnęła powietrza, żeby rzucić mu złośliwą odpowiedź, ale uświadomiła sobie, że miał rację, więc nic nie powiedziała.

Rzut, rzut, chwyt, chwyt. Maddie ćwiczyła dalej, a Will obserwował ją przez chwilę, ale uświadomił sobie, że nie musi już niczego komentować. Pamiętała o niewysuwaniu języka, a piłeczki krążyły równo, nie spadając na stół.

Wrócił do czytania raportu o działalności piratów na północno-zachodnim wybrzeżu Araluenu.





Następnego dnia rano Sanne sprawdziła postępy Maddie i pokiwała głową z aprobatą.

– Dobra robota – powiedziała. – Dodajmy trzecią piłeczkę, to zbliżymy się do celu.

Włożyła trzecią piłeczkę w prawą dłoń Maddie, tak że miała teraz dwie piłeczki w prawej dłoni i jedną w lewej.

– Oto nowa sekwencja: rzucasz prawą ręką. Rzucasz lewą ręką. Łapiesz lewą ręką. Rzucasz prawą ręką. Łapiesz lewą ręką.

Maddie zmarszczyła brwi.

– Możesz powtórzyć? – poprosiła, a Sanne powtórzyła sekwencję.

– W taki sposób. – Zademonstrowała z dodatkową piłeczką, więc sekwencja zmieniła się teraz w: rzut, chwyt, rzut, chwyt, rzut, chwyt. Maddie spróbowała i natychmiast poczuła, że musi zaczynać naukę od początku. Równy rytm, jaki udało jej się wypracować z dwiema piłeczkami, całkowicie zniknął. Piłeczki latały chaotycznie, a ona próbowała je łapać i upuszczała.

– Nigdy tego nie opanuję – powiedziała z goryczą.

Sanne uśmiechnęła się do niej.

– Oczywiście że opanujesz. Musisz tylko poćwiczyć. Zaczynaj od początku.

Maddie posłuchała i po kilku nieudanych sekwencjach zaczęła łapać nowy wzorzec. Piłeczki poszybowały w równym rytmie, a zwiadowczyni uśmiechnęła się triumfalnie i natychmiast upuściła jedną z nich.

Sanne pochyliła się, żeby ją podnieść, i oddała Maddie.

– Widzisz? Mówiłam – powiedziała.

Maddie się skrzywiła.

– Tak, ale tym razem upuściłam jedną.

Instruktorka wzruszyła ramionami.

– Zgoda, ale przy poprzednich czterech powtórzeniach nie upuściłaś żadnej. To już postęp.

– Skoro tak twierdzisz.

– Owszem. Wystarczy teraz, że będziesz ćwiczyć przez kilka dni z trzema piłeczkami, a z pewnością opanujesz sekwencję. Teraz może spróbujemy czegoś innego.

– Z przyjemnością – zgodziła się Maddie.

Schowała piłeczki do kieszeni kurtki i przeszła za Sanne na koniec sali treningowej. Po raz pierwszy zauważyła, że stoi tam jakiś obiekt wysokości człowieka, przykryty grubą lnianą płachtą. Sanne ściągnęła materiał, odsłaniając dużą okrągłą tarczę z zaznaczonymi dwunastoma ponumerowanymi segmentami. Wyglądała jak ogromna wersja tarczy, jakich używali żołnierze z zamkowego garnizonu, by w czasie wolnym grać w rzutki.

Z nieodłącznej torby Sanne wyjęła płócienne zawiniątko. Rozłożyła je na stole, ukazując pięć identycznych noży. Były bardzo proste, z drewnianą rączką i gładkim, szpiczastym, stalowym ostrzem. Nie miały gardy ani żadnych ozdób na rękojeści. Sanne podała jeden nóż Maddie, która sprawdziła jego ciężar i wyważenie. Przekonała się, że pomimo prostego, niemal prymitywnego kształtu, nóż jest wyważony idealnie.

Przełożyła ostrze do lewej dłoni i sięgnęła po drugi, żeby go sprawdzić. Wydawał się identyczny z pierwszym. Maddie uniosła brwi.

– Są dobre – powiedziała, przekładając je z prawej ręki do lewej i z powrotem, żeby je dodatkowo przetestować.

Sanne się uśmiechnęła.

– Dziękuję – powiedziała. – Sama je zrobiłam.

– Są prawie identyczne – zauważyła Maddie, oglądając dwa proste ostrza trzymane tuż obok siebie.

– Nie „prawie” – poprawiła ją Sanne. – Są identyczne. Ciężar i wyważenie każdego są dokładnie takie same jak pozostałych. –

Wskazała okrągłą tarczę w odległości prawie sześciu metrów. – Spróbuj rzucić – zaproponowała.

Maddie na moment znieruchomiała, oceniła ciężar i wyważenie noża, a potem rzuciła go zwodniczo swobodnym ruchem. Nóż zalśnił w porannym słońcu wpadającym przez wysokie okna i zawirował w powietrzu, po czym wbił się głęboko w cel o kilka centymetrów na lewo od punktu, w którym łączyło się dwanaście namalowanych segmentów. Podczas ostatniego obrotu nóż obrócił się o ponad sto osiemdziesiąt stopni, a jego rękojeść znajdowała o jakieś dwadzieścia stopni wyżej niż czubek ostrza. Sanne popatrzyła na Maddie z leciutkim zaskoczeniem.

– Naprawdę dobrze – stwierdziła. – Spróbuj jeszcze raz. – Zanim jednak zwiadowczyni wykonała polecenie, instruktorka uniosła rękę. – Celuj w inną część tarczy – poprosiła. – Jeśli trafisz w pierwszy nóż, a nie da się tego wykluczyć, możesz odłupać kawałek rękojeści. Wtedy musiałabym go wyważyć na nowo.

Maddie skinęła głową i rzuciła drugim nożem w najszerszą część segmentu z numerem jeden, na samym szczycie tarczy. Znowu rozległo się głucho łupnięcie, a nóż zadrżał, wbity w drewno. Sanne bez komentarza podała trzeci nóż. Maddie wcelowała nim w segment z numerem dziewiątym.

– Potrafisz rzucać pod ramieniem? – zapytała Sanne, podając jej czwarty nóż.

Zamiast odpowiedzi Maddie cisnęła ostrzem spod ramienia w segment numer trzy, po przeciwnej stronie, niż rzucała za pierwszym razem.

– A znad ramienia? – Sanne podała jej ostatni nóż. Maddie rzuciła go, stojąc bokiem, w taki sposób, że wbił się centymetr dalej od pierwszego noża na środku tarczy.

Sanne zmarszczyła brwi.

– Mówiłam ci, żebyś nie rzucała w pobliże już wbitego noża.

Maddie z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– Zdążyłam je już wyczuć. Wiedziałam, że go nie trafię.

Sanne chciała coś powiedzieć, ale przyjrzała się pięciu nożom rozmieszczonym regularnie na tarczy i uświadomiła sobie, że Maddie nie przechwala się, tylko mówi prawdę. No, może troszkę się przechwalała, ale z pewnością wiedziała, jak się rzuca nożami.

– Skoro tak twierdzisz – odezwała się w końcu Sanne i podeszła do tarczy, żeby wyciągnąć z niej noże. – Cóż, jak widzę, nie muszę cię uczyć rzucania nożem – podsumowała. – Ale mogę cię nauczyć, jak zrobić z tego widowisko.

– Widowisko? – zapytała Maddie. Przez ostatnie trzy i pół roku rzucanie nożem było dla niej poważną sprawą, niezostawiającą miejsca na popisywanie się i efekciarskie sztuczki.

Sanne skinęła głową.

– Umiejętność celnego rzucania nożem jest ważna – powiedziała.

– Ale publiczność musi widzieć w tym jakieś niebezpieczeństwo, jeśli ma się dobrze bawić.

– Niebezpieczeństwo pozwala się dobrze bawić? – zdziwiła się Maddie.

Kobieta uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Oczywiście. Ludzie uwielbiają się bać – odpowiedziała.

Podeszła do tarczy i wyciągnęła zza niej nowe urządzenie, składające się z koła z nałożonym skórzanym pasem oraz korby. Założyła pas na podobne koło z tyłu tarczy, ściągnęła pasek zabezpieczający i zakreśliła korbą, żeby napiąć skórzany pas. Na próbę poruszyła lekko korbą, a tarcza powoli zaczęła się obracać w jednostajnym rytmie. Koła pasowe były różnej wielkości, więc tarcza obracała się dwa razy szybciej, niż Sanne kręciła korbą.

– Celuj w numer piąty – powiedziała nagle, zaskakując Maddie.

Zwiadowczynie spiesznie spojrzała na obracającą się tarczę i zlokalizowała segment numer pięć. Oczekwała kilka sekund, by oszacować prędkość obrotów koła i rzuciła w taki sposób, by uwzględnić przesunięcie tarczy przez czas potrzebny nożowi, by do niej dolecieć.

Łup!

Nóż uderzył w wyznaczony segment przy zewnętrznej krawędzi koła. Nie był dokładnie na środku, ale Sanne skinęła głową.

– Doskonale – pochwaliła. – A teraz numer jedenasty.

Nadal obracała korbą, dzięki czemu tarcza wirowała z równą prędkością. Maddie, oswojona już z jej ruchem, rzuciła znacznie szybciej niż poprzednio. Tym razem nóż trafił w zewnętrzną krawędź segmentu jedenastego, dokładnie w sam środek.

– Dobra robota – zawołała Sanne, trochę zadyszana od wysiłku, jakiego wymagało obracanie ciężką tarczą. – Teraz numer trzeci.

Maddie była już przygotowana. Zmrużyła oczy, wypatrzyła numer trzeci, oceniła trajektorię i rzuciła.

Łup!

Ponownie był to perfekcyjny rzut.

– Teraz w pół drogi do środka, numer siódmy.

Tym razem cel był mniejszy, ponieważ segmenty zwężyły się, zbiegając do środka tarczy. Maddie przez moment oceniała nowe warunki, a potem rzuciła kolejnym nożem, który zawirował i załśnił w słońcu, a potem wbił się w tarczę w wyznaczonym punkcie. Sanne wypuściła korbę i pozwoliła, żeby tarcza zwolniła, a potem się zatrzymała.

Uśmiechnęła się szeroko do Maddie.

– Idzie ci to lepiej niż zonglowanie.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Przez ostatnie trzy lata często rzucałam nożem – powiedziała. – Ćwiczyliśmy takimi, które nie były tak dobrze wyważone, żeby umieć rzucić dowolnym.

Sanne wskazała dwa noże przy pasie Maddie.

– Ale te twoje są wyważone do rzucania – zauważyła.

Uczennica zwiadowców skinęła głową.

– Owszem, chociaż nie tak dobrze, jak te. – Wskazała ostrza, które Sanne przyniosła na lekcję. – Te są wspaniałe.

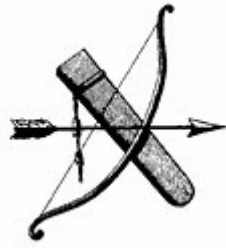
Sanne skinęła głową, dziękując za komplement.

– Muszą takie być – wyjaśniła.

– Jeszcze jedno – powiedziała Maddie. – Mówiłaś, że mamy dodać jakieś niebezpieczeństwo. Nie ma nic niebezpiecznego w rzucaniu do obracającej się tarczy.

Instruktorka się uśmiechnęła.

– Owszem, jest, jeśli do tej tarczy ktoś zostanie przywiązany.





Zachęcona przez Sanne Maddie podeszła do tarczy, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Teraz zauważyła dwa uchwyty na segmentach dziewiątym i trzecim, a także szpary w deskach na segmentach piątym i siódmym.

– Umieszczasz na tarczy kogoś z widowni – wyjaśniła Sanne. – Trzyma się uchwytów, a przez te szpary przekładasz skórzane pasy, żeby przymocować mu nogi do tarczy. Potem prosisz kogoś, żeby obracał korbą, i masz żywy cel. Oczywiście chodzi o to, żeby go nie trafić, ale rzucać tak blisko, jak to możliwe.

– Rozumiem – odparła Maddie, przyglądając się uchwytom i szparom na pasy. – Jak się domyślam, sztuczka polega na tym, żeby wcelować w odpowiednie miejsce, wiedząc, że obrót tarczy przesunie ich z miejsca, w które celujesz.

– Tak, o ile tarcza obraca się równym rytmem. Dlatego zdecydowanie radzę, żeby zajmował się tym twój mentor, a nie ochotnik z widowni.

– Tak, nie byłoby rozsądnie polegać na kimś, kto pije od kilku godzin – przyznała Maddie.

– Na wszelki wypadek nie wybieraj też jako celu nikogo szczególnie ważnego.

– Rozumiem, że to byłoby nieroztropne – stwierdziła z namysłem Maddie. – Co teraz mam robić?

– Ćwiczyć – odparła Sanne. – Ćwiczyć zonglowanie, żebyś mogła poradzić sobie trzema piłeczkami. A także ćwiczyć rzucanie do

obracałej się tarczy. Poproś któregoś ze służących, żeby nią obracał, albo nawet Willa, o ile będzie miał czas. Byłoby dobrze, gdyby nauczył się obsługiwać tę maszynę.

– Nie zostaniesz ze mną? – zapytała Maddie.

Sanne potrząsnęła głową.

– Nie potrzebujesz mnie. Pokazałam ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. Za jakiś tydzień pewnie opanujesz właściwe ruchy. Szczególnie w przypadku żonglowania. Za kilka dni sprawdzę, jakie postępy zrobiłaś, choć podejrzewam, że będziesz już wtedy gotowa do prawdziwych pokazów. Twoje żonglowanie to nic nadzwyczajnego, ale powinno wystarczyć. Zaś rzucanie nożami zrekompensuje wszystko.

– Nie będę musiała żonglować tymi nożami, prawda? – zapytała z niepokojem Maddie. Wyobraziła sobie te lśniące ostrza wirujące przed nią w powietrzu. Nie był to uspokajający widok.

Sanne się uśmiechnęła.

– Nie sądzę, żebyś miała czas to dopracować. Pozostaniemy przy żonglowaniu piłeczkami.

Pokrzepiająco poklepała młodą zwiadowczynię po ramieniu.

– Nie martw się, poradzisz sobie. Masz wrodzony talent i jesteś już naprawdę świetna w rzucaniu nożem. Musimy tylko popracować nad widowiskowością.

– I uważać, żeby nie trafić kogoś przypadkiem jednym z tych noży – dodała Maddie.

Sanne skinęła głową.

– Owszem, tak by było najlepiej – powiedziała. Zarzuciła na ramię skórzaną torbę, szykując się do wyjścia. – Zajrzę do ciebie za tydzień – obiecała. – Jeśli w tym czasie będziesz miała jakieś wątpliwości, możesz w każdej chwili po mnie posłać, żeby mi zadać pytanie.

– Mam całe mnóstwo wątpliwości – przyznała Maddie, przypominając sobie piłeczki do żonglowania, które potrafiły uciekać jej z rąk, jakby były żywe. – Ale obawiam się, że pytania nie pozwolą ich rozwiązać.

Sanne uśmiechnęła się, ponieważ doskonale ją rozumiała.

– Wiem, że w tym momencie żonglowanie wydaje ci się praktycznie niemożliwe – powiedziała. – Ale zdziwisz się, jak szybko zrobisz postępy.

– Mam nadzieję, że tak będzie – odparła Maddie.



Tydzień minął szybko, a Maddie przykładała się do ćwiczeń. Życie zwiadowcy przyzwyczało ją do systematycznych treningów i doskonalenia nowych fizycznych umiejętności. Ćwiczyła żonglerkę i rzucanie nożami na zmianę, poświęcając każdej czynności dość czasu, żeby robić postępy, ale nie tyle, żeby zacząć się tym nudzić.

Will obserwował ją z aprobatą i widział, że z każdym dniem jest coraz lepsza. Wieczorem odkładała noże i piłeczki do żonglowania, żeby zrobić sobie przerwę i następnego ranka zacząć na nowo, całkowicie wypoczęta.

Po dwóch dniach przygotowała naturalnych rozmiarów kukłę człowieka, przywiązała ją do tarczy i zatrudniła dwóch krzepkich służących do obracania korbą. Liczyła na głos, nadając rytm, żeby nie kręcili za wolno ani za szybko, a koło z kukłą obracało się ze stałą prędkością, kiedy noże uderzały w tarczę. Służący obserwowali ją z wyraźnym podziwem, byli pod wrażeniem jej biegłości w rzucaniu nożem. Kiedy jednak zapytała, czy któryś z nich dałby się przywiązać do koła, pospiesznie odmówili.

Uśmiechnęła się i nie próbowała nalegać.

Robiła się także coraz lepsza w żonglowaniu. Piłeczki w pięknym stylu wirowały w powietrzu i bardzo rzadko któraś spadała – zwykle wtedy, gdy ktoś nagle przeszkodził Maddie lub odwrócił jej uwagę. Zrobiła się do tego stopnia pewna siebie, że postanowiła spróbować żonglowania trzema nożami, wychodząc z założenia, że byłby to efektowny wstęp do pokazu rzucania nimi.

Jednakże żonglowanie nożami okazało się znacznie trudniejsze. Spędziła dziesięć minut, przyzwyczajając się do rzucania noża w powietrze w taki sposób, żeby spadł rękojeścią w drugą dłoń. Przez cały ten czas pamiętała o ostrym czubku obracającym się powoli w powietrzu. W końcu doszła do odpowiedniej biegłości z jednym nożem i przeszła do dwóch, tak jak w przypadku piłeczek. Kiedy jednak dwa ostrza zawirowały w powietrzu, spanikowała i odskoczyła z piskiem, pozwalając, żeby wbiły się w deski podłogi sali treningowej.

– Zostanę przy zonglowaniu piłeczkami – mruknęła do siebie, kiedy wyciągała noże i przyglądała się dwóm nowym szczerbom w podłodze, które musiała teraz wygładzić.

Will przez ten czas także nie próżnował. Musiał nauczyć się nowego repertuaru piosenek – szczególnie popularnych na kontynencie. Na szczęście wędrowni artyści często podróżowali pomiędzy Araluenem i Gallią, zaś jeden z podopiecznych Malloya niedawno wrócił z wyjazdu do Gallii i Iberionu, więc mógł zaprezentować Willowi trochę nowszych i popularniejszych melodii.

Ponadto zwiadowca nadzorował prace przy wozie – małym, ozdobnym, pomalowanym żywymi kolorami – w którym mieli przewozić rzeczy, a także chronić się, jeśli musieliby obozować po drodze. Był krótki, miał wysokie boki i mógł być ciągnięty przez jednego konia – Wyrwija albo Zderzaka. Miał też wysoką płócienną budę podtrzymywaną przez trzy stalowe obręcze zamocowane po bokach. Po załadowaniu tarczy do rzucania i obracającego ją mechanizmu na wozie pozostawała przestrzeń do spania dla Maddie. Nie było to dużo miejsca, ale jednak.

– A co z tobą? – zapytała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– Ja mogę spać na ziemi, pod wozem – stwierdził. – Miewałem gorsze łóżka.

Maddie miała zaproponować, że mogą spać w środku na zmianę, ale uznała, że skoro on tak uważa, to może zostać pod wozem. Will zauważył jej wahanie i odwrócił się z uśmiechem. Pomyślał, że dziewczyna szybko się uczy.

Sanne zgodnie z obietnicą wróciła siódmego dnia i oceniła postępy Maddie. Pokiwała z satysfakcją głową, kiedy zwiadowczynie sprawiła, że piłeczki zawirowały gładką kaskadą.

– Bardzo wiele się nauczyłaś – powiedziała i wskazała tarczę w kącie. – Próbowełaś już z żywym celem?

– Jeszcze nie – przyznała Maddie. – Wykorzystuję kukłę. – Wskazała jutowy worek z doczepionymi grubymi rękami i nogami, wypchany słomą.

Sanne przyjrzała się mu i zauważyła, że w tkaninie nie ma żadnych dziur ani rozcięć.

– Nic nie zastąpi ćwiczenia z prawdziwym celem – stwierdziła. – Dodaje ten niezbędny dreszcz ryzyka.

Maddie się uśmiechnęła.

– Zgłaszasz się na ochotnika?

Sanne zaprzeczyła pośpiesznie.

– Nie ja – powiedziała. – Mnie nie płacą za to dostatecznie dużo.

– Jej twarz rozjaśniła się, kiedy spojrzała na Willa, który stał w pobliżu, obserwując je z zainteresowaniem. Zauważył, że kobieta taksuje go wzrokiem i uniósł ręce w proteście.

– Ja też nie! – powiedział. – Jestem cenionym wojskowym w służbie Jego Wysokości!

– Przecież sam uczyłeś ją rzucać nożem – zauważyła Sanne.

– Owszem, ale nie we mnie! – przypomniał Will.

– Daj spokój, Will – namawiała Maddie. – Czyżbyś mi nie ufał?

– Żadne z nas nie chce poznać odpowiedzi na to pytanie – oznajmił, ale podszedł niechętnie do tarczy. Uśmiechnięta szeroko Sanne przesunęła ją w taki sposób, by znajdowała się pionowo. Will włożył stopy w pętle i przytrzymał się mocno drążków. Sanne i Maddie przywiązały mu szybko ręce i nogi, żeby nie spadł przy obrotach.

Sanne uniosła rękę, kiedy Maddie sięgnęła po pierwszy nóż.

– Jeszcze nie – powiedziała. – Chciałabym, żebyś coś zobaczyła.

Obracała korbą, dopóki Will nie znalazł się głową w dół, a potem zatrzymała się.

– Widzisz, że trochę się przesunął? – zapytała. – Pasy zawsze mają odrobinę luzu i musisz brać na to poprawkę.

– Na pewno widzi – oznajmił Will, wiszący głową w dół i w związku z tym coraz bardziej czerwony na twarzy. – Możemy już zaczynać?

Sanne roześmiała się cicho i znowu zaczęła kręcić korbą.

– Podawaj rytm – powiedziała do Maddie, a zwiadowczynie zaczęła odliczać. Po chwili wahania rzuciła pierwszy nóż, który wbił się z łoskotem o kilka centymetrów od lewej pachy Willa.

– Doskonale! – powiedziała Sanne. – Zamierzałaś rzucić tak blisko?

– W zasadzie tak – odparła Maddie.

Will, któremu mówienie podczas obrotów na zmianę przychodziło trudno i łatwo, zapytał:

– Jak blisko była?

Sanne popatrzyła na niego z lekkim zdumieniem.

– Nie widziałeś?

– Trudno coś zobaczyć z zamkniętymi oczami – odparł Will.





Cztery dni później opuścili Zamek Araluen. Nieduży wóz, obwieszony ze wszystkich stron czerwonymi, żółtymi i zielonymi chorągiewkami, które trzepotały wesoło na wietrze, toczył się gładko, ciągnięty przez Wyrwija. Zderzak dreptał posłusznie obok starszego towarzysza. Oba koniki zarzucały łbami i potrząsały grzywami, prowadząc po drodze przyjacielską rozmowę.

Żaden z nich nie został wyhodowany jako koń pociągowy, ale oba były krępe i dysponowały odpowiednią siłą i wytrzymałością, by z łatwością ciągnąć wóz, który miał lekką konstrukcję i nie był przesadnie wyładowany. Najcięższą rzeczą, jaką wieźli, była tarcza do rzucania nożami, zaś Maddie i Will szli na zmianę obok wozu, żeby zmniejszyć jego ciężar.

– Przepraszam cię za to – powiedział Will do swojego konia, kiedy wprowadzał go w hołoble. Domyślał się, że ciągnięcie wozu może stanowić swego rodzaju ujmę na honorze. Jednakże Wyrwij był koniem zwiadowcy i rozumiał, że czasem trzeba posługiwać się przebraniem. Mogliby oczywiście zabrać konia pociągowego, a dwa wierzchowce przywiązać do wozu. To jednak budziłoby pytania, dlaczego dwójka rybałtów ma aż trzy konie.

Ja przynajmniej nie muszę nosić tego idiotycznego czerwono-żółtego stroju – odparł Wyrwij, a Will westchnął ponuro.

Jako zwiadowca był przyzwyczajony do noszenia stonowanych kolorów i niezwracania na siebie uwagi. Rybałci postępowali wręcz odwrotnie. Ich jaskrawe stroje miały za zadanie ściągać spojrzenia i budzić zainteresowanie. Rybałci chcieli być zauważani, bo dzięki

temu często byli proszeni o występy, zanim jeszcze zwrócili się o pozwolenie na to. Nie musieli także tracić niepotrzebnie czasu na gromadzenie publiczności.

Pojechali do niewielkiej przystani o kilka kilometrów od Zamku Araluen, gdzie wóz, konie i zwiadowcy zostali zapakowani na pokład niedużego, pękatego statku kupieckiego o nazwie „Wesoła Dama”, który król wynajął na ich podróż do Gallii. Statek popłynął z biegiem rzeki do morza, napędzany wiosłami rozwinął zaskakującą prędkość pomimo swojej konstrukcji. U ujścia rzeki załoga wciągnęła żagle na dwa maszty i „Wesoła Dama” wypłynęła na morze, kołysząc się na krótkich, ale wysokich falach.

– Może zagracie coś chłopcom do pracy? – zaproponował Willowi szyper. Był niskim, pękatym mężczyzną, budową przypominał swój statek, z długimi włosami smarowanymi dziegciem i związanymi w ogon kawałkiem sznurka. Na głowie nosił podniszczony filcowy kapelusz, który stracił całą swoją urodę i fason po latach kąpieli w wodzie morskiej, która chlustała przez dziób całymi falami.

Will skinął głową. Minęło kilka lat, od kiedy występował publicznie, i nie miał nic przeciwko próbie generalnej. Wiedział, że łatwo jest śpiewać przy kominku, po obiedzie z przyjaciółmi. Śpiewanie dla obcych ludzi, którzy zauważą każdy błąd czy zawahanie, było zupełnie czymś innym.

Czterooosobowa załoga była zajęta przede wszystkim osuszaniem statku, co wymagało wylewania ogromnych ilości wody morskiej, która wlewała się przez dziób i ściekała do zęzy. Mieli przy fokmaszcie ręczną pompę i na zmianę naciskali jej rączkę, dzięki czemu strumień czystej wody spływał z boku statku. Will uznał, że w tym zadaniu pomoże im piosenka z mocnym, wyraźnym rytmem.

Tak jak zwykle, gdy nagle poproszono go o występ, poczuł, że ma w głowie pustkę, gdy przyszło do wyboru odpowiedniej piosenki. Berrigan, który uczył go wiele lat temu, powiedział, że to jedna z podstawowych różnic pomiędzy amatorem a zawodowcem. Zawodowiec nigdy się nie waha, zawsze ma przygotowaną całą wiązanekę stosownych utworów do wykonania.

– Straciłem wyczucie – mruknął do siebie Will, zastanawiając się nad repertuarem. W końcu zdecydował się na szantę z mocno zaznaczonym, prostym rytmem, zgodnie z którym żeglarze mogli

pracować. Usiadł, zagrał na mandoli energiczną przygrywkę, a potem przeszedł do pierwszej zwrotki i refrenu. Z zainteresowaniem obserwował, że mężczyźni przy pompie natychmiast dopasowali swoje ruchy do rytmu melodii. Po pierwszym powtórzeniu włączyli się w refren piosenki, w której żeglarz biadał nad tym, że ojciec jego ukochanej nie pozwolił mu starać się o jej rękę i wysłał go na morze, by tam wiódł trudne życie.

Will pomyślał, że to częsty motyw w szantach, a chociaż słowa były przesycone melancholią, żeglarze śpiewali je radośnie i z entuzjazmem, zaś ich ruchy przy pompie dodawały piosence niezamierzonej gwałtowności.

Oczywiście, jak większość szant, także i ta została napisana przez poetę będącego szczerem lądowym, który myślał, że szoty to rodzaj żagli, a nie liny używane do ustawiania żagla. Opisywał także przyjemną słońną bryzę pryskającą w twarz z entuzjazmem i zachwytem kogoś, kto nigdy nie miał z tym naprawdę do czynienia. Żeglarzom to najwyraźniej nie przeszkadzało, skoro ułatwiało pracę przy pompie.

Po tej szancie Will zaśpiewał niemającą związku z morzem opowieść o chłopaku, który pracował jako furman i także został przepędzony przez rodziców dziewczyny będącej jego miłością. Najwidoczniej takie nieszczęścia zdarzały się nie tylko żeglarzom.

Najważniejszy był rytmiczny refren, który pomagał żeglarzom w pracy.

Will skończył piosenkę i zastanawiał się nad następną, kiedy szyper zawołał załogę do szotów, żeby zmienili kurs na południe. Wiatr wiał teraz od strony burty, a „Wesoła Dama” przestała wbijać się dziobem w nadpływające fale. Dzięki temu przez dziób wlewało się o wiele mniej wody i nie trzeba było dłużej pompować.

– Dobrze te twoje piosenki – powiedział szyper i wręczył Willowi dużą srebrną monetę. Will skinął głową w podziękę i schował zapłatę do sakiewki.

Maddie z zainteresowaniem śledziła interakcje Willa z załogą. Początkowo czuła się okropnie z powodu kołysania statku, ale poprawiło jej się, kiedy mogła się skoncentrować na czymś innym niż własny żołądek.

Will zauważył, że na jej policzki powróciły rumieńce.

– Przyzwyczyłaś się do kołysania? – zapytał. Był jednym z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie cierpieli na chorobę morską.

Maddie skinęła głową.

– Przez kilka minut było naprawdę trudno – przyznała. – Ale już mi lepiej.

Nigdy wcześniej nie płynęła statkiem po morzu i, prawdę mówiąc, jej złe samopoczucie początkowo brało się także z niepewności i strachu. Potrzebowała trochę czasu, by zauważyć, że „Wesoła Dama” ślizga się po falach jak mewa, a jeśli przechyliła się w jedną stronę, z pewnością za chwilę przechyli się w drugą. Kiedy Maddie to sobie uświadomiła, zaczęła się uspokajać. Kiedy zaś się uspokoiła, ból żołądka także ustąpił.

Will skinął głową.

– Uważaj, jeśli kiedykolwiek będziesz na statku z Haltem – uprzedził. – Nie pożyczaj mu czapki, jeśli o nią poprosi.

Maddie zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć jego słowa. Will wykonał pantomimę demonstrującą wymiotowanie do kapelusza, a dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

– Halt ma chorobę morską? – zapytała.

Will uśmiechnął się radośnie.

– Za każdym razem.

Maddie z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Myśl, że ktoś tak nieustraszony jak Halt, tak pewny siebie, może cierpieć z tak banalnego powodu, jak *mal de mer*, była zdumiewająca.

Podróż zajęła prawie dwa dni. „Wesoła Dama” wbrew swojemu imieniu poruszała się raczej niechętnie i ociężale, a w dodatku miała przeważnie niekorzystny wiatr. Ale po południu drugiego dnia wpłynęli do Ontifer, niedużego portu na wybrzeżu Gallii, i przycumowali do kamiennego nabrzeża. Ponieważ znajdowało się ono zaledwie półtora metra wyżej niż pokład statku, nie trzeba było używać dźwigu do wyniesienia na brzeg koni i wozu. Zdjęto sporą część nadburcia i umocowano solidną rampę z desek. Wyrwij i Zderzak szły po niej ostrożnie, gdyż ugiwała się pod ich kopytami i poruszała w rytm drobnych fal w porcie. Następnie żeglarze przy pomocy trzech miejscowych dokerów zaparli się o tył wozu i bez trudu wepchnęli go po rampie na brzeg.

Will podziękował im i zapłacił za pracę, a następnie zaprzągnął do wozu Zderzaka.

– Twoja kolej, chłopcze – powiedział cicho, a Zderzak zastrzygnął uszami. Podobnie jak Wyrwij rozumiał, że to upokorzenie jest częścią pracy. Will wsiadł na wóz i zajął miejsce na koźle. Nie ruszał bata z uchwytu. Był on tylko na pokaz i nie miał być nigdy potrzebny. W przypadku takich koni wystarczyło cmoknięcie.

Na ten dźwięk Zderzak napał na chomało i ruszył wąską ulicą prowadzącą z portu do właściwego miasta.

– Najpierw skierujemy się do zamku Philippe’a – stwierdził Will. – Chcę się upewnić, że sytuacja nie uległa zmianie, a jego syn dalej jest przetrzymywany w Falaises.

Nie musieli przywiązywać Wyrwija do wozu; podobnie jak wszystkie konie zwiadowców był nauczony trzymać się swojego właściciela. Maddie siedziała na koźle obok Willa i przyglądała się z ciekawością obcemu miejscu.

Mieszkańcy miasteczka odwzajemniali się tym samym – przerywali codzienne zajęcia, żeby popatrzeć na kolorowy, ozdobiony chorągiewkami wóz i jego barwnych właścicieli. W Ontifer niewiele się działo, więc widok dwójki przejeżdżających rybałów budził spore zainteresowanie. Większość gapiów miała nadzieję, że nowo przybyli zatrzymają się na noc i dadzą występ. To wprowadziłoby odrobinę urozmaicenia do monotonnego życia małego portu rybackiego.

Jednak Will miał inne plany.

– Postarajmy się zajechać dzisiaj jak najdalej. Powinniśmy się spotkać z Philippe’em tak szybko, jak to możliwe – powiedział.

Oczywiście to nie znaczyło, że nie będą się zatrzymywać po drodze i dawać występów. Gdyby pojechali prosto do pałacu, mogliby wzbudzić podejrzenia. Ale teraz, pierwszego dnia w nowym kraju, Will chciał pokonać jak największą odległość.

– To gdzie się zatrzymamy na noc? – zapytała Maddie. Will poprzedniego wieczoru, na pokładzie statku, studiował mapę tej okolicy.

– Jakies piętnaście kilometrów w głąb lądu jest miasteczko Aules. Powinniśmy do niego dotrzeć przed zachodem słońca. Rozłożymy się

tam na miejskich błoniach i popytamy, czy moglibyśmy wystąpić w jakiejś tawernie.

– Dlaczego nie zatrzymamy się w gospodzie? – zapytała Maddie.

Will potrząsnął tylko głową.

– Jesteśmy rybakami. Nie mamy pieniędzy na gospody ani tawerny. Występujemy tam, ale obozujemy na miejskich błoniach albo w podobnym miejscu. Tego właśnie wszyscy by się po nas spodziewali.

Maddie skinęła głową. Nie pomyślała o tym. Po twardej koi, na której spała na pokładzie „Wesołej Damy”, myśl o miękkim łóżku w gospodzie była bardzo kusząca. Dziewczyna westchnęła i pomyślała, że tajna misja wymaga poświęceń.





Jechali dalej na północny wschód, kierując się do zamku Philippe'a La Lumiere. Po drodze zatrzymywali się co wieczór w większych miejscowościach, gdzie mogli liczyć na widownię.

– Musisz się przyzwyczać do występów – powiedział Will do Maddie na pierwszym postoju, a dziewczyna zgodziła się z nim, oblizując nerwowo wargi. Na samą myśl o publiczności stały się całkowicie suche.

Wjechali na główny rynek miasteczka, gdzie większość miejsca po jednej ze stron zajmowała gospoda o nazwie Les Trois Canards, czyli Pod Trzema Kaczkami. Przed budynkiem rozstawiono stoły i ławy, żeby goście, jedząc i pijąc, mogli korzystać z uroków świeżego powietrza. Płócienne zadaszenie było teraz zwinięte. Maddie przypuszczała, że przy gorszej pogodzie rozkładano je, żeby zapewnić gościom osłonę przed deszczem.

Na środku rynku niski kamienny murek odgradzał wyrównaną przestrzeń, wysypaną piaskiem i drobnym żwirem, gdzie grupa mężczyzn zabawiała się grą przypominającą kręgle. Używali kul z wypolerowanego metalu, którymi rzucali spod ramienia w słupek, zamiast turlać je po ziemi, jak w araluńskiej odmianie tej gry. Przerwali, by popatrzeć na wóz rybaków.

Część stołów przed tawerną była zajęta, zaś goście podnieśli z ciekawością głowy, gdy wóz się zatrzymał, a Will i Maddie zeskoczyli na ziemię. Dziewczyna, która nalewała wino jednej z grup, dokończyła swoje zadanie i pobiegła do budynku. Po kilku

minutach wyłonił się stamtąd solidnie zbudowany mężczyzna, przepasany długim fartuchem. Przyjrzał się nowo przybyłym z zawodową ciekawością.

– To właściciel gospody – powiedział cicho Will do Maddie, która skinęła głową. Rynek był teoretycznie własnością miasta, ale skoro tawerna miała wystawione stoły i ławy, jej właściciel miał prawo się nimi interesować. Dobry występ mógł zwiększyć jego dzienny utarg, ponieważ rybacy przyciągali do tawerny gości, którzy w trakcie oglądania pokazu mogli zamówić jedzenie i picie.

Z drugiej strony kiepski występ mógł wyrzucić odwrotny efekt. Fałszujący śpiewak albo niezgrabny akrobata odstraszał klientów, którzy uznawali, że wolą zjeść coś w zaciszu własnego domu. Dlatego właśnie właściciel gospody zwracał baczną uwagę na wędrownych artystów. Podszedł teraz do wozu i otaksował fachowym okiem barwnie ubranych przybyszów.

– *Bonjour* – powiedział. Jego głos nie był ani przyjazny, ani niechętny. Mówił po galijsku, ale Will odpowiedział we wspólnej mowie. Wiedział, że nawet w oddalonych od ośrodków cywilizacji wsiach, takich jak ta, zna ją bardzo wiele osób.

– Dzień dobry, zacny panie – odezwał się radośnie. – Nazywam się Accord, a to moja córka Madelyn.

Podobnie jak wcześniej Halt, Will wybrał sobie galijski pseudonim na podstawie własnego nazwiska: *treaty* oznaczało „traktat” lub „układ”, podobnie jak galijskie *accord*. Skłonił się głęboko przed właścicielem tawerny, z teatralną przesadą ściągając z głowy zielony kapelusz z złotym piórem i obracając nim kilka razy podczas szerokiego zamachu. Wyciągnął przed siebie prawą nogę i opuścił głowę prawie na wysokość kolana, a potem wyprostował się z gracją i z powrotem umieścił kapelusz na głowie.

Właściciel tawerny, Maurice, przyglądał się mu uważnie, a potem przeniósł spojrzenie na stojącą obok młodą dziewczynę.

– Jesteście artystami, tak? – zapytał teraz we wspólnej mowie.

– Zaiste, jesteśmy nimi, zacny panie – odparł górnolotnie Will. – Jam jest skromnym śpiewakiem pieśni o miłości, codziennym znoju, a także wielkich czynach rycerskich. – Podszedł bliżej i przekrzywił lekko głowę, by popatrzeć na mężczyznę z ukosa prawym okiem. Dodał ściszym tonem, mimo to doskonale słyszalnym przy

najbliższych stołach: – Jeśli zaś was to interesuje, zacny panie, mogę też śpiewać o wiedźmach, czarodziejach i ich podłych sprawkach. O mrocznych czynach dokonywanych pod osłoną nocy, które wzbudzą strach w waszych sercach.

Pieśni będące opowieściami o duchach i upiorach były popularne zarówno w Araluenie, jak i w Gallii, więc Will miał ich spory repertuar. Najlepiej sprawdzały się w lodowate i deszczowe zimowe noce, gdy słuchacze siedzieli stłoczeni przy ogniu w ciemności, a za ścianami gwizdał wiatr.

Maurice był jednak sceptyczny. Przez lata widział wielu rybałów. Spojrzał teraz na Maddie.

– A dziewczyna? – zapytał.

Maddie i Will wymienili szybkie spojrzenia, a zwiadowca ledwie dostrzegalnie skinął głową. Zwiadowczyni odetchnęła głęboko i rozpoczęła przemowę, jakiej nauczyła ją Sanne. Jej zdaniem nie wystarczyło powiedzieć: „Cześć, jestem Maddie, umiem trochę żonglować i rzucać nożami”. Trzeba było sprzedać swoje umiejętności. Teraz Maddie zabrała się do tego tak, jak jej radzono.

– O, ja żongluję, zacny panie! – oznajmiła energicznie. Trzy piłeczki do żonglowania jakby znikąd pojawiły się w jej dłoniach i zatańczyły szybko w powietrzu. Maurice nadal nie wyglądał na szczególnie przekonanego. Maddie mówiła dalej: – Ale oczywiście każdy potrafiłby żonglować. Założę się, że pan także! – Z tymi słowami rzuciła trzy piłeczki jedną za drugą zaskoczonymu mężczyźnie.

Spróbował je złapać, ale nie był przygotowany, więc wszystkie upadły na żwir pomiędzy stołami. Maddie szybko pozbierała je i zgrabnym, wyćwiczonym ruchem schowała do kieszeni kurtki.

– A może jednak nie? – zapytała, zaś kilku gości pijących przy stołach roześmiało się na widok zbitego z tropu Maurice’a. Chciał coś odpowiedzieć, ale promienny uśmiech Maddie mówił jasno, że nie zamierzała go obrazić.

– Jednakże mój prawdziwy talent kryje się gdzie indziej – oznajmiła i zanim zdążył zapytać, co to takiego, wyciągnęła lśniący nóż. Rzuciła go, aż zawirował w powietrzu, złapała i rzuciła znowu. Nie potrafiła wprawdzie żonglować trzema nożami, ale doskonale dawała sobie radę z rzucaniem i łapaniem jednego. Nagłe pojawienie

się błyszczącego i niebezpiecznego ostrza sprawiło, że od stołów dobiegły westchnienia. Maurice przymrużył oczy na ten widok.

– O tak, milordzie, jestem biegła w sztuce posługiwania się groźną stalą, śmiercionośnymi nożami. Ostrymi jak brzytwa...

Z tymi słowami chwyciła nóż za rękojeść i przecięła w powietrzu jabłko, które rzucił do niej Will. Owoc spadł na ziemię w dwóch kawałkach, dowodząc niezbicie, że nóż nie został stępiony dla większego bezpieczeństwa. Maddie znowu rzuciła go, aż zawirował.

– ...gotowymi ciąć, kroić i szatkować!

Oparła nóż rękojeścią na czole i zrobiła koło, utrzymując go prosto. Potem pochyliła głowę, znowu go złapała i rzuciła, żeby ani przez moment nie pozostawał w bezruchu.

– Albo śmigać w powietrzu i trafiać w cel! – oznajmiła.

Kiedy spacerowała i mówiła, Will szybko zdjął tarczę z wozu i ustawił ją odpowiednio. Maddie odwróciła się teraz i na pozór bez żadnego namysłu cisnęła nóż, aż zawirował w powietrzu i wbił się w sam środek tarczy.

Wśród gości przy stołach rozległy się pomruki podziwu. Kilku podniosło kufle wina w geście pozdrowienia. Maddie uśmiechnęła się do nich szeroko, podbiegła do tarczy i wyciągnęła nóż.

Podsunęła go pod nos Maurice'owi, który odruchowo cofnął się o pół kroku. Przy stole znowu rozległ się śmiech.

– Proszę tutaj, milordzie, jeśli pan pozwoli...

Wzięła go pod ramię, podprowadziła do tarczy i ustawiła przed nią. Kiedy, z lekkim wahaniem, zajął swoją pozycję, Will podał mu dwa nadmuchane balony zrobione ze świńskich pęcherzy, przymocowane do cienkich palików.

– Prosiłabym teraz o potrzymanie mi balonów.

Maurice domyślał się, co się zaraz stanie, i zaczął protestować, ale Maddie już oddalała się od niego szybkim krokiem. Miał dość rozsądku, by nie ruszać się z miejsca. Nie był pewien, co zaraz nastąpi, ale wiedział, że każdy jego ruch mógłby się okazać błędem.

Miał rację. Maddie nagle okręciła się na pięcie i rzuciła najpierw jednym, a w następnym momencie drugim nożem, który do tej pory ukrywała w lewej dłoni. Dwa wirujące ostrza pokonały dzielącą ich odległość i jeden za drugim przekłuły nadmuchane balony, a potem wbiły się w tarczę.

Okazało się, że balony były wypełnione kolorowymi ścinkami papieru, które teraz uniosły się w powietrze. Maurice nie miał czasu nawet drgnąć. Od stołów rozległy się powstrzymywane do tej chwili brawa. Maurice zauważył też, że grupa mężczyzn grających w *boules* przerwała rozgrywkę i podeszła, żeby usiąść przy stołach. Skinęli na kelnerkę i zamówili dzbany wina. Ponieważ liczba klientów właśnie się podwoiła, Maurice był gotów wybaczyć dziewczynie, że wykorzystwała go do swojej sztuczki.

– Niech będzie – powiedział. – Kontynuujcie.

Strzepnął kilka kawałeczków kolorowego papieru ze swojego ubrania i pospiesznie się oddalił, zanim dziewczyna zdążyła po raz kolejny użyć go jako celu. Maddie uśmiechnęła się i podziękowała mu skinieniem głowy, a potem zwróciła się do otaczającej ją widowni, która oczekiwała niecierpliwie dalszej części pokazu.

Oddaliła się od tarczy na jakieś piętnaście kroków. Lewą ręką trzymała teraz wszystkie pięć noży za ostrza, rozłożone tak, żeby tworzyły wachlarz. W jej prawej ręce pojawiła się srebrna moneta.

– Szlachetni panowie! – zawołała do niecierpliwego tłumu. – Oto srebrna korona. Będzie wasza, jeśli zdołacie mnie zmieszać lub zmylić. Widzicie tę tarczę? Są na niej wypisane numery. Wywołajcie któryś z nich, a ja trafię ten segment nożem. Jeśli spudłuję, srebrna korona trafi do tego, kto wywoływał numer.

– A jeśli trafisz? – zawołał życzliwie jeden z pijących wino. Maddie podbiegła lekko i stanęła przed nim, a jej oczy zalśniły psotnie.

– Wtedy, zacny panie, z pewnością będziesz szczodry, gdy przyjdzie nagrodzić mój występ – odpowiedziała. Mężczyźni wokół uśmiechami zgodzili się na taki układ. Maddie przesunęła po nich spojrzeniem.

– *Quatre!* – zawołał gość przy innym stole, z pewnością mając nadzieję, że weźmie ją z zaskoczenia. Dziewczyna uniosła jednak rękę.

– Proszę, panowie, tylko we wspólnej mowie! Jeśli będę musiała sobie to tłumaczyć, pewnie spudłuję.

– No to celuj w czwórkę! – zawołał mężczyzna.

Maddie okręciła się na pięcie, wyciągnęła nóż z lewej dłoni i cisnęła nim spod ramienia, aż zamigotał. Wbił się w segment z numerem trzy, zaś do wskazanego celu zabrakło mu dziesięciu

centymetrów. Ktoś w tłumie jęknął z rozczarowaniem. Maddie zmusiła się, żeby zrobić odrobinę zniechęconą minę, po czym rzuciła srebrną monetę mężczyźnie, który wywołał numer. Z radością złapał pieniądze.

„Zawsze popełnij jakiś błąd na początku pokazu”, Maddie słyszała w głowie głos Sanne. „Nie chcesz, żeby za szybko się zorientowali, jak dobra jesteś”.

Pozostali zobaczyli, że wywołujący dostał nagrodę i chętnie podjęli wyzwanie.

– Sześć! – zawołał inny i tym razem Maddie rzuciła znad ramienia. Nóż uderzył w segment numer sześć, ale przy samej krawędzi. Znalazł się dostatecznie blisko linii dzielącej pola, żeby zachęcić kolejnych.

– Jeden!

Łup! Nóż zadrżał w centrum wskazanego segmentu.

– Dziewięć!

Łup! Znowu sam środek.

– Dwanaście!

Łup!

Kolejne głosy wywoływały numery, ale Maddie podniosła pustą lewą dłoń, żeby dać znać, że musi wyciągnąć noże. Zrobiła to, a potem wróciła lekkim krokiem na poprzednią pozycję i dała znak, że czeka na kolejne numery.

Tym razem rzucała szybciej niż poprzednio i w zróżnicowany sposób: lewą i prawą ręką, znad ramienia, bokiem. Przed ostatnim rzutem odwróciła się do tarczy plecami i uniosła nóż w prawej dłoni. Gestem ręki uciszyła widownię, po czym sama wywołała ostatni cel.

– Środek!

Jednym ruchem obróciła się i cisnęła nóż, który uderzył z głuchym łupnięciem w małe kółeczko pośrodku tarczy, gdzie zbiegało się dwanaście segmentów. Publiczność ryknęła radośnie, zaś Maddie pochyliła się w przesadnie szerokim ukłonie, wysuwając prawą nogę i rozkładając ręce na boki.

Publiczność zrozumiała, że to koniec pokazu. Rozległy się brawa i posypały monety. Kiedy Maddie biegła, żeby je zebrać, Will wyszedł na środek z przewieszoną mandolą i zaczął popularną ludową piosenkę.

Goście tawerny, których popis Maddie wprawił w doskonałe humory, natychmiast mu zawtórowali. Maddie wymięła Willa, żeby schować sporą kupkę pieniędzy – wśród których nie brakowało srebrnych monet – w sejfie z tyłu wozu. Zwiadowca mrugnął do niej, kiedy koło niego przechodziła.

– Dobra robota – powiedział.





Maurice nalegał, by wystąpili także kolejnego wieczoru. – Jutro będzie dzień szósty – powiedział. – Zaś dzień siódmy to dzień odpoczynku dla lokalnych farmerów. To oznacza, że przyjadą tutaj, żeby odpocząć, zjeść coś i się napić. Już się rozeszło, że są tu rybacy, więc przyjedzie ich więcej niż zwykle. Możecie się spodziewać znacznie większej widowni, jeśli zostanieie jeszcze jedną noc.

– A ty będziesz mieć znacznie więcej gości – zauważył Will.

Maurice w typowo galijski sposób wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam tego ukrywać – przyznał. – Ale im więcej gości przyjdzie do Les Trois Canards, tym więcej monet będzie dla mnie i dla ciebie. Obaj na tym zyskamy.

W końcu Will zgodził się zostać jeszcze jedną noc. Przekonało go to, że Maurice zaproponował im nocleg i zakwaterowanie w tawernie.

– Moje łóżka słyną z miękkich materacy – powiedział. – To znacznie lepsze od spania na ziemi albo na wozie. Zaś Hortense, moja kucharka, jest znana w całej okolicy ze swojego ragout. Nie musicie oczywiście płacić.

– To bardzo wielkoduszne z twojej strony – stwierdził Will. Wiedział, że zażywny właściciel zarobi fortunę na dodatkowych gościach, którzy się pojawiają, kiedy wieści o przyjeździe rybaków rozejdą się po okolicy.

Przestawili wóz na wybrukowany dziedziniec za tawerną i umieścili Wyrwija i Zderzaka w niedużej stajni, zostawiając im

pełne żłoby siana i poidła z czystą, chłodną wodą.

Wieczorem, kiedy szykowali się do występu, Maddie przysiadła na brzegu łóżka Willa.

– Myślałam, że chcemy jak najszybciej dotrzeć do La Lumiere – powiedziała.

Will skinął głową. Zerwała mu się struna w mandoli, więc zakładał nową. Wysunął leciutko język, nakładając i napinając odpowiednio strunę.

– Owszem – powiedział. – Ale jeśli ktoś nas obserwuje, może się zacząć zastanawiać, dlaczego nie skorzystaliśmy z okazji, żeby zarobić spore pieniądze.

– A czy ktoś nas obserwuje? – zapytała Maddie.

Will wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale zawsze dobrze zakładać, że tak jest – odpowiedział. – Nadrobimy stracony czas na początku przyszłego tygodnia. Wtedy tawerny i karczmy będą raczej świecić pustkami, więc nie wyda się tak podejrzane, jeśli szybko pojedziemy dalej.

Przy ostatnich słowach w jego głosie pojawiło się napięcie. Struna była teraz całkowicie naprężona, co zawsze oznaczało nerwowy moment oczekiwania, czy wytrzyma, czy też, jak się czasem zdarzało, pęknie.

Szarpnął kilka razy strunę. Zabrzmiała właściwym tonem, a potem zaczęła odrobinę fałszować, jak zwykle nowa struna. Will napiął ją mocniej, na wszelki wypadek trzymając instrument z dala od twarzy. W końcu struna zaczęła utrzymywać właściwy ton. Odetchnął, nieświadomy tego, że przez cały ten czas wstrzymywał powietrze.

Maddie obserwowała go z uśmiechem.

– Te mandole są naprawdę niebezpieczne – zauważyła.

Will z powagą skinął głową.

– Chwila nieuwagi i możesz stracić oko – odpowiedział. Zagrał lekko kilka akordów, by mieć pewność, że struna jest odpowiednio napięta i nastrojona. Potem wstał i skierował się do drzwi. – Chodźmy. Czas na występ.



Zgodnie z przewidywaniami Maurice'a gospoda była zapełniona, a przy stołach na zewnątrz zajęto wszystkie miejsca. Na ten wieczór zatrudnił dodatkową kelnerkę, więc teraz dwie dziewczyny biegały pomiędzy stołami, uzupełniając kufle wina i piwa, żartując z gośćmi i stawiając przed głodnymi farmerami i parobkami parujące talerze lokalnych kiełbasek, ziemniaków i cebuli.

Ragout przyrządzane przez Hortense także było popularnym wyborem – na stołach co chwilę stawiano nowe miski i kładziono świeże i chrupiące długie bułki.

W gospodzie rozbrzmiewały tuziny głosów. Przy zatłoczonych stołach rozlegały się wybuchy śmiechu, a goście witali się okrzykami. Will i Maddie ustawili już tarczę przed gospodą i oświetlili ją czterema pochodniami. W samej gospodzie był za duży tłok na popisy rzucania nożem, szczególnie ze względu na niski sufit i gęsto rozstawione stoły.

– Nie chcielibyśmy, żebyś kogoś zabiła – powiedział Will. – Wiesz, to by mogło obniżyć nasze zarobki.

Zaczekał, aż większość gości skończy posiłek.

– Nie należy występować, kiedy jedzą – powiedział do Maddie. – Nie poświęcają ci wtedy całej uwagi.

W końcu wyszedł na środek tawerny z mandolą zawieszoną na szyi i zagrał głośny akord. Goście podnieśli głowy, a w sali rozległy się ściszone wiwaty, kiedy zaczął komiczną opowieść o zezowatym czarowniku Wollygolym. Uśmiechał się do siebie, kiedy to śpiewał. Poprzednio wykonywał tę piosenkę publicznie w położonym na północy lennie Macindaw, kiedy starał się sprowokować czarnoksiężnika Malkallama.

Słuchacze szybko podchwycili słowa refrenu i dołączyli do niego, śmiejąc się z komicznych perypetii czarownika i więdźmy. Na koniec piosenki rozległy się gorące brawa i posypały monety. Maddie przeszła szybko po sali, żeby je zabrać i schować w bezpieczne miejsce.

Will śpiewał przez jakieś trzydzieści minut, wybierał na zmianę hałaśliwe i energiczne piosenki nadające się do wspólnego śpiewania oraz bardziej melancholijne ballady i smutne opowieści o nieodwzajemnionej miłości. Pomyślał, że w takich piosenkach uczucie zawsze jest nieodwzajemnione. Kiedy zakończył występ,

rozległy się ogłuszające owacje. Maddie przeszła koło niego, żeby zebrać monety.

– Musieli być okropnie stęsknieni za rozrywką – powiedziała złośliwie.

Will uśmiechnął się do niej i uniósł ręce, by uciszyć zebranych. Następnie zaprosił ich na zewnątrz, by popatrzyli na występ Madelyn i jej Śmiercionośnych Ostrzy. Maddie przewróciła oczami, ale goście ruszyli tłumnie do drzwi.

Zwiadowczyni także występowała przy wtórze entuzjastycznych owacji. Po krótkim pokazie żonglowania wyciągnęła noże. Widzowie patrzyli z ogromnym zainteresowaniem. Było coś dziwnie fascynującego w widoku młodej, świeżej dziewczyny, która z taką biegłością i zręcznością posługiwała się ostrymi jak brzytwa nożami.

Kelnerki uwijały się pomiędzy gośćmi, roznosząc kufle piwa i wina tak szybko, jak tylko mogły. We wnętrzu tawerny Maurice, zajęty napełnianiem kufli i przekazywaniem ich dziewczynom, uśmiechał się do siebie radośnie. Ten wieczór przyniósł ogromne zyski, nawet biorąc pod uwagę to, że rybąci dostali od niego nocleg w wygodnych łóżkach oraz posiłek. Ostatecznie nie musiał odprawić żadnych gości chętnych na pokoje zajmowane przez Maddie i Willa, zaś dwie miski ragout niewiele go kosztowały.

– Jakkolwiek by liczyć, to doskonały wynik – stwierdził.



Will i Maddie wyjechali wcześniej rano nazajutrz, czyli siódmego dnia tygodnia. Maurice pożegnał się z nimi, a wcześniej poczęstował ich pysznym śniadaniem ze świeżych bułeczek z masłem oraz dzbankiem aromatycznej kawy do popicia. Ziewnął lekko, kiedy mały wóz poturkotał główną ulicą miasteczka i skierował się na gościniec.

– Nie wiedziałam, że występy mogą być tak dobrą zabawą – powiedziała Maddie. Wyrwij dreptał przed siebie, ciągnąc miarowo wóz, zaś Zderzak trzymał się koło niego.

Will uśmiechnął się do niej.

– Zaczynasz lubić brawa – powiedział.

Skinęła głową.

– Tak. To tak jakoś... dodaje energii. Też to lubisz, prawda?

– Owszem – przyznał poważnie Will. – To kompletne przeciwieństwo naszego zwykłego zachowania, kiedy musimy się ukrywać i nie rzucać w oczy. Owszem, to może być naprawdę uzależniające: słyszeć, jak ludzie oklaskują twoje starania, by dostarczyć im rozrywkę.

– A do tego za to płacą – dodała Maddie. Milczała przez chwilę. – Nadal nie przekonałam nikogo, żeby dał się przypiąć do tarczy. To byłoby prawdziwą atrakcją występu.

Poprzedniego wieczoru namawiała widzów, starając się nakłonić kogoś, żeby zgłosił się na ochotnika i dał się przypiąć do obracającej się tarczy – ale bez powodzenia.

– Może nie powinnaś była pudłować za pierwszym razem? – zapytał Will.

Maddie zastanowiła się nad tym, ale potrząsnęła głową.

– Sanne mówiła, że to część dobrze zaplanowanego występu. Trzeba popełnić na początku błąd, żeby widzowie mieli poczucie, że jest w tym jakieś ryzyko.

– Być może miała rację, ale pokazanie, że możesz popełnić błąd, nie będzie sprzyjać namawianiu ochotników, by posłużyli jako cel.

– Przecież specjalnie spudłowałam – przypomniała dziewczyna.

Will wyduł wargi.

– Ty to wiesz i ja to wiem. Ale rzecz polega na tym, że widzowie tego nie wiedzą. Widzą tylko, że popełniłaś błąd. Dlatego nie pchają się, żeby zostać twoim celem.

– Może ty mógłbyś to zrobić? – podsunęła Maddie z nadzieją.

Will nie odrywał wzroku od drogi.

– Może ty mogłabyś pójść się leczyć na głowę? – odpowiedział.

Jechali dalej, co trzy godziny zmieniając konie i pokonując kilometry w równym tempie. Tę noc, podobnie jak dwie kolejne, spędzili w obozowisku na drodze. Na początku tygodnia nie było sensu występować w gospodach czy tawernach, ponieważ mogliby tam liczyć na znacznie mniejszą widownię. Ludzie byli zajęci codzienną pracą. Odpowiedni czas przychodził później, kiedy farmerzy i mieszkańcy miasteczek wyczekiwali końca tygodnia i okazji, by trochę odpocząć.

Piątego i szóstego dnia zatrzymali się w dwóch miasteczkach, żeby ponownie wystąpić. Najwyraźniej rybałci rzadko docierali do tej

części kraju, ponieważ widzowie byli zachwyceni i hojni, a kupka pieniędzy w sejfie wyraźnie urosła. Maddie nadal jednak nie przekonała nikogo do przejażdżki na kole. Zaś Will nadal stanowczo tego odmawiał.

- Nie ufasz mi? – zapytała tonem pełnym nalegania.
- Nie – odparł beznamiętnie.
- Ale sam mnie uczyłeś. Od lat patrzyłeś, jak rzucam nożami.
- Właśnie dlatego ci nie ufam – oznajmił.

Jechali przed siebie, coraz dalej w głąb lądu i coraz bliżej La Lumiere. Wieści o ich przybyciu jakimś tajemniczym sposobem zaczęły ich wyprzedzać. W miasteczkach, do których wjeżdżali, spodziewano się ich przybycia i witano entuzjastycznie.

- To dobrze wróży – orzekł Will, kiedy zakończyli kolejny udany występ. – Jeśli sława będzie nas poprzedzać, łatwiej uzyskamy zezwolenie na występy w zamku Philippe’a.
- A tego właśnie chcemy – odparła Maddie.
- A tego właśnie chcemy.





Will ściągnął lekko wodze i zatrzymał niewielki wóz.

– Imponujący zamek – powiedział cicho.

– Ja bym go nazwała raczej pałacem – odpowiedziała Maddie.

Chateau La Lumiere stanowił niezwykle widok. Oboje przywykli do świetności i majestatu Zamku Araluen, jednakże siedziba galijskiego króla miała w sobie całkowicie odmienny urok. Zamek Araluen wyglądał pięknie, z wysokimi wieżami i flagami powiewającymi na szczytach dachów, ale mimo to widać było wyraźnie, że jest przede wszystkim funkcjonalną twierdzą. Zamek La Lumiere był nieco mniejszy, za to niezrównanie elegancki w kształcie. Obłożono go białym marmurem, więc popołudniowe słońce lśniło na ścianach i wieżyczkach. Tuziny łęków oporowych tworzyły smukłe łuki wokół centralnej budowli, ukrywając jej potęgę i dając złudzenie delikatności.

Blanki w Zamku Araluen były prostokątne i gładkie, zaś tutaj – bogato rzeźbione i ozdobne, tak że tworzyły niemalże koronkę na szczycie murów.

Zamek wznosił się na stromym wzgórzu, zaś droga do niego wiała się licznymi zakosami. Poniżej zamku widać było grupy niedużych zabudowań, które wyglądały, jakby tuliły się do spadzistego zbocza. Mieszkali w nich służący, a także mieszczenie zaopatrujący zamek. Wszystkie te domy były bielone, miały pasować do lśniącego marmuru zamkowych murów. Will pomyślał, że prawdopodobnie zrobiono to na rozkaz królewski – w otoczeniu wznoszącego się na

wzgórzu imponującego białego zamku nie zamierzano tolerować poszarzałych czy zaniedbanych budynków.

Will przyjrzał się stromej drodze prowadzącej do La Lumiere. Przekazał lejce Maddie i zeskoczył z wozu.

– Ty możesz powozić, ja pójdę pieszo. Dzięki temu Wyrwij będzie miał lżej.

Maddie skinęła głową, lekko machnęła lejcami i cmoknęła. Wyrwij napał na chomąto, zaś Maddie zwolniła hamulec i pozwoliła, by wóz potoczył się naprzód. Zderzak, dotrzymujący kroku towarzyszowi, parsknął pokrzepiająco.

Ruszyli w górę, klucząc w prawo i lewo z każdym kolejnym zakretem. Im wyżej się znajdowali, tym gęściej stały zabudowania. Niedługo widzieli już wyraźnie poszczególne domy i warsztaty. Jak zwykle na obrzeżach miasteczka znajdowała się garbarnia – nikt nie chciałby garbarni wraz z jej nieodłącznym zapachem zbyt blisko centrum osady. Podobnie było w przypadku kuźni, chociaż tu w grę wchodziły względy bezpieczeństwa, dla których kuźnie razem z ich piecami i ogniem lokalizowano na skraju miejscowości. Nieco wyżej po obu stronach drogi zaczęli napotykać coraz liczniejsze domy i sklepy.

Jak zwykle, kiedy wjechali do miasteczka, ludzie wychodzili z domów i warsztatów, żeby przyjrzeć się charakterystycznemu wozowi rybaków.

W końcu, jakieś sto metrów poniżej szczytu, wyjechali pomiędzy zabudowań na brukowany trakt, który prowadził do głównej bramy zamku. Zbocze było tu łagodniejsze, więc Will wsiadł z powrotem na wóz. Maddie chciała mu oddać lejce, ale on potrząsnął głową.

– Możesz dalej powozić – powiedział. – Ja chcę się rozejrzeć.

Przesunął wzrokiem po zamkowych murach, po dobrze rozmieszczonych bastionach i redutach. Przyjrzał się także wartowni, bogato zdobionej i niezwykle eleganckiej. Jednakże pod tą elegancją widział pomysłowo zaprojektowany budynek, który zamykał ostatni odcinek drogi dwiema wieżami obronnymi po obu stronach bramy oraz ciężkim mostem zwodzonym. Na końcu mostu widać było dolną część podniesionej kraty. Oczywiście żelazo wykuto w fantazyjne, ozdobne kształty, ale mogło zatrzymać wrogów tak samo skutecznie jak prosta żelazna krata.

– Nie miałbym ochoty atakować tego zamku – mruknął pod nosem.

Maddie, która była bardziej pod wrażeniem urody i delikatności budowli, spojrzała na niego z ukosa.

– Dlaczego? – zapytała.

Wydał wargi, zanim odpowiedział.

– O, jest bardzo piękny i bardzo smukły – powiedział. – Bardzo galijski w stylu. Ale także bardzo funkcjonalny. Wszystkie te ozdoby nie sprawiają, że mury stają się niższe albo brama słabsza. Do wejścia prowadzi wąska droga, a na tych stromych zboczach trudno byłoby doprowadzić bliżej maszyny oblężnicze.

– Rzeczywiście – przyznała z namysłem Maddie, która zupełnie inaczej patrzyła teraz na zamek.

Potężna brama stała otworem, można było przejść po jej przekroczeniu jakieś pięć metrów. Później natrafiało się na kratę, przed którą stało czterech pikinierów, noszących kolczugi i dziwaczne hełmy przypominające kształtem kapelusze, charakterystyczne dla galijskiej piechoty. Na ich białych kaskach widniały złote lilie, herb króla Philippe’a.

– Brama jest otwarta – zauważyła Maddie.

– Gdybyśmy wyglądali groźnie, mieliby mnóstwo czasu, żeby ją zamknąć – odparł Will.

Dwaj pikinierzy przesunęli się do przodu i na środek przejścia, żeby zagrozić im drogę. Jeden z nich uniósł dwumetrową pikę i ustawił przed sobą po skosie. Drugi podniósł prawą rękę, dając przybyszom znać, że mają się zatrzymać. Reszta wartowników stała po bokach bramy, z pikami opartymi na ziemi i skierowanymi pionowo do góry.

Will pociągnął lejce, a Wyrwij stanął kilka metrów przed strażnikiem z uniesioną ręką. Kiedy wóz się zatrzymał, żołnierz opuścił rękę.

– Kim jesteście? – zapytał poważnie, chociaż było jasne, z kim ma do czynienia.

– Jestem Will Accord, a to moja córka Madelyn – odpowiedział Will. – Jesteśmy wędrownymi rybakami – dodał niepotrzebnie, ponieważ można to było poznać po ich kolorowym wozie i strojach w jaskrawych barwach.

Na strażniku nie zrobiło to wrażenia.

– Skąd jesteście? – burknął.

Will odwrócił się na koźle i machnął ręką szerokim łukiem w stronę, z której przybyli.

– Urodziliśmy się w Araluenie, zacny panie – powiedział. – Ale od jakiegoś tygodnia podróżujemy po waszym pięknym kraju.

– Ten kraj nie należy do mnie, tylko do króla – odparł strażnik.

Will pomyślał, że mężczyzna wygląda na ponurego prostaka. Mimo to uśmiechnął się.

– Nie staje się przez to mniej piękny, sir – odparł.

Strażnik zastanawiał się kilka sekund nad tym stwierdzeniem, doszukując się w nim ukrytej obelgi. Ostatecznie uznał, że przybysz nie miał złych intencji. Obrócił lekko głowę, żeby zwrócić się do jednego ze strażników za sobą.

– Sprowadź tu kasztelana – powiedział. – Musi przyjrzeć się tej dwójce, zanim ich wpuścimy.

– Cóż za przyjazne miejsce – mruknęła Maddie.

Will, z uśmiechem przyklepionym na twarzy, odpowiedział półgłosem:

– Siedź cicho.

Strażnik wrócił w towarzystwie siwowłosego i siwobrodego mężczyzny w czarno-srebrnym mundurze. Na rękawach czarnej kurtki zrobiono rozcięcia, by odsłonić srebrną tkaninę pod spodem. Mężczyzna poruszał się lekko i szybko. U pasa miał miecz podkreślający rangę oficera. Rękojeść broni, zakończonej ciężką srebrną głowicą, była owinięta czarną skórą. Także pochwa była czarno-srebrna, z czarnego wypolerowanego drewna i skóry ze srebrnymi zdobieniami. Długi sztylet, z podobnie zdobioną rękojeścią i pochwą, wisiał po prawej stronie.

– Jak rozumiem, to jest kasztelan – powiedział Will. Przyglądał się mężczyźnie uważnie. Na tym oficerze spoczywała odpowiedzialność podejmowania decyzji o tym, kto może, a kto nie może wejść do zamku. Sądząc po jakości broni i ubrania, było to stanowisko wysokiej rangi. Will zeskoczył z koźła, kiedy mężczyzna się zbliżył, i ściągnął kapelusz, pochylając się w głębokim, eleganckim ukłonie, doskonalonym przez ostatni tydzień.

Kasztelan popatrzył na niego. Jego ciemne, bystre oczy chłonęły każdy szczegół wyglądu wozu i dwójki pasażerów.

– Rybałci, tak? – zapytał. Mówił suchym, rzeczowym tonem.

Will skinął głową.

– Tak, milordzie. Podróżujemy po tym wspaniałym kraju i chcielibyśmy wejść do zamku.

– Nie jestem lordem – odparł szorstko mężczyzna. – Możecie się do mnie zwracać sir Guillaume. A jeśli to za trudno wam wymówić, wystarczy „sir”.

– Oczywiście, sir – zgodził się Will. – Jestem Will Accord z Redmont, a to moja córka Madelyn.

Sir Guillaume obszedł wóz szybkim krokiem. Poklepał Zderzaka po pysku i zajrzał do środka wozu, żeby obejrzeć znajdujący się tam sprzęt.

– Z Araluenu – powiedział. To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Zaiste, sir. Przypłynęliśmy tutaj tydzień temu.

– Tak słyszałem – stwierdził Guillaume, zaś Will i Maddie wymienili szybkie spojrzenia. Nie uszło to jednak uwagi kasztelana.

– O tak, informacje rozchodzą się tu niezwykle szybko. Mamy także oko na nowo przybyłych do naszego kraju. – Zatrzymał się i stanął przed Willem na rozstawionych nogach, podpierając się pod boki. – Słyszeliśmy o was dużo dobrego – powiedział.

Will schylił głowę, dziękując za komplement.

Kasztelan mówił dalej.

– Zezwalam wam na wstęp do zamku. Zaprowadźcie wóz i konie do stajni. Przydzielimy wam jakąś komnatę.

– Dziękuję, sir Guillaume – powiedział Will.

Kasztelan skinął krótko głową.

– Dzisiaj wystąpicie w dolnej sali jadalnej przed służbą i żołnierzami z garnizonu – powiedział. – Przyjrzymy się wam i zdecydujemy, czy jesteście dość dobrzy, żeby występować przed Jego Wysokością i członkami dworu.

– Kiedy moglibyśmy liczyć na ten zaszczyt, sir? – zapytał Will.

– Jutro wieczorem. Król biesiaduje ze swoim dworem wieczorem dnia szóstego. Uczta odbywa się w królewskiej jadalni. – Mężczyzna umilkł i dodał z naciskiem: – O ile będziecie dość dobrzy.

– A co do zapłaty, sir Guillaume...? – Will zawiesił głos.

Kasztelan znowu skinął głową. To było całkiem naturalne pytanie.

– Dzisiaj możecie zbierać datki od widowni, tak jak zwykle. Jutro umówimy się na zapłatę z wyprzedzeniem. – Zaczerpnął powietrza, by dodać coś jeszcze, ale Will go uprzedził.

– O ile będziemy dość dobrzy – powiedział.

Na ustach kasztelana pojawił się cień uśmiechu, który zaraz zniknął.

– O ile będziecie dość dobrzy – potwierdził.





Gilan i Horace spacerowali po murach Zamku Araluen, pogrążeni w rozmowie. Horace planował manewry konnicy połączone z ćwiczeniami zamkowych łuczników.

– Myślę o takiej sytuacji jak wtedy nad rzeką, kiedy ścigały nas Czerwone Lisy – wyjaśnił Horace.

– O ile pamiętam, łucznicy i konnica bardzo sprawnie wtedy współpracowali – zauważył Gilan.

Horace skinął głową.

– To prawda, ale mieliśmy wówczas wyselekcjonowaną grupę, najlepszych łuczników i najlepszych konnych. Do tego musieliśmy improwizować, na bieżąco dostosowując plany. Chciałbym to jakoś sformalizować, żeby wszyscy łucznicy i cała kawaleria mogli przećwiczyć tego rodzaju operacje.

Gilan w zasadzie sprawował funkcję dowódcy Korpusu Zwiadowców, ale nadzorował także treningi zamkowego oddziału łuczników. Miało to sens, ponieważ obok Halta i Willa był jednym z najlepszych łuczników w królestwie.

Skinął głową, zastanawiając się nad słowami Horace’a.

– To rzeczywiście dobry pomysł – przyznał.

Horace, zachęcony jego reakcją, rozwinął myśl.

– Chciałbym także zrobić to na odwrót.

Gilan się uśmiechnął.

– Chcesz, żeby siedzieli na koniach tyłem do przodu?

Horace rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Nie. Chcę przeciwżyć szarżę konnicy przez rzekę z łucznikami, którzy będą ich wspierać, strzelając ponad ich głowami.

– To będzie wymagało sporo ćwiczeń – przyznał Gilan. – I będzie trochę bardziej ryzykowne niż odpieranie pościgu.

Przeszli przez jedną z narożnych wież i wyszli po drugiej stronie na kolejny odcinek murów. Stojący na warcie strażnik, zaskoczony widokiem dwóch dowódców, stanął szybko na baczność.

– Spocznij – powiedział Horace, a mężczyzna wykonał rozkaz.

Przyjaciele ruszyli dalej, kontynuując rozmowę, ale Gilan zatrzymał się po chwili i wskazał wysoką sylwetkę opartą o mur w połowie drogi pomiędzy wieżami.

– A któż to? – zapytał, chociaż był prawie pewien odpowiedzi.

Wartownik, któremu obcy był koncept pytań retorycznych, odpowiedział natychmiast:

– To Jego Wysokość, sir. Jest tutaj od jakichś czterdziestu minut.

– To dziwne – stwierdził Horace i wydłużył krok, by szybciej podejść do Duncana. Król spoglądał na wschód ponad trawiastymi błoniami otaczającymi zamek. Gilan musiał przyspieszyć, żeby dogonić towarzysza.

Duncan usłyszał, że się zbliżają i odwrócił się do nich. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy rozpoznał dwóch swoich najbardziej zaufanych i najlepszych dowódców.

– Dzień dobry, Gilanie. Witaj, Horace – powiedział.

Rycerze także się przywitali. Gilan ukradkiem przyglądał się królowi. Pod powitalnym uśmiechem dostrzegał na jego twarzy niepokój. Coś go trapiło.

– Czy coś się stało, sir? – zapytał. Gilan zawsze od razu przechodził do rzeczy, co było jednym z wielu powodów, dla których Duncan cenił go jako doradcę.

Król machnął ręką w kierunku wschodnim.

– Tak myślę, że Will i Maddie powinni być już w głębi łądu – powiedział. – Spodziewam się, że lada dzień dotrą do Chateau La Lumiere.

– Czy Wasza Wysokość martwi się o nich? – zapytał Gilan.

Duncan powoli pokiwał głową.

– Martwię się o nich – przyznał.

– Z jakichś konkretnych powodów? – spytał Horace.

– Nie, nic szczególnego – odparł po krótkim wahaniu. – Mam po prostu niedobre przeczucia. Nie podoba mi się, że wysłałem dwójkę moich zwiadowców, żeby rozwiązywali cudze problemy.

– Przyznam, że też nie jestem tym zachwycony – zgodził się z nim Gilan. – To sprawia, że zaczynają trochę przypominać najemników.

– To prawda. – Duncan skinął głową. – Chociaż myślę, że Anthony miał rację, kiedy mówił, dlaczego warto utrzymać Philippe’a na tronie.

– Zawsze lepszy diabeł znany – powiedział Horace.

Duncan znowu pokiwał głową.

– Właśnie tak.

– Ale Wasza Wysokość nie do końca ufa Philippe’owi – zauważył Gilan. To było stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

– Owszem, nigdy nie wydawał mi się szczególnie godny zaufania. Jeśli sprawy ułożą się niepomyślnie dla Willa i Maddie, zostawi ich najpewniej własnemu losowi.

– Czy Wasza Wysokość ma jakiś pomysł? – zapytał Horace.

Duncan zastanowił się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że w razie kłopotów mają jakieś wsparcie – przyznał. – Wystarczy kilkoro porządnych ludzi i chyba wolałbym, żeby Philippe się o nich nie dowiedział.

– Wasza Wysokość ma na myśli konkretną osobę? – zapytał Horace.

Duncan patrzył na niego przez długą chwilę, a Horace domyślił się, że może być jednym z tych „porządnych ludzi”, o których mówił król. Jednak zamiast to potwierdzić, Duncan spojrzał na Gilana.

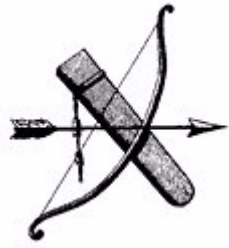
– Czy Halt ma nas w najbliższym czasie odwiedzić? – zapytał.

Gilan pozwolił sobie na cień uśmiechu.

– Jestem pewien, że to się da zorganizować – odpowiedział.

Duncan znowu popatrzył na wschód, jakby mógł zobaczyć dwójkę swoich zwiadowców daleko stąd, w Gallii.

– To dobrze – oznajmił w końcu. A potem powtórzył: – To dobrze.





Tego wieczoru Will i Maddie dali występ dla niższych rangą mieszkańców zamku – żołnierzy z garnizonu oraz służących – w dużej sali jadalnej na parterze donżonu.

Występ został dobrze przyjęty. Życie służby na zamku było zazwyczaj nudne i monotonne, więc wypatrywano każdej okazji do rozrywki. Trzeba jednak przyznać, że Will i Maddie dostarczali atrakcji w najlepszym gatunku. Will potrafił grać i śpiewać znacznie lepiej niż przeciętny muzykant, a do tego miał duży repertuar.

Popis rzucania nożami Maddie także był ekscytujący – towarzyszył mu dreszczyk emocji związanych z obserwowaniem, jak dziewczyna posługuje się ostrymi niczym brzytwa nożami z pokazową nonszalancją i niezawodną precyzją. Pamiętając o sugestii Willa, nie popełniła tym razem celowego błędu na początku, ale mimo to nie udało jej się nakłonić nikogo z widowni, by pozwolił się przypiąć do koła. Jej propozycje spotykały się z rubasznymi żartami i stanowczą odmową.

Występ miał teraz określony przebieg. Zaczynał Will, dwudziestominutowym koncertem. Później przedstawiał zebranym Maddie. W obszernej sali miała dość miejsca na swój pokaz. Kiedy skończyła, Will znowu zaczynał śpiewać, zapraszając widownię, by do niego dołączyła, zaś Maddie przez ten czas okrążała salę z pokaźną sakiewką, którą podsuwała zebranym, żeby mogli wrzucać do środka monety.

Cieszyło ją, że w miarę jak przechodziła pomiędzy długimi stołami, sakiewka stawała się coraz cięższa, zaś najczęściej wpadały

do niej srebrne i złote monety – najmniej wartych miedziaków było stosunkowo niewiele.

Zauważyła także, że kasztelan stał z tyłu sali, obserwując występ Willa. Sir Guillaume popatrzył na Maddie i skinął głową z aprobatą, po czym gestem przywołał do siebie dziewczynę. Skłoniła się przed nim grzecznie.

– Bardzo dobrze wam idzie – pochwalił. – Powiedz swojemu ojcu, że jutro wieczorem wystąpicie przed królem i jego dworem. Rano porozmawiamy o zapłacie.

– Dziękuję, sir Guillaume. Przekażę mu to – odparła Maddie, kłaniając się lekko.

Kasztelan skinął głową kilka razy. W jego ruchach była jakaś nerwowa energia.

– To dobrze. Dobrze. Mam nadzieję, że zakwaterowanie spełnia wasze wymagania?

Dostali dla siebie mały apartament na trzecim piętrze donżonu, w części zamieszkaanej przez wyższych rangą służących.

– Jest nam bardzo wygodnie, sir. Znacznie wygodniej niż na wozie. Uśmiech kasztelana pojawił się na moment i natychmiast zniknął.

– Nie wątpię – odpowiedział. – Dobrze, w takim razie jutro porozmawiam z twoim ojcem.

Odwrócił się i wyszedł, przepychając się pomiędzy zatłoczonymi stołami do drzwi. Maddie zauważyła, że Will ich obserwował. Przeszła z powrotem na środek sali, a po drodze zebrała kolejne monety. Mijając Willa, powiedziała przyciszonym głosem:

– Jutro występujemy przed królem.

Zwiadowca skinął głową i zaczął następną piosenkę, zaś Maddie wróciła do małego stolika czekającego na nich z boku sali. Piosenka miała absurdalne słowa i powtarzający się refren o dziurze w garnku, więc widownia włączyła się w nią z entuzjazmem. Maddie wiedziała, że po tej piosence Will zaśpiewa jeszcze tylko dwie. Usiadła przy stoliku i naląła sobie kawy ze stojącego tam dzbanka. Ziewnęła dyskretnie – nie byłoby dobrze, gdyby goście pomyśleli, że nudzi ją śpiew Willa, co zresztą nie było prawdą. Była po prostu zmęczona. Elektryzująca energia, która przepełniała ją podczas występu, zniknęła teraz, a zwiadowczyni czuła się wyczerpana i pozbawiona energii, gdy adrenalina odpłynęła z jej żył. Pomyślała, że jeszcze

dziesięć minut i będzie mogła pójść do ciepłego i wygodnego łóżka na trzecim piętrze.



Następnego dnia koło południa zostali wezwani do komnaty sir Guillaume'a znajdującej się na parterze potężnej wartowni przy bramie.

– Jego Wysokość życzy sobie, żebyście dzisiaj wieczorem wystąpili przed nim oraz jego rycerzami i dworzanami – powiedział do Willa, który skinął głową.

– A zapłata?

Guillaume odchylił się do tyłu na swoim drewnianym krześle z wysokim oparciem. Will i Maddie stali przed jego biurkiem.

– Niektórzy mogliby uznać, że dostateczną nagrodą jest zaszczyt występu przed Jego Wysokością – zauważył.

Will wyczuwał, że to nie jest prawdziwe zastrzeżenie, ale raczej część negocjacji.

– Niektórzy mogliby tak uznać – zgodził się, ale takim tonem, że nie było wątpliwości, że sam się do tych „niektórych” nie zalicza.

Guillaume skinął lekko głową. Nie oczekiwał, że Will przystanie na podobną propozycję.

– W takim razie wypłacimy wam czterdzieści orłów – powiedział.

Will wydał wargi. Orzeł był jednostką galijskiej waluty, złotą monetą wartą mniej więcej jeden i jedną czwartą araluńskiego rojala. Pomyślał, że to uczciwa oferta, ale raczej z tych niższych. Z pewnością nie można byłoby jej nazwać szczodrą.

– Niewiele mniej dostaliśmy wczoraj od zamkowej służby – zauważył.

Guillaume wzruszył ramionami.

– Zatem mieliście sporo szczęścia – powiedział. Zauważył jednak stanowczość malującą się na twarzy Willa i pospiesznie skorygował swoją ofertę. – Niech będzie, zapłacimy pięćdziesiąt orłów. – Umilkł na chwilę, a potem dodał z naciskiem: – To ostateczna propozycja.

Will skinął głową.

– Zgoda.

Guillaume szybko zanotował coś na leżącym przed nim kawałku pergaminu.

– Otrzymacie zapłatę po występie – powiedział. – Zakładam, że jutro chcecie wyjechać?

I nie połamcie sobie nóg z pośpiechu – pomyślała Maddie, tłumiąc uśmiech.

– Chyba że Jego Wysokość będzie nalegać, żebyśmy zostali i dali drugi występ – zastrzegł Will.

Guillaume podniósł lewą brew i postukał w liczbę zapisaną na pergaminie.

– Przy takiej kwocie wątpię, by tak się stało – powiedział.

Maddie i Will wyszli z jego gabinetu. Kiedy wracali przez dziedziniec do donżonu, zwiadowca uśmiechnął się do swojej towarzyszki.

– No, będziesz mogła opowiadać wnukom, że występowałaś przed królem – powiedział.

Maddie odwzajemniła uśmiech.

– I to za pięćdziesiąt orłów – odpowiedziała.

Will popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Kto powiedział, że coś z tego dostaniesz? Ty występujesz dla zaszczytu.



Królewska sala jadalna znajdowała się na drugim piętrze donżonu. Była o wiele bardziej elegancka od sali, w której Will i Maddie występowali poprzedniego dnia. Była mniejsza – zgromadzona publiczność też była mniej liczna – za to urządzona wykwitnie w porównaniu do prostych stołów na kozłach w sali dla służby. Ściany zdobiły kosztowne gobeliny, a także obrazy, najprawdopodobniej przedstawiające przodków króla. Wnętrze oświetlały tuziny świec w lichtarzach, zaś na środku wisiał ogromny kandelabr z co najmniej pięćdziesięcioma świecami. Około czterdziestu rycerzy i dworzan zajmowało miejsca przy ośmiu stołach. Tam też zostawiono wolną przestrzeń na występ Willa i Maddie.

Na podwyższeniu nakryto stół dla króla i najwyższych rangą członków jego dworu, a więc królowej i jej pierwszej damy dworu, brata króla, szambelana i jeszcze trzech wysokich dostojników. Poprzedniego wieczoru służba siedziała na twardych drewnianych ławach, ale dzisiejsza publiczność miała krzesła z rzeźbionymi poręczami i wysokimi oparciami, wyściełanymi wygodnymi poduszkami. Na przeciwnym krańcu sali znajdował się ogromny kominek, w którym buzował ogień. Will i Maddie wślizgnęli się dyskretnie do środka i stanęli z boku pod ścianą.

Gwar rozmów wypełniał powietrze, a służący uwijali się pomiędzy stołami, roznosząc pieczone mięsiwa i drób oraz półmiski pełne parujących jarzyn. Stawiali je pomiędzy biesiadnikami, którzy częstowali się sami, odcinając kawałki mięsa i nadziewając je na długie sztylety. Nakładali jedzenie na drewniane talerze i jedli widelcami. Najwyraźniej nikt nie uważał, że nie należy mówić przy jedzeniu, więc salę wypełniały podniesione głosy tych, którzy starali się przekrzyczeć swoich sąsiadów.

Maddie zauważyła, że przy stole królewskim Jego Wysokość jadł bardzo niewiele. Przesuwał wzrokiem po zebranych biesiadnikach, obserwując ich i oceniając. W jego oczach nie było śladu życzliwości, pozostawały zimne i nieruchome jak ślepia bazyliuszka. Maddie zadrżała lekko na ten widok. Pomyślała, że król Philippe nie jest kimś, kogo chciałaby mieć za wroga.

Od czasu do czasu pochylał się w bok, żeby szepnąć coś bratu, siedzącemu po jego prawej stronie. Maddie dowiedziała się wcześniej od Gilana, że królewski brat ma na imię Louis. Na jego twarzy malował się ironiczny uśmiech pełen wyższości, zaś na uwagi króla odpowiadał głośnymi wybuchami śmiechu. Zwiadowczyni zauważyła jednak, że w tej wesołości było coś fałszywego, zaś pod nią kryło się to samo zimne wyrachowanie, co w przypadku króla.

Philippe nie odzywał się do swojej żony, wyniosłej, wysokiej i uderzająco pięknej kobiety siedzącej po jego lewej stronie. W jej kruczoczarnych długich włosach widniało jedno białe pasmo po prawej stronie, choć Maddie podejrzewała, że nie jest to oznaka starości, ale wymóg mody. Królowa od czasu do czasu odzywała się do swojej damy dworu i obie śmiały się krótko. Maddie miała mocne podejrzenia, że słowa królowej to złośliwości pod adresem

biesiadników przy pozostałych stołach. Księżniczka prychnęła z pogardą, przypominając sobie radosną i serdeczną atmosferę uczt, w których uczestniczyła na dworze ojca w Zamku Araluen, albo o wiele mniej formalnych, hałaśliwych zabaw u barona Aralda w Zamku Redmont.

Dwór galijski wyraźnie z nimi kontrastował – tu na porządku dziennym były kąśliwe uwagi i ledwie maskowany snobizm.

Było ogólnie przyjęte, że występ zaczynał się zawsze dopiero po zjedzeniu głównego posiłku. Kiedy służący zaczęli wynosić ogryzione kości kaczek i gęsi, a także większe gnaty z wołowiny i wieprzowiny, król skinął na majordomusa, siwobrodego, prostego jak struna mężczyznę, który trzymał czarną, okutą laskę jako symbol swojego urzędu. On z kolei dał znak w stronę bocznych drzwi sali jadalnej, a dwaj służący pospiesznie wnieśli tarczę używaną przez Maddie podczas występów, przykrytą teraz grubą lnianą płachtą. Część zgromadzonych zauważyła to i przerwała pogawędki, z zainteresowaniem przyglądając się zasłoniętej konstrukcji. Inni, którzy znajdowali się dalej, wciąż rozmawiali i śmiali się, dopóki majordomus, noszący imponujący złoto-srebrny uniform w barwach królewskich Philippe'a, trzykrotnie nie uderzył mocno laską w posadzkę. Trzy stuknięcia odbiły się echem w całej sali, zaś biesiadnicy ściszyli głosy, a potem umilkli, kiedy majordomus zagrzmiął:

– Lordowie i damy, rycerze i szlachetnie urodzeni, cisza przed występem dla króla!

Will spojrzął kątem oka na Maddie i uśmiechnął się.

– Możesz zacząć się denerwować – szepnął. – Zaraz zaczynamy.



Philippe nie wyglądał na zainteresowanego, machnął leniwie ręką, dając znak, że można zaczynać występ. Will wyszedł na środek i zaczął pierwszą pieśń, porywającą opowieść o rycerskości i męstwie, opisującą rycerza w białej zbroi walczącego śmiało z trójką złych trolli. Wiedział, że to popularna pieśń, a do tego szczególnie stosowna dla obecnej widowni. Kiedy uderzył ostatni akord, od większości stołów rozległy się entuzjastyczne brawa. Will spojrzał szybko w kierunku króla, który pozwolił sobie na kilka znudzonych klaśnień, podobnie jak jego towarzysze. Zwiadowca wzruszył ramionami i przeszedł do następnej piosenki.

Kiedy skończył, prawie cała widownia biła z entuzjazmem brawo i domagała się bisów. Wyjątek stanowił oczywiście stół królewski. Biorąc przykład z władcy, wszyscy z wyniosłością ostentacyjnie okazywali brak zainteresowania. Bili brawo zdawkowo, a nawet nie przerywali rozmów w czasie występu Willa.

– Trudna publiczność – mruknął do Maddie, kiedy stanęła koło niego na pustym środku sali. Uśmiechnęła się do niego, ponieważ wiedziała, że ma na myśli króla i jego otoczenie, a nie resztę widowni, która najwyraźniej świetnie się bawiła. Will grzecznie zbył prośby o bisy i przedstawił Maddie, nazywając ją tym razem „mistrzynią groźnych ostrzy”. Zwiadowczyni uśmiechnęła się do siebie. Na niektórych występach były to „śmiercionośne noże”, a na innych – „złowrogie sztylety”.

Will podszedł szybko do tarczy i ściągnął płócienną płachtę. W sali rozległ się szmer zainteresowania. Zebrani biesiadnicy zastanawiali się, do czego służy mechanizm ukryty pod płótnem.

Maddie, wywołując numery segmentów, w które celowała, rzuciła pięć wirujących ostrzy, które jedno po drugim wbiły się z głuchymi łupnięciami w deski – każde prosto w wyznaczony cel. Potem Will zaczął obracać kołem, a ona powtórzyła sekwencję. Publiczność była urzeczona. Nawet król zapomniał o swojej obojętnej pozie i pochylił się lekko, by lepiej widzieć.

W dalszej części występu Maddie przechodziła do coraz trudniejszych wyzwań. Koło obracało się jeszcze prędeej, poruszane przez dwóch służących w rytm podawany przez dziewczynę. Maddie stała tyłem do wirującej tarczy, obracała się w momencie wywoływania numeru i pozornie bez namysłu ciskała nożem, za każdym razem trafiając w cel. Biesiadnicy byli coraz bardziej zachwyceni i zafascynowani. Owacje stawały się coraz głośniejsze i dłuższe.

W końcu pokaz zaczął się zbliżać ku końcowi. Maddie stanęła twarzą do widowni, rozkładając noże jak wachlarz w lewej dłoni i wskazując prawą tarczę.

– Lordowie i damy! – zawołała. – Czy znajdę wśród was ochotnika?

Dało się zauważyć zainteresowanie i poruszenie publiczności. Zastanawiali się, co teraz nastąpi.

– Czy znajdzie się śmiałek, który zawiruje na kole grozy, podczas gdy ja będę rzucać nożami?

W sali rozległy się pomruki, ale nikt się nie zgłosił. Maddie, sfrustrowana, zmarszczyła na moment brwi. Żywy ochotnik przypięty do obracającego się koła stanowiłby efektowne zwieńczenie pokazu. Na razie jednak nie udało jej się przekonać do tego nikogo. Zaczepnęła powietrzem, żeby spróbować jeszcze raz, ale przeszkodził jej w tym głos dobiegający od stołu na podwyższeniu.

– Cóż to? Czy żaden z moich dzielnych rycerzy nie jest dość odważny, by zgłosić się na ochotnika? Czy Gallia ma się okryć hańbą na oczach aralueńskich gości?

To był Philippe. Podniósł się ze swojego fotela i spoglądał na rycerzy i dworzaków z szyderczym uśmiechem pełnym wyższości. Jego

głos był wysoki i nosowy, a ton napastliwy i pogardliwy.

Maddie odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Nic się nie stało, Wasza Wysokość... – zaczęła, ale nieznoszącym sprzeciwu gestem nakazał jej milczenie.

– Oczywiście, że się stało, młoda damo. To obraza dla twoich umiejętności, że żaden z moich mężnych rycerzy nie chce się zgłosić do pomocy. Wiem jednak, że jest tu jedna osoba dość odważna, by to zrobić... – urwał dramatycznie, zaś zgromadzeni na sali przyglądali się mu nieufnie – ...książę Louis, mój brat, będzie twoim asystentem – oznajmił z triumfalną nutą w głosie. W sali rozległy się pomruki zaskoczenia i ulgi. Jednakże książę Louis wzdrygnął się na swoim miejscu i pobladł.

Król odwrócił się do niego z pogardliwym uśmiechem.

– Czyż nie tak, bracie?

Louis, któremu odebrało mowę, zdołał tylko potrząsnąć głową.

– Chodź, Louisie, wstawaj. Pokaż tym tchórzom, na czym polega prawdziwa odwaga.

– Wasza Wysokość... bracie... – Louis zdołał w końcu się odezwać, ale głos zaraz uwiązł mu w gardle. Mimowolnie przesunął się na krześle, jakby oddalenie się od króla mogło cofnąć wydany rozkaz.

Will, obserwujący wszystko spod ściany, potrząsnął głową. Maddie spojrzała na niego, zaskoczona i przestraszona. Zastanawiała się, co robić w takiej sytuacji.

Will pomyślał, że nie zazdrości takiej rodziny. Było jasne, że Philippe'a bawi poniżanie młodszego brata i upokarzanie go na oczach całego dworu. Musiały być między nimi jakieś napięcia, skoro król odczuwał potrzebę podkreślenia swojej dominacji nad księciem w taki sposób. Jednakże to stanowiło potencjalne zagrożenie dla Willa i Maddie. Jeśli pozwolą, by sprawy zaszły za daleko, zrobią sobie wroga z księciem Louisa.

Wyszedł szybko na środek sali i skłonił się przed królem.

– Najjaśniejszy Panie! – zawołał. – Choć propozycja księcia Louisa jest niezwykle wspaniałomyślna, obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. Myśl o tym, że członek rodziny królewskiej został przypięty do koła, byłaby zbyt straszna dla mojej młodziutkiej córki.

– Ujął swój sprzeciw w taki sposób, jakby zakładał, że książę pozwoliłby się przypiąć do tarczy.

Philippe zmarszczył brwi.

– Ty nie możesz na to pozwolić? – zapytał. – Kimże jesteś, by kwestionować królewskie słowa?

Will przeklął się w duchu za niefortunny dobór słów. Skłonił się nisko.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Mój szacunek dla Waszej Wysokości i wszystkich członków rodziny królewskiej jest zbyt wielki, by dopuścić, żeby ktokolwiek podejmował takie ryzyko. Byłoby niewyobrażalną tragedią, gdyby brat Waszej Wysokości został ranny. W waszych żyłach płynie przecież ta sama krew, więc gdyby coś się stało, byłoby tak, jakby Wasza Wysokość osobiście został ranny.

Philippe uśmiechnął się zimno.

– Zaiste, byłoby tragedią, gdyby Louis odniósł ranę – przyznał. – Ale twoja córka potrzebuje asystenta.

– W takim razie sam to zrobię – powiedział szybko Will. – Proszę mi pozwolić zająć miejsce księcia na kole. – Przeniósł spojrzenie na bladego jak ściana Louisa. – Czy Wasza Księżęca Mość pozwoli mi zająć swoje miejsce? – zapytał, nadal udając, że Louis rzeczywiście zgłosił się na ochotnika.

Król, nadal z uśmiechem, popatrzył na brata, a Will zrozumiał, że prawidłowo to rozegrał. Wyczuwał, że Philippe'owi zależało na dwóch rzeczach. Chciał zawstydzić i poniżyć brata. Chciał także zobaczyć, jak ktoś ryzykuje swoje życie na kole.

Louis szybko skinął głową, a kiedy się odezwał, jego głos był odrobinę wyższy niż zwykle.

– Tak! Tak! Nie krępuj się. Proszę, śmiało – powiedział. Nadal kulił się na wielkim krześle z wysokim oparciem, jakby starał się trzymać od króla tak daleko, jak to możliwe.

Król machnął przyzwalająco na Willa.

– Skoro Louis się zgadza, udzielamy ci zezwolenia.

Louis skulił się odrobinę bardziej na swoim miejscu, kiedy to usłyszał. Will skłonił się, a potem podszedł do tarczy. Maddie podbiegła do niego, żeby pomóc przypiąć go do koła.

– Nie spudłuj – powiedział ponuro, kiedy zaciskała mu pasy na nadgarstkach.

– Nie martw się – odparła. Dała dwójce służących znak, by zakręcili kołem, odliczając dla nich rytm. Kiedy koło poruszało się w tempie, jakie jej odpowiadało, wróciła na swoje miejsce. W sali zapadła cisza, gdy dziewczyna zamachnęła się i rzuciła.

Łup!

Publiczność zaczęła wiwatować, gdy nóż wbił się w deskę o kilka centymetrów od wyciągniętej dłoni Willa. Następne cztery noże poszybowały jeden za drugim, trafiając tak samo blisko ciała. Maddie dała służącym znak, żeby przestali obracać kołem, i podeszła zabrać noże przed dalszą częścią pokazu. Kiedy jednak machnęła na służących, że mają znowu zaczynać, przerwał jej głos Philippe'a.

– Teraz szybciej! – zażądał i zaczął wybijać na stole rytm, jakiego sobie życzył. Pozostali przy stole na podwyższeniu dołączyli do niego, a koło zaczęło się obracać szybciej. Maddie przez chwilę szacowała wzrokiem prędkość, a potem rzuciła kolejną serię, tak żeby prawie trafić w dłonie, stopy i głowę Willa.

Potem, zanim król zdążył zażądać czegoś jeszcze, odwróciła się do publiczności i skłoniła nisko. Rycerze i dworzanie zaczęli wiwatować i rzucać monety. Kiedy podbiegła do tarczy i uwolniła Willa, wiwaty się nasiliły. Wszyscy chwalili jego odwagę. Will i Maddie wzięli się za ręce i skłonili publiczności, na lewo, na prawo i pośrodku. Potem odwrócili się i skłonili przed królem. Pozostali pochyleni kilka sekund dłużej niż poprzednio.

– Dobra robota – oznajmił Philippe z udawanym brakiem entuzjazmu. Rzucił Willowi safianową sakiewkę, która zabrzęczała, gdy zwiadowca ją złapał. – Twoja nagroda – powiedział krótko. Wydawał się rozczarowany tym, że Willowi nic się nie stało.

Will skłonił się znowu i podszedł bliżej do podwyższenia.

– Wasza Wysokość, proszę wybaczyć moją śmiałość, ale mam dla Waszej Wysokości dar z Araluenu. Czy mogę go wręczyć?

To pytanie spotkało się z kolejnym leniwym machnięciem ręki. Will szybko wszedł po kilku stopniach i zdjął z szyi srebrny medalion, który położył na stole przed królem. Philippe popatrzył na podarunek, początkowo bez zainteresowania, ale zaraz jego oczy się zwężyły.

Na medalionie została wygrawerowana korona, a pod nią trzy słowa:

Pax inter reges.

Późnym wieczorem, kiedy cały zamek już zasnął, Will i Maddie zostali wezwani do królewskich apartamentów.



Zanim Will wręczył mu medalion, Philippe nie miał pojęcia, że ta dwójka rybaków to wysłannicy Duncana, którzy mają uratować jego syna.

Spodziewał się jednej osoby – mężczyzny. Spodziewał się także, że będzie to zwiadowca, a nie trubadur w pstrokatym stroju. To, że rybaki przyплыnęli z Araluenu, wydało mu się zaledwie zbiegiem okoliczności. Ostatecznie podróżnicy z Araluenu bardzo często przemierzali Galię.

Przed wyruszeniem dwójki zwiadowców na misję Duncan wyjaśnił Willowi, dlaczego cała sprawa musi pozostawać tajemnicą.

– Zamki są pełne donosicieli, plotkarzy i najzwyklejszych szpiegów – powiedział. – Spodziewam się, że w Chateau La Lumiere jest nawet gorzej niż gdzie indziej, biorąc pod uwagę intrygę Lassigny’ego oraz obecny stan polityki wewnętrznej kraju. Nie chcemy, żeby ten cały Lassigny nabrał choć cienia podejrzeń, że pracujecie dla Philippe’a. Dlatego powinniście poczekać na właściwy moment, by powiedzieć królowi, kim jesteście.

Do tego właśnie miał służyć medalion. Wryta na nim inskrypcja, *Pax inter reges*, była tą samą frazą, której użył jako hasła Philippe, kiedy przyjechał do Araluenu, by poprosić Duncana o pomoc.

Teraz Maddie i Will byli prowadzeni przez ciemne korytarze i schody zamkowe do prywatnych komnat królewskich. Północ już dawno minęła, a zamek był pogrążony w ciemności i we śnie, więc nikt nie mógł ich zauważyć. Tylko pojedyncze pochodnie w uchwytych na ścianach rozjaśniały korytarze, kiedy szli za

królewskim służącym na szóste piętro donżonu, gdzie znajdowały się apartamenty Philippe'a.

Służący zatrzymał się przed drzwiami i zastukał dwa razy. Był to wyraźnie umówiony sygnał, ponieważ nie czekał na odpowiedź, tylko otworzył drzwi i odsunął się na bok, by przepuścić Maddie i Willa. Po półmroku pałacowych korytarzy oślepił ich blask licznych świec w komnacie. Philippe siedział za ozdobnym biurkiem w inkrustowanym złotem fotelu na cienkich, zakrzywionych nogach, obitym satynową tapicerką. Will uśmiechnął się kwaśno. Było to całkowite przeciwieństwo praktycznego, zniszczonego od wieloletniej pracy sosnowego stołu Duncana i jego prostego krzesła.

Książę Louis siedział z boku na szeszlunku w tym samym stylu co fotel brata. Dwa krzesła, również należące do kompletu, stały naprzeciwko Philippe'a, który skinieniem ręki nakazał zwiadowcom zająć miejsca. Na jego twarzy malowało się roztargnienie. Will skłonił krótko głowę, a obserwująca go uważnie Maddie zrobiła to samo. Oboje usiedli.

– To wy – odezwał się Philippe po kilku sekundach. – To wy jesteście ludźmi Duncana? – W jego głosie brzmiała nuta zdumienia.

Will skinął głową.

– Zgadza się.

Król jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– Spodziewałem się zwiadowcy. Wojownika. A nie dwójki rybałów – powiedział i potrząsnął głową.

Will się uśmiechnął.

– Król Duncan uznał, że dwójka rybałów będzie wzbudzać mniejsze podejrzenia, sir – wyjaśnił. Po tym, co zaszło w sali jadalnej, doszedł do wniosku, że nie lubi galijskiego króla. Nie zamierzał mu także ufać. Między innymi dlatego nie tytułował go teraz „Jego Wysokością”, ale używał bardziej ogólnego „sir”.

Philippe nie dał po sobie poznać, że to zauważył. Wskazał Maddie.

– Ale to dziewczyna – powiedział tonem niepozostawiającym wątpliwości, że uważa dziewczyny i kobiety za, w jakiś sposób, gorsze. – Udajecie się na niebezpieczną misję. Duncan jest chyba tego świadomy?

– Jestem pewien, że tak, sir – odparł Will. Spojrzał kątem oka na Maddie i zobaczył, że jej policzki pociemniały, co oznaczało, że

powstrzymuje złość. – Jest ona jednak niezwykle utalentowana – dodał.

– Ale... dziewczyna! – powtórzył Philippe. Rozłożył ręce, by podkreślić swoje zdumienie.

Will spojrział na Louisa. Księżę kiwał głową, zgadzając się z bratem.

– Zapewniam, sir, że Maddie jest doskonale wykształcona i potrafi zadbać o swoje i moje bezpieczeństwo. To, że jest dziewczyną, sprawia, że ludzie będą mniej skłonni podejrzewać nasze zamiary. Tak jak dzisiaj udowodniliśmy, sir.

Policzki króla poczerwieniały. Nie był przyzwyczajony do ludzi, którzy się z nim nie zgadzali – szczególnie ludzi, których uważał za gorszych od siebie, czyli większości populacji świata. Nie potrafił wymyślić dobrej odpowiedzi dla irytująco spokojnego człowieka, który stał przed nim, więc uznał, że najlepiej będzie zachować się z godnością i przypomnieć o wymogach protokołu.

– Macie się do mnie zwracać „Wasza Wysokość” – powiedział gniewnie.

Jednakże Will potrząsnął głową.

– Ten tytuł rezerwuję dla mojego króla, sir – powiedział.

Philippe wyprostował się jak struna i otworzył szerzej oczy ze zdumienia. Nikt nie odzywał się do niego w ten sposób. Nikt!

– Jesteś bezczelny, rybałcie... – zaczął, ale Will mu przerwał.

– Odpowiadam przed królem Duncanem, sir. Jestem tutaj, ponieważ to on, nie kto inny, wydał mi rozkaz.

– Mogę rozkazać, by was aresztowano! – Philippe ze złości podniósł głos.

Will tylko znowu potrząsnął głową.

– To nie byłoby roztropne – powiedział, a zanim Philippe zdążył coś dodać, wyjaśnił: – Jeśli tak się stanie, to kto uratuje waszego syna z rąk barona Lassigny’ego?

Philippe uświadomił sobie, że Will ma rację i zdobył się na gigantyczny wysiłek stłumienia gniewu. Spojrział z furią na rybałta. Pomyślał, że ten mężczyzna zapłaci za swoją bezczelność, kiedy przestanie być już potrzebny.

Will odczekał kilka chwil, by dać mu czas na opanowanie złości, a potem odezwał się rzeczowo:

– Czy moglibyśmy teraz się dowiedzieć, jakie jest obecnie położenie waszego syna, sir? Dzięki temu będziemy mogli zająć się sprowadzeniem go tutaj z powrotem. – Wyczuwał, że Philippe ma trudności, żeby mówić spokojnie, więc postanowił trochę go naprowadzić. – Czy sytuacja zmieniła się przez ostatnie trzy tygodnie? – zapytał. – Jak rozumiem, pozostaje on zakładnikiem w Chateau des Falaises?

Philippe skinął głową.

– Tak – powiedział zduszonym głosem. – Nadal jest zakładnikiem. Nic się nie zmieniło.

– Czy macie tutaj jakieś mapy okolic Falaises? – zapytał Will. – Byłyby dla nas przydatne.

Philippe, z każdą chwilą odzyskujący opanowanie, skinął głową i otworzył szybko szufladę biurka, żeby wyciągnąć kilka pergaminowych kart.

– Kazałem je dla was skopiować – powiedział.

Will zobaczył, że są to mapy i plany. Kiedy król je przysunął, zwiadowca odwrócił je, żeby patrzeć z właściwej strony, i rozłożył przed sobą. Maddie wstała i pochyliła się, by także się im przyjrzeć. Will przesunął palcem po sieci dróg od La Lumiere do Falaises.

– To wygląda na najkrótszą drogę – powiedział na wpuł do siebie. Przyjrzał się skali oznaczonej na dole mapy. – Możemy tam dotrzeć w... trzy dni. Może cztery.

– Gdybyście jechali szybko, zdążylibyście w dwa – podpowiedział Philippe, ale Will potrząsnął głową, chociaż jednocześnie uśmiechnął się, by nie urazić króla.

– Musimy nadal sprawiać wrażenie zwykłych rybaków – wyjaśnił.

– A to oznacza, że powinniśmy podróżować powoli i zatrzymywać się, żeby dawać występy. Dzięki temu, kiedy już przyjedziemy na miejsce, mamy szansę zostać wpuszczeni do zamku, tak samo jak tutaj.

Philippe skinął głową, ponieważ rozumiał sens planu. Nadal był wściekły na Willa, ale ukrywał te emocje. Ten bezczelny, pewien siebie mężczyzna był dla niego jedyną szansą na odzyskanie syna całego i zdrowego. Nie mógł go teraz do siebie zrazić. Gdyby to zrobił, rybak mógłby przerwać misję i wrócić do Araluenu.

– Rzeczywiście, rozumiem – powiedział. Znowu zapadła cisza, ponieważ zorientował się, że nie ma nic do dodania. Popatrzył na brata. – Louisie, czy masz może coś do powiedzenia?

Książę wyprostował się na swoim miejscu i z namysłem pogładził podbródek. W końcu zapytał:

– Dlaczego nie zaśpiewałeś *La Lune, elle est Mon Amour*?

Will popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Co takiego? – zapytał ostro.

Louis machnął szeroko obiema rękami, jakby musiał wyjaśniać coś prostaczce.

– *La Lune, elle est Mon Amour* – powtórzył. – To pieśń miłosna. Bardzo piękna.

Całkowicie bez związku i bez wyjaśnienia zaczął śpiewać:

La lune, elle est mon amour

Elle voyage dans le ciel de mon coeur...

Zanucił jeszcze kilka taktów melodii.

Will pomyślał z niedowierzaniem, że oni tu dyskutują o ratowaniu bratanka tego mężczyzny, a on chce porozmawiać o swojej ulubionej piosence!

– Obawiam się, sir, że jej nie znam – powiedział.

Louis uśmiechnął się do niego.

– Powinieneś się jej nauczyć. Jest bardzo piękna.

Will powoli potrząsnął głową i popatrzył na Philippe'a.

– Czy to już wszystko, sir? – zapytał.

Philippe zastanawiał się kilka sekund, po czym skinął głową. Zachowywał się, jakby nie zauważył niestosownego wysokości brata. Will wstał, zebrał mapy i odetchnął głęboko. Maddie poszła w jego ślady.

– W takim razie, sir, pójdziemy się trochę przespać. Wyruszamy zaraz po wschodzie słońca.

Philippe kilka razy skinął głową, jakby odzyskiwał panowanie nad sytuacją i przebiegiem tej rozmowy.

– Tak będzie najlepiej – oznajmił i wskazał drzwi. – Nie będę was dłużej zatrzymywać.

Na zewnątrz czekał ten sam służący, by odprowadzić ich do pokoju. Maddie popatrzyła na Willa.

– *La lune, elle est mon amour?* – powiedziała półgłosem i rozłożyła ręce w geście niedowierzania. – Co za rodzinka!

– To samo pomyślałem – przyznał Will.

Maddie milczała przez chwilę. W końcu znowu się odezwała.

– Zastanawiam się, dlaczego nie potwierdziłeś, że jesteśmy zwiadowcami. Zasugerowałeś, że naprawdę jesteśmy rybałtami – zauważyła. Will szybko spojrział na idącego przed nimi służącego, by się upewnić, że ich nie słyszy.

– Nie ufam do końca Philippe’owi – powiedział. – Ani jego bratu. Im mniej o nas wiedzą, tym lepiej. Jeśli uważają, że jesteśmy zwykłymi szpiegami, a nie zwiadowcami, to może być dla nas korzystne.





Następnego dnia niedługo po wschodzie słońca opuścili La Lumiere. Nie zaskoczyło ich, że ani Philippe, ani Louis nie wstali wcześniej, żeby ich pożegnać. Wóz turkotał cicho na gościńcu do Falaises, zaś Will miał wrażenie, jakby z ramion zdjęto mu ogromny ciężar. Pomyślał, że atmosfera w pałacu królewskim była duszna i ponura. Irytująca wyższość Philippe'a oraz jego skłonności do dręczenia i poniżania słabszych pozostawiły nieprzyjemny posmak w ustach zwiadowcy.

Maddie najwyraźniej czuła to samo.

– To miejsce najlepiej nadaje się do tego, żeby z niego wyjechać – stwierdziła.

– On jest naprawdę dziwny.

Maddie z namysłem zmarszczyła brwi.

– Jak myślisz, czemu się tak zachowuje? – zapytała. – Ta cała historia z jego bratem, próba zmuszenia go, żeby został dla mnie celem i poniżenie go przed wszystkimi obecnymi. Co on zyskał dzięki temu?

– Może poczucie, że jest ważny.

– Przecież naprawdę jest ważny. Jest królem. Co musi jeszcze udowodniać? – Maddie milczała przez chwilę, po czym dodała: – Mój dziadek nie uważa chyba takich rzeczy za konieczne.

– Wydaje mi się, że Philippe ma problemy z samooceną. Cały czas wątpi w to, czy nadaje się na władcę... Chyba zresztą całkiem słusznie. Bezustannie ogląda się przez ramię, w obawie, że pojawi

się ktoś, kto go zastąpi. Najbardziej prawdopodobnym kandydatem byłby jego brat. Dlatego poniża Louisa na oczach dworzan, żeby pokazać, że brakuje mu odwagi. Duncan nie musi tego robić. Jest silnym władcą i dzięki temu zyskał powszechny szacunek. Ma wrodzony autorytet, o jakim Philippe może tylko marzyć.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek odezwał się do mojego dziadka tak, jak ty do Philippe’a – przyznała Maddie, uśmiechając się na to wspomnienie.

Jednak Will nie odwzajemnił uśmiechu.

– Nie powinienem był tego robić – powiedział całkowicie poważnie – ale zirytował mnie tym wywyższaniem się i lekceważącym tonem. Kiedy zakończymy misję, powinniśmy opuścić ten kraj jak najszybciej.

– Nie uważasz, że będzie wdzięczny, kiedy przywieziemy mu bezpiecznie syna? – zapytała Maddie. Nie miała wątpliwości, że ich zadanie się powiedzie.

Will potrząsnął jednak głową.

– Taki człowiek nie zapomina zniewagi. Będzie szukał sposobu, żeby się zemścić. – Umilkł na chwilę. – Nawet Louis chętnie się na nas w jakiś sposób odegra.

– Louis? Co my mu zrobiliśmy? Uratowałeś go przed zostaniem moim celem.

– Właśnie to mu zrobiliśmy. Przez nas wyszedł na tchórza. Zapomni, że to jego brat zaaranżował całą sytuację, bo królowi niewiele mógłby zrobić. Dlatego my staniemy się oczywistym obiektem jego nienawiści.

Maddie ze znużeniem potrząsnęła głową.

– Tak jak mówiłam: co za rodzinka.

Will skinął głową.

– Człowiek się cieszy, że nie musi tu mieszkać – odpowiedział.



Kiedy zaczął zapadać zmierzch, byli jeszcze w drodze, z dala od jakiegokolwiek miasteczka. Dlatego zjechali z gościńca na polanę i rozłożyli na noc obóz. Nie stanowiło to dla nich problemu. Przyzwyczaili się do noclegów pod gołym niebem i oboje umieli

doskonale gotować na ognisku. Nie zanosiło się na deszcz, więc Maddie postanowiła spać na zewnątrz, ponieważ wolała świeże nocne powietrze od odrobinę stęchłego zaduchu na wozie.

Rano posilili się szybkim śniadaniem z pieczonego chleba i sera, popitym kilkoma kubkami kawy, i ruszyli dalej.

Jechali przez jakąś godzinę, kiedy Maddie zauważyła, że Will wychyla się na koźle, żeby obejrzeć się do tyłu.

– Coś nie tak? – zapytała.

Zmarszczył brwi i podrapał się po podbródku.

– Nie wiem. Coś mnie świerzbi na szyi.

– Śwędzi cię szyja, więc drapiesz się po podbródku? To nowatorskie podejście do problemu – zauważyła.

Will machnął tylko ręką.

– To takie powiedzenie. Mam przeczucie, że ktoś za nami jedzie.

Maddie wychyliła się ze swojej strony wozu i popatrzyła do tyłu. Jakieś dwieście metrów za nimi droga kryła się za zakrętem. W polu widzenia nie było nikogo.

– Nic nie widzę.

Will spojrzał na nią.

– Ja też nie – przyznał. – Ale mam... przeczucie, że ktoś tam jest.

– Jedzie za nami?

Zwiadowca wzruszył ramionami.

– Cóż, skoro jest z tyłu, to jedzie za nami. Pytanie brzmi, czy robi to celowo.

Mijały godziny. W południe zatrzymali się, żeby zjeść drugie śniadanie i napić konie. Kiedy Maddie parzyła kawę, Will cofnął się wzdłuż drogi, którą przyjechali, jakieś pięćdziesiąt metrów, a potem zatrzymał się i zawrócił.

– Nadal świerzbi cię szyja? – zapytała Maddie. Jego przeczucie, że ktoś może za nimi jechać, sprawiało, że także ona miała napięte nerwy. Wiedziała, że Will rzadko się mylił w kwestii wyczuwania niebezpieczeństwa. Przez te kilka spędzonych razem lat nauczyła się ufać jego instynktowi.

– Wydawało mi się, że widziałem coś przez jakąś sekundę czy dwie. Ale drzewa rosną za gęsto, żebym mógł mieć pewność. Jedziemy dalej.

Późnym popołudniem dotarli do niewielkiego miasteczka i wystąpili w miejscowej tawernie. Podczas gdy Maddie popisywała się przed tłumem, Will spacerował wokół, trzymając się w cieniu na obrzeżach widowni i obserwując ludzi podziwiających występ. Zwrócił uwagę na jednego mężczyznę – śniadego i brodatego, w niebieskim płaszczu, który siedział na uboczu z kuflem piwa. Jego strój wydawał się bardziej wyrafinowany niż szorstkie wełniane ubrania miejscowych. Wśród prostych mieszkańców prowincji wydawał się trochę nie na miejscu.

Tawerna nie miała pokoi na wynajem, więc zatrzymali wóz na miejskich błoniach i rozbili obóz. Kiedy ułożyli się na posłaniach, Will powiedział Maddie o tym mężczyźnie.

– Oczywiście to mógł być po prostu zwyczajny podróżny – zastrzegł.

– Albo i nie. Ale jeśli nie, to kto mógłby chcieć nas śledzić?

Zwiadowca wzruszył tylko ramionami.

– W tym kraju wszystko jest możliwe. Nikt nikomu nie ufa i ma po temu dobre powody. – Umilkł i zapatrzył się w gwiazdy. – Zobaczymy, czy jutro nadal tu będzie.





Kiedy wyjeżdżali następnego ranka, nigdzie nie było śladu nieznajomego.

Zapewne zapłacił komuś za nocleg, ale jeśli tak, rano starał się nie pokazywać. Will nawet przeszedł się po miasteczku przed śniadaniem, wypatrując podróżnika albo też jego osiodłanego konia. Sądząc po jakości ubrania mężczyzny, należało zakładać, że jego wierzchowiec także będzie się wyróżniać wśród kosmatych koni pociągowych, jakie można było tu zobaczyć. Ale wiele domów przy głównej ulicy miało na tyłach stodoły lub stajnie, w których łatwo dałoby się ukryć konia, o ile oczywiście istniał.

– Nigdzie go nie widziałem – powiedział Will do Maddie. Wskoczył na wóz i zajął miejsce na koźle.

– Może wyjechał wcześniej – podsunęła.

Zwiadowca z powątpiewaniem przechylił głowę.

– Może.

Maddie zauważyła, że Will zrezygnował z jaskrawego ubrania rybaka i włożył brązowo-szare spodnie i kurtkę, ale nie skomentowała tego.

Will zaczekał do późnego rana, gdy dotarli do długiego, prostego odcinka drogi, ciągnącego się jakieś trzysta metrów aż do ostrego zakrętu. Kiedy go minęli, zwiadowca wychylił się i obejrzał za siebie. Nikogo nie zobaczył. Pozwolił Zderzakowi ciągnąć wóz jeszcze dwadzieścia metrów, a potem cmoknął, by zatrzymać konia.

– Coś widziałeś? – zapytała Maddie.

– Jeszcze nie. – Will zeskoczył lekko na ziemię i przebiegł na tył wozu. Maddie usłyszała głucho stuknięcie, kiedy otwierał skrytkę. Po jakiejś minucie wrócił do niej z przewieszonym przez lewe ramię łukiem z nałożoną cięciwą oraz przypiętym do pasa kołczanem ze strzałami. – Podjedź jeszcze ze dwadzieścia metrów. Potem zatrzymaj się i wyjmij swój łuk. Ja cofnę się między drzewami, żeby sprawdzić, czy ktoś za nami jedzie. Nie rób hałasu. Jeśli się zbliża, nie chciałbym, żeby cię usłyszał.

Maddie skinęła głową i sięgnęła po lejce zarzucone luźno na drążek hamulca. Cmoknęła na Zderzaka, a mały konik ruszył przed siebie. Ujechali dwadzieścia metrów, po czym zwiadowczyni zatrzymała wóz i obróciła go tak, żeby stał w poprzek drogi. Miała teraz widok na cały odcinek do zakrętu.

Will zdążył już zniknąć.



Will przemykał się cicho pomiędzy gęstymi drzewami i liśćmi, minął zakręt, przez który dopiero co przejeżdżali i kierował się z powrotem na długi, prosty odcinek. Piętnaście metrów za zakrętem zatrzymał się za wysokim, grubym wiązem. Kiedy oparł się o szorstki, pobrużdżony pień, jego stonowany strój całkowicie wtapiał się w tło. Ściągnął łuk z ramienia i wyrztał na drogę. Znajdował się blisko ściany lasu i widział spory kawałek drogi, którą jechali. Na razie nic nie świadczyło o tym, że ktoś ich śledzi.

Zwiadowca przykląkł na jedno kolano za drzewem i zaczął nasłuchiwać, odwracając powoli głowę na boki i wytyżając uszy, by pochwycić najcichsze dźwięki podpowiadające, że zbliża się jeździec. Po kilku minutach usłyszał odległe brzęczenie uprzęży, a potem miękkie stąpanie końskich kopyt na ubitym gościńcu.

– No, jesteś – mruknął cicho do siebie.

Stukot kopyt rozlegał się teraz bliżej i stał się wyraźniejszy. Will czekał, nadal zasłonięty przez pień drzewa. Uderzenia jego serca stały się szybsze, czuł też ściskanie w brzuchu. Zmuszał się, żeby oddychać równo i głęboko, choć ryzyko, że zbliżający się jeździec go usłyszy, było bardzo niewielkie.

Pozostawał bez ruchu – tylko jego oczy się przesuwały, gdy zauważył niewyraźny kształt mijający miejsce, w którym kulił się w ukryciu. Ta niewygodna pozycja nie pozwalała zobaczyć zbyt wielu szczegółów, ale wydawało mu się, że na drodze przesunęło się coś niebieskiego. W końcu jeździec minął go i znalazł się prawie na zakręcie. Will bezgłośnie podniósł się i wyszedł spomiędzy drzew na gościniec, nakładając jednocześnie strzałę na cięciwę.

Usłyszał krótki okrzyk zaskoczenia, kiedy jeździec minął zakręt i zobaczył wóz stojący w poprzek drogi w odległości zaledwie czterdziestu metrów.

Rozległ się głośniejszy brzęk uprzęży, kiedy mężczyzna szarpnął wodze i zaczął zawracać konia, by uciec w stronę, z której przyjechał.

Wtedy zobaczył Willa.

Zwiadowca zatrzymał się na środku drogi z uniesionym i napiętym łukiem. Jego strzała bez żadnego drgnienia celowała w nieznanego.

– Zatrzymaj się – powiedział cicho. – I zsiadaj z konia.

Jeździec zawahał się i obejrzał na blokujący drogę wóz. Przez moment kusił go, żeby uciec tamtędy. Wtedy zauważył, że osoba na wozie zeskoczyła z kozła i także celowała w niego z łuku.

– Jeśli zaczniesz uciekać, obojętnie w którą stronę, jedno z nas do ciebie strzeli – ostrzegł go Will. – Zejdź z konia i puść go luzem.

Jeździec niechętnie zeskoczył na ziemię, ale przytrzymał wodze prawą dłonią. Will poruszył lekko strzałą.

– Puść konia luzem – powtórzył.

Mężczyzna rozłożył błagalnie ręce.

– Wtedy mi ucieknie – zaprotestował. Mówił we wspólnej mowie, podobnie jak Will, ale z doskonale słyszalnym mocnym galijskim akcentem.

– Właśnie o to chodzi – odparł Will.

– Ale... – zaczął mężczyzna.

Will ponagląco poruszył łukiem. Nieznajomy puścił wodze. Koń, wyczuwając napięcie pomiędzy mężczyznami, zatańczył niespokojnie i oddalił się o kilka kroków. Był nerwowym zwierzęciem, co odpowiadało zamiarowi Willa.

– Klepnij go teraz po zadzie – rozkazał. Przez moment wydawało się, że mężczyzna znowu zacznie się sprzeciwiać, ale powstrzymał go

zimny wyraz oczu Willa. Nieznajomy energicznie klepnął po zadzie konia, który zadarł gwałtownie łeb, kwiknął z zaskoczenia i pogalopował przed siebie. Will odsunął się na bok, kiedy zwierzę przebiegało koło niego i śmignął go po zadzie łukiem, zachęcając, żeby przyspieszył. Koń potrząsnął łbem, zarżał z oburzenia i nie zatrzymywał się, aż zniknął za odległym zakrętem.

– To powinno opóźnić cię o kilka godzin – stwierdził tonem pogawędki Will. – A teraz powiedz, kim jesteś i dlaczego nas śledzisz?

– Śledzę was? – zapytał mężczyzna z udawanym zaskoczeniem.

– Nie bierz mnie za głupca. Jechałeś za nami wczoraj przez cały dzień. Byłeś wieczorem w tawernie podczas występu mojej córki. Teraz zaś jesteś tu znowu, nadal za nami. Dlaczego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Podróżuję tym gościńcem tak samo jak wy – oznajmił. – Nie śledziłem was.

– A jednak, mając tak ognistego wierzchowca, poruszałeś się w tym samym ślimaczym tempie co nasz wóz, trzymając się poza zasięgiem naszego wzroku – zauważył Will. – Zapytam ponownie: kim jesteś i o co ci chodzi?

Ramiona mężczyzny opadły, kiedy zrozumiał, że jego wyjaśnienia na nic się nie zdadzą.

– Nazywam się Egon z Tourles – powiedział z niezadowoleniem. – Otrzymałem rozkazy, by jechać waszym śladem i was obserwować.

– Czyj to był rozkaz?

Egon milczał przez kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Jego Wysokości księcia Louisa.

Lekko zaskoczony Will opuścił łuk i poluzował na wpół napiętą cięciwę.

– Księcia Louisa? – powtórzył. – Brata króla? Dlaczego on miałby kazać nas śledzić?

Egon niepewnie wzruszył ramionami.

– Chce wiedzieć, czy zamierzacie się wywiązać z umowy. Obawia się o bezpieczeństwo bratanka.

Will odetchnął głęboko. Spojrzał na Maddie, która podeszła bliżej i stała o kilka metrów od nich, żeby słyszeć tę rozmowę. Potrząsnął głową i znowu zwrócił się do Egona.

– Czy przyszło mu do głowy, że twoja obecność może nas zdradzić? – zapytał. – Że może zwrócić na nas uwagę Lassigny’ego?

Egon znowu wzruszył ramionami.

– Tylko gdybym został zauważony – odparł obronnym tonem.

Will w końcu stracił cierpliwość.

– My cię zauważyliśmy! – krzyknął. – Nie tak trudno cię zauważyć! Włóczysz się po wsiach w pięknym ubraniu, na pięknym koniu, przed nikim się nie ukrywając. Dlaczego uważasz, że ludzie Lassigny’ego będą mniej spostrzegawczy? Zdajesz sobie też sprawę, że gdyby zorientowali się, że nas śledzisz, to zwróciłoby na nas uwagę i przekreśliło szanse tej misji?

Egon z niezadowoleniem wysunął dolną wargę.

– Możliwe – przyznał.

– O, czyli się zgadzasz? Jakże to szlachetne z twojej strony! Ty wielki, hałaśliwy idioto! Wracaj do księcia Louisa i powiedz mu, że zostałeś rozpoznany. Powiedz też, że mogłeś zagrozić powodzeniu tej misji i życiu jego bratanka. Powiedz mu, że jeśli wyśle kogoś innego, kogokolwiek, żeby miał na nas oko, wpakuję w tę osobę strzałę. Podobnie jak w ciebie, jeśli jeszcze raz cię zobaczę. Potem przerwę misję i wrócę do Araluenu. A on będzie mógł się tłumaczyć z tego przed królem Philippe’em.

Egon nic nie powiedział. Stał z głową opuszczoną ze wstydu i strachu.

Will ponownie uniósł łuk.

– Rzuć miecz – polecił.

Egon cofnął się o pół kroku i odruchowo sięgnął do przypasanej broni. To był piękny miecz, z rękojeścią owiniętą złotym drutem, ozdobiony dużym rubinem na głowicy.

– Mój miecz?

Will wskazał strzałę.

– Rzuć go na ziemię. Tak samo jak sztylet.

Mężczyzna nosił podobnie zdobiony sztylet w pochwie po drugiej stronie pasa. Niechętnie, pod groźbą strzały, wyciągnął broń i upuścił ją na drogę.

– A teraz ruszaj – polecił Will.

Egon niepewnie wskazał miecz i sztylet leżące u jego stóp.

– Ale...

– Ruszaj! – krzyknął Will. – Wracaj do Chateau La Lumiere i powiedz swojemu księciu, że jesteś niekompetentnym idiotą.

Egon ze spuszczoną głową powlókł się z powrotem, potykając się w wysokich butach do jazdy konnej. Will patrzył za nim, a potem pochylił się, żeby podnieść miecz i sztylet. Spojrzał na nie tylko raz, po czym cisnął je najdalej, jak mógł pomiędzy drzewa na skraju drogi.

Obejrzał się i zauważył, że Maddie patrzy na niego z rozbawieniem. Potrząsnął głową.

– Co za rodzinka! – oznajmił z obrzydzeniem.





Nie zobaczyli już więcej Egona. Następnego dnia Will osiodłał wyrwija i cofnął się po ich śladach, żeby się upewnić, że nikt za nimi nie jedzie.

Zwiadowca z satysfakcją stwierdził, że nieudolny cień zniknął. Wrócił do wozu i ruszyli w dalszą drogę.

Gościniec, którym prowadziła najkrótsza trasa do Falaises, w dwóch miejscach przecinał szeroką, meandrującą rzekę. Dzięki temu biegł prosto na północ. Na zachodzie pasmo niskich, ale stromych i skalistych gór stanowiło przeszkodę dla podróżujących. Można było się przez nie przeprowić wąskim traktem, ale w ten sposób jechałoby się do Falaises bardzo okrężną drogą. Podróż gościńcem była znacznie krótsza i łatwiejsza, mimo że wymagała przekraczania rzeki, La Riviere Cygnes, w dwóch miejscach – raz przez bród, drugi raz mostem. Will wskazał bród na mapie, którą dostali od Philippe’a.

– Dotrzemy tam za kilka godzin – powiedział. – Szkoda, że nie ma mostu. Będziemy pewnie musieli zamoczyć nogi.

Maddie wychyliła się spod płóciennego daszku osłaniającego koziół i spojrzała w niebo. Na wschodzie widać było ciemne chmury, a mocny wiatr spychał je na zachód.

– Możemy zamoczyć nie tylko nogi – zauważyła. – To są chmury deszczowe.

Will również na nie spojrzał.

– Nic nam nie będzie – stwierdził. – Nie rozpuścimy się od odrobiny deszczu.

Jak się okazało, w chmurach było więcej niż odrobina deszczu.

Późnym popołudniem zjechali z drogi, nadal spory kawałek od brodu. Will miał nadzieję przekroczyć rzekę przed zmierzchem, ale skala mapy okazała się niedokładna, więc odległość do brodu była najwyraźniej większa od zaznaczonej.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – powiedział do siebie.

Przez parę minut zastanawiał się, czy nie jechać dalej, ale nie chciał ryzykować przekraczania nieznanego brodu po ciemku. Rozbili obóz. Tym razem wypadła kolej Maddie na przygotowanie kolacji, więc rozpałała szybko ogień, po czym nadziała na patyki cztery tłuste gołębie, żeby upiekły się nad płomieniami. Kiedy ogień przygasł, zostawiając rozżarzone węgle, przysunęła ptaki bliżej. Tłuszcz kapał z mięsa i z sykiem wypełniał powietrze apetycznym aromatem. Maddie ustawiła na żarze garnek z osoloną wodą i pokrojonymi ziemniakami, a potem pokroiła trochę sałaty, którą przed wyjazdem dostali w zamkowej kuchni. Z dodatkiem sosu z oliwy i soku cytrynowego można było przyrządzić świeżą sałatkę.

Will z uśmiechem obserwował jej działania.

– Dobrze cię wyszkoliłem – stwierdził. Zwiadowcy szcycili się tym, że potrafią ugotować na ognisku pożywny i smaczny posiłek, zaś Will i Halt byli jednymi z najlepszych kucharzy polowych w Korpusie. Maddie wiedziała o tym, więc tym bardziej ucieszyła ją pochwała Willa.

Drzewa wokół ich niewielkiego obozu kołysały się coraz mocniej, w miarę jak wiatr się wzmaczał. Wydawały się niemal żywe, gdy w zgodnym rytmie przechylały się majestatycznie na boki. Ponieważ rosły gęsto, ich gałęzie i pnie skrzypiały, ocierając się o siebie. Maddie popatrzyła w górę, na kłębiące się chmury, które szybko przysłaniały gwiazdy.

– Niedługo zacznie padać – oznajmiła.

Will także przyjrzał się niebu. Wiatr wzmaczał się z każdą chwilą, a zwiadowca wyczuwał w nim zapach deszczu. Podniósł się z wygodnego miejsca przy ognisku.

– Włóżę Wyrwijowi i Zderzakowi derki przeciwdeszczowe – powiedział.

Derki przeciwdeszczowe były zrobione z wodoodpornego brezentu podbitego wełnianą tkaniną. Nałożone na końskie grzbiety, dawały

ciepło i nieco chroniły przed złą pogodą. Oczywiście końska sierść także spełniała podobną funkcję, ale nie było sensu zmuszać wierzchowców do znoszenia niewygód, jeśli można było tego uniknąć.

Konie, dzięki swoim wyczulonym zmysłom, także wyczuwały zbliżający się deszcz, więc chętnie pozwoliły nałożyć sobie derki. Nawet Zderzak, który często zamieniał tego rodzaju rzeczy w zabawę, zrobił tylko dwa lub trzy uniki, a potem stanął ze zwieszonym łbem, godząc się, aby Will przełożył mu derkę przez głowę.

Zjedli w pośpiechu. Kiedy Will gotował wodę w rondlu, żeby pozmywać, zaczęły spadać pierwsze ciężkie krople. Potem niebo przeszyła błyskawica i rozległ się niski werbel grzmotu.

Sekundę później na obozowisko spadła ulewa, której towarzyszyło uderzenie gwałtownego wiatru.

– Zostawimy to do rana – zdecydował Will, wrzucając talerze i sztuce do wrzątku i zostawiając rondel na ognisku. Wiedział, że płomienie zgasną za kilka minut. Maddie szybko spakowała utensylia do gotowania, zabrała dzbanek, do połowy wypełniony świeżą kawą, oraz kubki i wspięła się na wóz, w którego dach bębnił deszcz. Will przeprowadził oba konie na zawietrzną stronę wozu, by osłonić je przed najgorszym deszczem i wiatrem. Przytuliły się do siebie, pochrapując i parszając. Potem zwiadowca także się schował.

Zazwyczaj kiedy obozowali po drodze, rozkładał swoje poślanie na trawie pod wozem. Dzisiaj na ziemi zgromadziło się już kilka centymetrów wody.

Rozległ się kolejny ogłuszający trzask i błyskawica rozjaśniła niebo wokół nich. Will rozsiadł się wygodniej. Było ciasno, ale do wytrzymania. Z przyjemnością napił się kawy, którą podała mu Maddie. Przez te kilka minut potrzebnych do oporządzenia koni zdążył przemoknąć, więc gorący napój był wyjątkowo mile widziany.

Burza szalała z niespotykaną gwałtownością. Wóz drżał od walących co chwila grzmotów i kołysał się, kiedy uderzały w niego fale wiatru i ulewy – wichura sprawiała, że deszcz padał prawie poziomo, tworząc wodne płachty. Błyskawice były intensywnie oślepiające, a każdy ich nierówny zygzak na niebie oświeślał wnętrze wozu. Płócienny dach stawał się niemal biały, zaś na jego tle ostrą

czernią odcinały się belki konstrukcji. Ten blask pozostawiał powidoki na kilka sekund po zgaśnięciu błyskawicy.

Maddie poczuła, że Zderzak szturcha pyskiem płótno koło niej. Przecisnęła dłoń przez szczelinę pomiędzy płótnem a drewnianym bokiem wozu i pogłaskała czubkami palców aksamitny koński nos.

– Nie ma się czego bać, mały. To tylko kilka grzmotów i błyskawic – uspokajała go cicho.

– On się boi burzy? – zapytał Will.

Maddie potrząsnęła głową.

– Nie boi, ale nie lubi nagłych hałasów i błysków. Wszystko jest w porządku, jeśli wie, że jestem gdzieś blisko.

Rękaw jej przemókł w lodowatym deszczu, więc cofnęła rękę, schowała ją pod ciepły, miękki koc i podciągnęła go pod brodę. Lubiła spać w czasie deszczu, nawet jeśli była to tak gwałtowna burza. Pod wełnianym kocem było ciepło, a grzmoty i błyskawice tylko przypominały, że jest się w suchym i bezpiecznym wozie.

W pewnym momencie jednak strużka wody przedostała się przez szew w płóciennej budzie, skapnęła do ucha Maddie i czar prysł.

Burza stopniowo zaczęła ich mijać, zmierzając ku górom na zachodzie. Ulewa nie ustawała, podobnie jak wiatr, jeszcze przez kilka godzin. Około czwartej nad ranem zmieniła się w łagodniejszy deszcz. Godzinę przed świtem coś obudziło Maddie. Leżała przez kilka sekund pod ciepłym kocem i zastanawiała się, o co może chodzić. Potem zrozumiała: deszcz ustał.

Wraz ze wschodem słońca rozpoczął się piękny, pogodny i całkowicie bezwietrzny dzień.





Will obudził się zeszywniały i ze skurczami mięśni. Wóz był nieduży, a ponieważ w środku znajdowała się tarcza Maddie i inne ich rzeczy, do spania pozostało niewiele miejsca. Maddie oczywiście mogła się wyciągnąć wygodnie na swoim zwykłym pościeliu, ale Will leżał wciśnięty pomiędzy tarczę do rzucania a ścianę wozu. Kiedy się obudził, bolały go plecy, a szyję miał całkowicie sztywną.

Przeciągnął się i jęknął. Wiedział, że sztywność karku będzie odczuwać jeszcze przez kilka godzin. Nic się jednak nie dało na to poradzić. Gdyby nie spał na wozie, byłby przemoczony. Odwiązał klapę z tyłu, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Po błękitnym niebie powoli przesuwwały się pojedyncze obłoczki – całkowicie różne od gwałtownych zjawisk pogodowych poprzedniego wieczoru.

– Myślałby kto, że zawsze tu tak ślicznie – powiedział do siebie.

Przełożył nogi przez tylną klapę wozu i zeskoczył lekko na ziemię – prosto w czekającą tam kałużę. Zmoczył nogi do połowy łydki. Zaklął cicho. W wozie Maddie domyśliła się, co się stało, i roześmiała się.

– Uprzedzałeś, że możemy zamoczyć nogi – powiedziała, cytując jego przepowiednię dotyczącą przeprawy przez bród. Jej słowa przypomniały Willowi o tym, co ich dzisiaj czeka. Zmarszczył brwi z niepokojem i popatrzył w górę, a potem na drogę i odsłoniętą przestrzeń na jej poboczach. Wszędzie widać było ogromne kałuże wody gromadzącej się we wgłębieniach na gościńcu i miękkiej ziemi po bokach. Poprzedniego wieczoru spadło tyle deszczu, że jeszcze nie wszystko zdążyło spłynąć.

– Możemy mieć problem – powiedział. Przeszedł na drugą stronę wozu, gdzie nadal stały Wyrwij i Zderzak. Konie znalazły niewielki pagórek, na którym nie mogła się zebrać deszczówka. Na widok Willa zarżały pogodnie, a on odpiął brezentowe derki i powiesił je na hołoblach wozu, żeby wyschły. Konie przeszły kilka kroków w poszukiwaniu świeżej trawy do poskubania i pochyliły szyje, żeby napić się z głębszej kałuży.

Will wrócił na tył wozu, szukając jakiejś suchej trasy do środka. Nie znalazł jej, więc zrezygnowany, wrzucił ramionami. I tak miał już mokre stopy i nogawki. Wszedł do kałuży i odsunął płócienną klapę. Po lewej stronie wozu leżały siodła i uprząż. Zabrał swoje siodło, derkę i ogłowie, po czym się wycofał. Obserwująca go Maddie zdecydowała się w końcu opuścić ciepłe miejsce pod kocem i przeszła na tył wozu.

– Wybierasz się dokądś? – zapytała, kiedy Will przeskoczył na suchszy kawałek ziemi i zagwizdał na Wyrwija, żeby do niego dołączył.

– Chcę rzucić okiem na bród – wyjaśnił, siodłając szybko konia. – Po tej nocnej ulewie może go już nie być.

Maddie zmarszczyła brwi. To jej nie przyszło do głowy.

– Co zrobimy, jeśli rzeka będzie zbyt wezbrana?

Will ruchem głowy wskazał wznoszące się na zachodzie góry.

– Zgodnie z mapą jest trakt prowadzący przez góry. To bardzo okrężna droga, ale niewykluczone, że będzie trzeba nią jechać.

Wskoczył na siodło i obrócił Wyrwija pyskiem do gościńca. Maddie patrzyła, jak oddala się galopem, rozbryzgując kałuże na drodze. Zawołał jeszcze do niej przez ramię:

– Przez ten czas możesz przygotować śniadanie.

Will jechał równym galopem, więc – niespowalniany przez wóz – po kwadransie znalazł się nad rzeką. Zatrzymał Wyrwija na wysokim brzegu, schodzącym prawie pionowo do wody w miejscu, gdzie powinien być bród.

– Niech to szlag – powiedział cicho do siebie.

Wyrwij zastrzygł uszami na dźwięk jego głosu.

Mówisz do mnie?

Will westchnął.

– Nie, jestem tylko poirytowany. Powinniśmy byli przeprowić się tędy wczoraj wieczorem.

Wyciągnął spod kurtki mapę i rozłożył ją, żeby przestudiować adnotacje zapisane przy brodzie. Wynikało z nich, że rzeka ma w tym miejscu pięćdziesiąt metrów szerokości i metr głębokości – wóz i dwa konie mogłyby ją pokonać bez trudu. Przed sobą miał teraz jednak coś zupełnie innego. Bród po prostu zniknął pod wezbraną wodą wypełniającą koryto rzeki.

Przeprawa miała teraz co najmniej sto pięćdziesiąt metrów szerokości. Przy brzegu mogła rzeczywiście być głęboka na metr, ale dalej dno szybko opadało, stając się całkowicie niewidoczne pod brązową, wezbraną wodą.

Will cmoknięciem skierował Wyrwija na sam brzeg i kazał mu wejść do wody. Od razu wyczuł, że wytrzymały konik musi rozstawić szerzej nogi i zaprzeć się dobrze, żeby stawić opór silnemu nurtowi. Zwiadowca spojrzał na wodę sięgającą prawie do brzucha Wyrwija i zobaczył falki spiętrzające się przy końskich nogach, na które napierał prąd. Wyrwij parsknął, kiedy Will kazał mu iść dalej. Stąpał ostrożnie, stawiając starannie kopyta na nierównym dnie, pociętym przez szybko płynącą wodę seria grzbietów i rozpadlin. Kilka kroków dalej woda sięgała mu prawie do łopatek, czyli znacznie powyżej zaznaczonego na mapie jednego metra. Z każdym krokiem stawała się też głębsza.

Przeciwny brzeg nadal był odległy o co najmniej sto czterdzieści metrów.

– Nie poradzimy tu sobie – stwierdził z goryczą Will.

Ja bym sobie poradził. Nawet gdybym musiał płynąć. Zderzak także.

– Ale nie z wozem – odparł Will. – A nie możemy go zostawić.

Wyrwij zastrzygł uszami i potrząsnął grzywą. O tym nie pomyślał.

Will, uważając na gwałtowny nurt spychający konia, ostrożnie zawrócił go i wyjechał z rzeki. Na brzegu Wyrwij zatrzymał się i otrząsnął, wysyłając w powietrze fontanny srebrnych kropli. Zwiadowca odwrócił się w siodle, żeby spojrzeć jeszcze na rzekę. Oczywiście za dzień lub dwa woda opadnie i bród znowu stanie się przejezdny. Pozostawało jednak pytanie o znajdujący się dalej most. Nie dało się wykluczyć, że tak gwałtownie wezbrana woda mogła go zerwać, a tego już nie dałoby się naprawić w jeden czy dwa dni.

– Będziemy musieli pojechać przez góry – stwierdził Will i szturchnął Wyrwija, by wracał do obozu. Wiedział, że droga przez góry będzie znacznie dłuższa, więc korciło go, by puścić konia cwałem. Oparł się jednak tej pokusie. Zaoszczędziłoby mu to najwyżej pięć do dziesięciu minut.

Zaś Wyrwij będzie potrzebować sił, żeby pokonać górską trasę.



Trakt przez góry okazał się koszmarem. Nawet przy dobrej pogodzie byłby trudno przejezdny, zaś po gwałtownej ulewie stroma, wijąca się pod górę droga była pokryta śliskim błotem.

Will i Maddie zsiadli z wozu i na zmianę prowadzili konie, które wspinały się z trudem, ciągnąc za sobą wóz. Zazwyczaj zmieniali konie co godzinę, teraz robili to co pół. Will uważnie obserwował dzielne małe koniki prące niezmordowanie w górę po grząskim, nierównym błocie.

Po każdej półgodzinnej zmianie chwalił i klepał wyprzęganego konia. Był zdania, że to niezwykle zwierzęta, gotowe dać z siebie wszystko swoim właścicielom, nigdy się nie wahają i nie odmawiają wykonania żadnego zadania. Opuszczały po prostu kosmate łby, zapierały się i napinały uprząż, ciągnąc wóz pod górę krętą i stromą drogą.

Miejscami trakt stawał się tak stromy i śliski, że Will i Maddie musieli trochę pomagać, zapierając się barkami o tylne koła lub klapę wozu i popychając, podczas gdy aktualnie zaprzęgnięty koń ciągnął z przodu. Raz, kiedy wypadła kolej Zderzaka, musieli zaprząć także Wyrwija, żeby trochę mu pomógł. Konie zwiadowców były tak wyszkolone i oddane, że Wyrwij nie potrzebował poganiania ani zachęty. Wyczuwał, co trzeba zrobić, i wykorzystywał wszystkie siły do wykonania zadania.

W końcu, po godzinach ciągnięcia i popychania, pokryci błotem i zadyszani, dotarli na przełęcz.

Teren wokół nich wyrównał się, zaś po drugiej stronie opadał łagodniej. Droga prowadziła przez szeroką przełęcz, skręcając na północ, a potem na północny wschód, i łagodnie schodząc na nizinę.

W oddali widzieli meandrującą rzekę, a w pewnym momencie Maddie pociągnęła Willa za rękaw i wskazała coś palcem.

Kiedy spojrział w tę stronę, zauważył strzaskany most.

– Nawet gdybyśmy przeprawili się przez bród, nie dalibyśmy rady tamtędy przejechać – powiedziała Maddie.

Will mruknął potwierdzająco. Jego obawy o to, że most został zerwany, okazały się słuszne. Była w tym pewna pociecha, chociaż górski trakt dodał wiele kilometrów do trasy, którą musieli przemierzyć.

W połowie drogi na dół zauważył dym wznoszący się z za kępy drzew. Spojrział znowu na mapę i wskazał go Maddie.

– Tam jest wieś o nazwie Entente – powiedział. – Z mapy wynika, że mają w niej gospodę. Możemy się tam zatrzymać, trochę odświeżyć i pozwolić koniom odpocząć.

– Chyba dojdziemy w tej sprawie do porozumienia – powiedziała Maddie. Will popatrzył na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy właśnie pozwoliła sobie na żart słowny. Odpowiedziała spojrzeniem pełnym takiej niewinności, że musiało tak być.

Zmordowani i ubłoceni od stóp do głów wjechali do wsi, składającej się z jakichś dwudziestu domów. W większości były to zabudowania mieszkalne, ale znalazły się także, jak zwykle, młyn, garbarnia i kuźnia.

Była także gospoda, największy budynek w okolicy, ulokowany na samym końcu wsi względem strony, z której przyjechali Will i Maddie. Był to jedyny piętrowy budynek, zaś przed głównym wejściem jak zawsze ustawiono stoły i ławy pod płóciennym dachem, żeby goście mogli tam odpoczywać i posilać się przy ładnej pogodzie.

Will pomyślał, że ostatnio pogoda nie była szczególnie ładna. Widział liczne głębokie kałuże na drodze i w wydeptanym drobnym żwirze, którym był wysypany placyk przed gospodą. Zatrzymał ich charakterystyczny wóz przed budynkiem. Po najwyższej sekundzie drzwi otworzyły się i ze środka wyłonił się mężczyzna, wycierający dłonie w długi fartuch obwiązany wokół pasa, znak rozpoznawczy karczmarzy.

– Dzień dobry – powiedział pogodnie. – Zawsze miło zobaczyć przejeżdżających rybaków. Czy planujecie zabawić nas dziś

wieczorem?

Will się skrzywił. Był zmęczony, ubłocony i nie miał ochoty na występ po ciężkim dniu spędzonym w drodze.

– Planowałem raczej kąpiel i miękkie łóżko – powiedział. – Mieliśmy ciężki dzień.

Karczmarz pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Przyjechaliście przez góry? – zapytał.

– Owszem, tak zrobiliśmy. Bród na rzece Cygnes jest nieprzejezdny. Zmyło także most.

– To zapewne przez tę wczorajszą burzę. – Karczmarz pokiwał głową. Zastanawiał się przez chwilę, po czym odezwał się tonem pełnym nalegania: – Jeśli jednak zgodzicie się dać dzisiaj wieczorem pokaz dla gości, nie będziecie musieli płacić za tę gorącą kąpiel i miękkie łóżka.

Will przez chwilę zastanawiał się nad propozycją. Nadal miał zesztywniałą szyję po noclegu w ciasnym wnętrzu wozu. Pokusa wyciągnięcia się na prawdziwym łóżku i luksusowej gorącej kąpeli była zbyt silna, by się jej oprzeć.

– Prawie mnie już namówiłeś – przyznał. – Czy w tej ofercie znajdzie się także dzbanek dobrej kawy?

Karczmarz się uśmiechnął.

– Oczywiście. Możecie tam zostawić swój wóz. Dzięki temu ludzie zauważą, że przyjechaliście – powiedział, wskazując boczną drogę. – Za gospodą jest stajnia, zaprowadźcie tam konie. Każę zaraz jednej z dziewczyn zagrzać wodę na kąpiel. Łaźnia także jest na tyłach.

Will ciężko zsiadł z wozu i zaczął wyprzęgać Zderzaka, który ciągnął wóz jako ostatni.

– Ja kąpię się pierwszy – powiedział do Maddie.

– Tego się spodziewałam – odparła z uśmiechem.





Bardzo gorąca kąpiel, a potem trzydzieści minut prawdziwego snu w porządnym łóżku sprawiły, że Will poczuł się jak nowo narodzony. Zesztywniały kark stał się zaledwie wspomnieniem, kiedy zwiadowca prał swoje zabłocone ubranie, przekręcił je przez magiel, a potem rozwiesił na sznurkach koło stajni, żeby wyschło.

Razem z Maddie zjedli wcześniejszą kolację – aromatyczną potrawkę ze świeżym, chrupiącym chlebem, popijaną kawą, którą zgodnie ze swoim zwyczajem osłodzili miodem. Karczmarz przyglądał się im z zaciekawieniem, kiedy mieszały napój, by rozpuścić w nim miód.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedyś coś takiego widział – stwierdził.

Will wskazał dzbanek kawy i słoje miodu.

– Proszę spróbować – zachęcił, a karczmarz dał się namówić. Jego twarz rozjaśniła się pełnym zadowolenia uśmiechem, kiedy spróbował aromatycznego, słodkiego naparu. Szybko wypił jeszcze łyk.

– Wyborne! – oznajmił. – Od tej pory będę to polecać wszystkim gościom.

– A także, jak się domyślam, sprzedawać im miód – powiedział Will.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Oczywiście. Czyżbyś pracował kiedyś w jakiejś tawernie?

Will potrząsnął głową.

– Nie, ale wiele z nich odwiedziłem. Nie widziałem jeszcze karczmarza, który nie wiedziałby, jak wyciągnąć z gości kilka dodatkowych monet.

Powiedział to żartobliwym tonem, więc karczmarz nie poczuł się obrażony. Potraktował to raczej jako swoisty komplement. Wyciągnął rękę do Willa.

– Właśnie, nazywam się Michel du Mont.

Goście, zainteresowani wozem stojącym przed tawerną, zaczęli się gromadzić i siadać przy stołach. Zamawiali jedzenie i picie, a dwie dziewczyny uwijały się pomiędzy stołami, kuchnią i piwniczką z winem. Michel z uśmiechem przyglądał się tej scenie.

– Duży ruch jak na początek tygodnia – stwierdził. Zatrzymał Giselle, ładniejszą z dwóch dziewczyn, która przechodziła pospiesznie obok, niosąc dzban kawy na jeden ze stołów. – Nie zapomnij podać im także miodu – powiedział. Poinformował już dziewczęta o nowince, którą poznał od Willa i Maddie.

Will zaczekał, aż większość gości skończy jeść, a potem wyciągnął z futerału mandolę i nastroił ją. Wśród zebranych rozległy się wyczekujące szmery, a Will udawał, że nie zauważa, że wszyscy na niego patrzą. Kiedy skończył strojenie, zaczął chować mandolę. Od jednego ze stołów rozległ się cichy okrzyk protestu, więc zwiadowca odwrócił się, udając zaskoczonego na widok obserwującego go tłumu.

– Och! – uśmiechnął się. – Czyżbyście chcieli usłyszeć piosenkę?

Rozległ się chór potwierdzeń, a kilka osób zaklaskało. Will przewiesił mandolę przez ramię i zagrał energiczną i pogodną *Słoneczną pannę*. Była to jedna z jego ulubionych melodii, ludowa piosenka o rudowłosej dziewczynie ze słońcem we włosach i radością w oczach. Widownia na ogół nie mogła się oprzeć przed dołączeniem do niego i nie inaczej było tym razem. Sala rozbrzmiewała entuzjastycznymi, choć czasem fałszującymi głosami śpiewającymi razem z nim, a kilka tuzinów par dłoni klaskało do rytmu.

W położonych na uboczu, sennych wioskach takich jak ta, dobremu rybałtowi – a Will zdecydowanie był dobry – zazwyczaj z łatwością przychodziło zaangażowanie i rozruszanie widowni. Życie miejscowych składało się z powtarzalnej sekwencji pracy, jedzenia, snu i znowu pracy. Praca była ciężka, a oni mieli niewiele

rozrywek, kiedy mijały dni i miesiące, a pory roku zmieniały się w przewidywalny i nieunikniony sposób.

Poza tym Will i Maddie mieli dodatkowy urok jako cudzoziemcy, zaś Will okraślił swój występ opowieściami o przygodach i perypetiach, jakie przeżywali w egzotycznych miejscach. Żadna z nich nie była prawdziwa, ale wszystkie niezwykle interesujące.

Kiedy Will kończył występ, Maddie przeszła pomiędzy stołami ze sporym woreczkiem, który przytrzymywała, słuchając dzwonienia wpadających do środka monet. Po kilku minutach zrobił się przyjemnie ciężki. Kiedy miała pewność, że nikogo nie ominęła, pobiegła na zewnątrz i schowała monety w skrzynce z tyłu wozu, zamykanej na ciężką kłódkę. Z niejaką satysfakcją stwierdziła, że w środku było teraz naprawdę dużo monet.

Wewnątrz tawerny Will zapowiadał już występ Maddie, tytułując ją tego wieczoru „Mistrzynią lśniących groźnie ostrzy”. Zastanawiała się mimowolnie, kiedy skończą mu się hiperbole, którymi mógłby ją prezentować publiczności. Dwóch stajennych wyciągnęło tarczę z wozu i ustawiło ją, a goście przez ten czas zaczęli wychodzić z tawerny i zajmować miejsca przy stołach na placyku. Maddie przyniosła noże i zaczęła popis.

Poszedł naprawdę bardzo, bardzo dobrze. Ku swojemu zaskoczeniu i radości przekonała w końcu kogoś, by dał się przypiąć do tarczy – koła tysiąca śmierci, jak nazywał je tego wieczoru Will.

Śmiałością był miejscowy kowal, przystojny młodzieniec o imieniu Simon, który wzdychał do Giselle, jednej z kelnerek, i chciał koniecznie oczarować ją swoją odwagą i śmiałością.

Ta śmiałość trochę zmalęła, kiedy koło zaczęło się obracać, a on zobaczył, że Maddie szykuje się do rzucenia pierwszego noża.

Kiedy ostrze wbiło się w drewno koła jego głowy, kowal wydał zduszony pisk.

Był to tak nieoczekiwany dźwięk w przypadku wielkiego, muskularnego mężczyzny, że publiczność ryknęła śmiechem, który stał się jeszcze bardziej zaraźliwy, kiedy kolejne noże były witane podobnymi okrzykami przerażenia.

To był wspaniały finał występu. Maddie niemal żałowała, że nie może zaproponować Simonowi, by podróżował z nimi na stałe jako jej cel. Kiedy koło się zatrzymało, podbiegła do niego, żeby pomóc

Willowi odpiąć kowala. Pocałowała młodzieńca w policzek, kiedy stanął na ziemi na odrobinę niepewnych nogach. Rozejrzała się za Giselle i zobaczyła, że dziewczyna ostentacyjnie ignoruje młodego człowieka i z całej siły stara się udawać niezainteresowaną – co podpowiadało, że jest naprawdę pod dużym wrażeniem. Kiedy na Maddie posypał się deszcz monet rzuconych przez roześmianych gości, wzięła Simona za rękę i podniosła ją wysoko do góry.

– Panie i panowie, okażcie także hojność temu odważnemu młodzieńcowi! Zbierzmy trochę monet dla Simona!

Kiedy jednak monety zaczęły się znowu sypać, przerwał im głos na tyłach tłumu.

– I zbierzmy trochę monet dla Czarnych Sępów!

Zapadła złowieszcza cisza. Mężczyzna podszedł bliżej i stanął w kręgu światła. Był przeciętnego wzrostu i budowy, z długimi czarnymi włosami spiętymi w ogon z tyłu. Miał gęstą brodę i haczykowaty nos, nad którym lśniły ciemne, blisko osadzone oczy. Czoło przecinała pozioma blizna. Był ubrany w obszarpaną czarną kurtkę i spodnie, a także krótką czarną pelerynę sięgającą mu do pasa.

Zgiętą ręką podtrzymywał napiętą kuszę.

Ciszę w tłumie zaczęły przerywać pomruki świadczące o tym, że został rozpoznany. Kiedy mężczyzna wychodził na środek, Will zauważył ruch w kilku miejscach na obrzeżach widowni. Jeszcze siedmiu mężczyzn, ubranych podobnie i uzbrojonych w rozmaite maczugi, topory i miecze, wyłoniło się z cieni, skąd obserwowali występ.

Przywódca skinął na Simona, który nadal chwiał się niepewnie. Nie odzyskał jeszcze równowagi po przejeździe na obracającym się kole.

– Ty tam! Pozbieraj te monety i przynieś je do mnie!

Jednakże Simon, świadomy tego, że Giselle widzi tę scenę, wyprostował się tylko i warknął:

– Akurat! Możesz sobie...

Zanim zdążył dokończyć, herszt bandytów zrobił kilka kroków i zamachnął się kuszą, uderzając Simona jej łożyskiem w czoło. Kowal zachwiał się i z głuchym łoskotem upadł na żwir. Uderzył głową o ziemię, co go dodatkowo zamroczyło.

Maddie mimowolnie zrobiła unik. Wiedziała, że takie uderzenie mogłoby sprawić, że kusza wystrzeli i pośle złowieszczy bełt w przypadkową stronę. Kiedy się wyprostowała, ktoś przebiegł przez placyk. To była Giselle, która upadła na kolana przy Simonie i uniosła mu głowę, żeby go przytulić. Po twarzy kowala spływała krew z głębokiego rozcięcia nad okiem. Dziewczyna otarła ją ostrożnie fartuchem.

Ponieważ mimowolny ruch Maddie zwrócił na nią uwagę herszta bandytów, mężczyzna skinął teraz na nią.

– Ty tam! Dziewko! Przynieś mi te monety!

Maddie zawahała się, gotowa stawić mu opór. Krew się w niej gotowała, a okrutny i niespodziewany atak na kowala dodatkowo ją rozwścieczył. Jednakże Will dotknął jej ramienia i powiedział cicho:

– Lepiej zrób, co mówi. To nie jest właściwy czas.

Maddie odetchnęła głęboko, żeby opanować gniew, ponieważ wiedziała, że Will ma rację. Nie zabrali tutaj broni, a przeciwko sobie mieli ośmiu uzbrojonych bandytów, którzy wyraźnie byli gotowi zaatakować bez ostrzeżenia. Nie można było liczyć na pomoc wieśniaków, wyraźnie obawiających się ubranych na czarno przybyszów. Maddie nie winiła ich za to. To byli prości farmerzy, do tego także nieuzbrojeni i bez doświadczenia w walce.

Wyciągnęła spod kurtki sakwę i przeszła po placyku, zbierając rozsypane monety i wrzucając je do woreczka. Przeszła koło szlochającej Giselle. Simon zaczął odzyskiwać przytomność. Jęknął cicho i poruszył głową na boki.

Kolejne monety trafiły do sakwy, a Maddie przeszła do kolejnej kupki, znajdującej się trochę dalej od reszty. Poruszała się spokojnie, pochylając się, żeby zbierać monety, ale jednocześnie zbliżała się do tarczy, w której miękkim drewnie tkwiło pięć noży. Starannie unikała patrzenia na koło, ale przesuwiała się coraz bliżej niego.

– Ani kroku dalej – ostry głos zatrzymał ją w pół kroku. Od koła dzieliły ją zaledwie dwa metry, ale kiedy Maddie podniosła głowę, zobaczyła, że przywódca bandy celuje w nią z kuszy trzymanej na wysokości talii. – Odsuń się od tego – rozkazał, ruchem kuszy podkreślając swoje słowa. Maddie niechętnie cofnęła się od tarczy i stanęła na ugiętych nogach. – A teraz przejdź między stołami i zbierz więcej datków – polecił z szyderczym uśmiechem. Zwrócił

się do ludzi, do których podeszła Maddie. – Radzę wam, panie i panowie, żebyście się okazali hojni.

Karczmarz Michel wystąpił do przodu, żeby błagać o litość w imieniu swoich gości.

– Proszę, Vincencie. To nie są bogaci ludzie, tylko biedni wieśniacy, którzy dali już, co mogli. – Wskazał ziemię, skąd Maddie zbierała monety rzucone przez widownię.

– Vincencie? – powtórzył bandyta. – Czyli wiesz, jak mam na imię?

Michel wzruszył ramionami i opuścił wzrok.

– Wszyscy znają przywódcę Czarnych Sępów – powiedział z nadzieją, że te pochlebstwa mogą ułagodzić bandytę i przekonać go do okazania odrobiny litości. Ale ten podstęp, wyjątkowo przejrzysty, nie powiódł się. Oczy bandyty zaśniły gniewem.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że masz się do mnie zwracać „monsieur Vincent” – warknął. Skinął ostro głową na Maddie, która zatrzymała się, kiedy Michel zainterweniował w obronie wieśniaków. – No dalej! – rozkazał, więc wyciągnęła sakwę do ludzi przy najbliższym stole i poczuła, jak monety wpadają do środka.

Kiedy przechodziła pomiędzy stolikami, Vincent raz jeszcze ostrzegł:

– Oddawajcie wszystko, co macie. Kiedy dziewczyna skończy, przeszukamy kilku z was i jeśli coś znajdziemy, to gorzko pożałujecie.

W końcu Maddie zebrała wszystkie pieniądze od wieśniaków. Sakwa stała się teraz naprawdę ciężka. Przyniosła ją Vincentowi i położyła na stole obok niego z przyjemnym brzęknięciem. Bandyta skinął głową i wskazał wóz.

– Dawaj też tę skrzynkę z wozu – powiedział.

Maddie z niechęcią pomyślała, że musiał ich obserwować od jakiegoś czasu i widział, jak wcześniej zanosila pieniądze do skrzynki na wozie.

– Proszę, sir! – Will zrobił krok, ale zatrzymał się gwałtownie, gdy kusza wycelowała w jego brzuch. – Cały tydzień podróżowaliśmy, żeby zarobić te pieniądze!

Vincent uśmiechnął się okrutnie.

– W takim razie powinniście mieć ich tam sporo – stwierdził. Wskazał ruchem głowy wóz i rozkazał Maddie: – Przynieś to.

– Sir, błagam pana! – prosił Will. – To wszystko, co mamy! Proszę nam trochę zostawić! – Nawet kiedy mówił te słowa, pragnął tylko zetrzeć pyszałkowaty uśmiezek z twarzy bandyty. Wiedział jednak, że takie błagania bardziej pasują do wędrownego rybałta.

– Rzeczywiście, masz rację. Nie powinienem wszystkiego zabierać – oznajmił Vincent. Patrząc wprost na proszącego go rybałta, sięgnął do sakiewki na stole i na oślep wymacał najmniejszą monetę, którą rzucił Willowi pod stopy. – A teraz idź po skrzynkę – polecił Maddie.





To moja wina – powiedział karczmarz następnego dnia rano. – Powinienem wiedzieć, że znowu kręcą się w okolicy.

– Kim oni w ogóle są? – zapytał Will, zaprzęgając do wozu Wyrwija i szykując się do drogi.

– Nazywają się Czarnymi Sępami – powiedział Michel. – Od dwóch lat napadają na farmy i wsie w tej okolicy. Myślałem, że przenieśli się na południe. Inaczej ostrzegłbym was, żebyście lepiej ukryli pieniądze.

– Faktycznie przydałoby się ostrzeżenie – stwierdził Will, ale bez cienia pretensji w głosie. – Zabrał wszystkie pieniądze, na które ciężko pracowaliśmy. Przez jakiś czas trudno nam będzie związać koniec z końcem.

Michel uniósł ramiona.

– Pomógłbym wam, gdybym mógł – powiedział. – Ale mnie także obrabował do czysta.

Will rzucił mu szybkie spojrzenie. Wątpił w to ostatnie zdanie. Karczmarze byli mistrzami w ukrywaniu pieniędzy przed rabusiami. Ostatecznie gospody były łakomym celem napadów. Vincent i jego banda na pewno zabrali część pieniędzy Michela, ale Will nie wątpił, że karczmarz miał ich znacznie więcej – prawdopodobnie były zakopane w lesie lub pod kamieniami w łaźni. Tak czy inaczej Michel nie miał żadnego obowiązku pokrywać ich strat.

Will prychnął pogardliwie, przypominając sobie nazwę bandy.

– Czarne Sępy... – powiedział. – Dlaczego ci obszarpani bandyci zawsze wybierają sobie tak groźnie brzmiące nazwy? Czarne Sępy,

Niedźwiedziobójcy. Dlaczego nie nazwą się raczej Gruchającymi Turkawkami albo Kałużowymi Kaczkami?

Michel popatrzył na niego z ciekawością.

– Kim są Niedźwiedziobójcy? – zapytał.

Will wzruszył lekceważąco ramionami.

– Bandę opryszków, na których natknęliśmy się w Araluenie – wyjaśnił. Spojrzał na Maddie, która wyszła z gospody, niosąc ich bagaże.

– Zapakuj to na wóz i jedziemy – powiedział do niej.

Maddie skinęła głową i spojrzała na Michela.

– Jak się dzisiaj czuje Simon? – zapytała.

– Nadal boli go głowa – odparł Michel. Dodał zaraz z uśmiechem:

– Ale Giselle się nim opiekuje, więc pewnie uznał, że było warto.

– Podziękuj mu ode mnie za wczorajszą pomoc – poprosiła Maddie, a karczmarz skinął głową.

Will skończył zapinać uprząż na pękatych bokach Wyrwija, szarpnął parę razy za rzemienie, by sprawdzić, czy są dobrze napięte, a potem wsiadł na kozioł. Zderzak został przywiązany z tyłu wozu, oczywiście tylko dla niepoznaki. Jako koń zwiadowców szedłby zawsze za nimi nawet bez uwiązania.

– W takim razie jedziemy – powiedział Will, a Maddie wskoczyła na miejsce koło niego. – Dziękujemy za gościnność.

Michel rozłożył ręce bezradnym gestem niezadowolenia.

– Przykro mi, że tak to wyszło – powiedział.

– To nie twoja wina – odparł Will. Potem, jakby coś jeszcze mu przyszło do głowy, zapytał: – Wiesz może, gdzie ci bandyci mają kryjówkę? Nie chciałbym znowu się na nich natknąć.

Michel zawahał się, patrząc w obie strony na drogę biegnącą przez wieś.

– Sądząc z ich dotychczasowego zachowania, najpewniej rozbili obóz gdzieś w lesie, ale powinni być spory kawałek od gościńca. Jakies pół kilometra stąd dotrzecie do rozwidlenia dróg. Prawa odnoga wchodzi w głąb lasu i założę się, że gdzieś tam można by ich znaleźć. Ale tak jak mówisz, lepiej będzie ich unikać.

Will uniósł dłoń w geście podziękowania i cmoknął na Wyrwija. Mały konik napiął uprząż, a wóz potoczył się w tempie szybkiego marszu.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Dojechali do rozwidlenia, o którym mówił Michel, więc Will zatrzymał Wyrwija. Zarzucił lejce na drążek hamulca i zeskoczył na ziemię, po czym machnął na Maddie, by zrobiła to samo.

– Rozejrzyjmy się trochę – powiedział. Pochylił się, obserwując uważnie nawierzchnię drogi. Na błotnistej plamie pozostałej po niedawno wyschniętej kałuży odciskały się dwa doskonale widoczne ślady stóp. Miały wyraźne krawędzie, co oznaczało, że są stosunkowo świeże – nie zdążyły wykruszyć się i stracić kształtu.

Kilka metrów od niego Maddie także przyklękała na jedno kolano. Wpatrywała się w pas wilgotniejszej ziemi przecinający w poprzek leśny dukt.

– Tu są ślady – powiedziała. Jednym palcem przesunęła po odciskach w glinie. – Co najmniej pół tuzina mężczyzn. Założę się, że to nasze drogie Czarne Sępy.

– Tak właśnie myślałem. – Will wyprostował się i popatrzył wzdłuż wąskiego traktu, którym prowadziły ślady.

– Jak się domyślam, nie zamierzamy unikać Vincenta i jego pomagierów? – zapytała Maddie z leciutkim uśmiechem.

Will potrząsnął głową. Na jego twarzy nie było śladu rozbawienia, tylko ponura determinacja.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział. – Nie lubię być obrabowywany. I nie lubię bandytów, którzy napadają na bezbronnych wieśniaków.

Wziął Wyrwija za uzdę i doprowadził konika na niedużą polanę jakieś pięć metrów od drogi. Wyprzągnął go, a potem zdjął z wozu siodła i ogłowie. Maddie dołączyła do niego i szybko osiodłali oba konie. Wyrwij i Zderzak otrząsnęły się, zadowolone, że mogą odzyskać status wierzchowców. Ostatecznie ciągnięcie wozu stanowiło dla nich prawdziwą ujmę na honorze.

Maddie uśmiechnęła się do Zderzaka i czule pogłaskała go po miękkim nosie.

– Zadowolony? – zapytała, a on potrząsnął w odpowiedzi grzywą.

– My też musimy się przebrać – powiedział Will. Zamienili pstrokate stroje rybaków na stonowane ubrania zwiadowców w odcieniach szarości, brązu i zieleni. Broń znajdowała się w skrytce pod podłogą wozu. Nałożyli cięciwy na łuki i przypięli do pasa

kończony oraz podwójne pochwy z nożami. Maddie zawinęła także procę na rękojeści saksy. Wzięła nieduży, ale ciężki irchowy woreczek z kulkami i zaczepiła go na pasie po przeciwnej stronie niż dwa noże.

Na koniec zarzucili na ramiona cętkowane, zielono-szare peleryny i naciągnęli kaptury, które ocieniły ich twarze.

W niecałe pięć minut barwnie i ekscentrycznie ubrani rybałci przemienili się w dwójkę uzbrojonych po zęby, ponurych wojowników, wtapiających się w ciemne tło lasu.

– Rozumiem już, co czuje Zderzak – powiedziała Maddie z nutą zadowolenia w głosie. Pomyślała, że bycie rybałką stanowiło miłą odmianę, ale dobrze jest stać się znowu zwiadowczynią.



Ślady pozostawione przez Czarne Sępy były doskonale widoczne, szczególnie dla dwójki tak wytrawnych tropicieli. Droga miała nawierzchnię z miękkiej gliny i piachu, zaś niedawna ulewa pozostawiła mnóstwo kałuż. Bucioro ośmiu bandytów odciskały głębokie, łatwo dostrzegalne ślady, tym bardziej że mężczyźni szli najczęściej poboczem, gdzie gromadziło się więcej wody. Maddie zapytała o to, a Will udzielił jej wyjaśnienia.

– W ten sposób łatwiej byłoby im ukryć się w lesie, gdyby byli ścigani. Albo gdyby zobaczyli idącego z przeciwka wędrowca i postanowili zrobić zasadzkę.

W odróżnieniu od bandytów, dwójka zwiadowców jechała środkiem drogi, który był leciutko wzniesiony, a dzięki temu bardziej suchy, ponieważ deszczówka spływała z niego na boki. Dlatego też zostawiali ledwie widoczne ślady. To był zwyczaj, jaki wpoili im lata praktyki i doświadczenia. Zwiadowcy byli wysmienionymi tropicielami, więc pozostawiali niewiele śladów, które ktoś inny mógłby wytropić.

Z tego samego powodu nie jechali obok siebie. Szli śladem niebezpiecznych bandytów, więc podczas gdy Will jechał przodem i wypatrywał śladów pozostawionych przez Czarne Sępy, Maddie trzymała się jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów z tyłu, gotowa go osłaniać, gdyby ktoś zaatakował nagle zza drzew.

Jechali boczną drogą przez dwie godziny, aż Will ściągnął wodze i dał Maddie znak, by do niego dołączyła. Podjechała bliżej i zatrzymała się obok. Will wskazał ledwie widoczną ścieżkę znikającą pomiędzy drzewami. Większość ludzi prawdopodobnie nie zwróciłaby na nią uwagi, ale Will nie był jak większość ludzi. Zauważył, że nakładające się odciski butów nie pojawiają się już za tym miejscem.

– Tutaj zesli z drogi – powiedział przyciszonym głosem. – Myślę, że zbliżamy się do ich obozu.

Zsiadł z konia i wszedł kilka metrów pomiędzy drzewa wąską ścieżką. Zatrzymał się i wskazał na ziemię, gdzie w zagłębieniu utworzyła się niewielka kałuża. Na jej brzegu widać było wyraźny odcisk buta. Will machnął na Maddie, żeby podeszła bliżej.

– Zostawimy tu konie – powiedział. – Pójdziemy dalej pieszo. Miej oczy i uszy szeroko otwarte. Vincent jest zdecydowanie zbyt pewny siebie i założę się, że nie spodziewa się, by ktoś mógł go śledzić. Dlatego nie sądzę, by oddalili się bardzo od drogi, żeby rozbić obóz.

Maddie skinęła głową. Rozejrzała się po gęsto rosnących drzewach. Pomiedzy pniami nie było zbyt wiele miejsca, co utrudniało użycie procy, jej ulubionej broni. Zdjęła z ramienia łuk, wyjęła strzałę i nałożyła ją na cięciwę. Will zrobił to samo.

– Zmieniamy prowadzenie co pięć metrów – powiedział. – Ja idę pierwszy.

Maddie skinęła głową na znak, że rozumie. To był standardowy manewr zwiadowców, gdy musieli zbliżyć się gdzieś niepostrzeżenie. Will ruszył pierwszy, podczas gdy ona czekała z na wpół uniesionym łukiem, gotowa go naciągnąć, wycelować i wypuścić strzałę, gdyby pojawiło się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pięć metrów dalej Will zatrzymał się i uniósł w gotowości łuk, podczas gdy Maddie bezgłośnie minęła go, pokonała kolejne pięć metrów i znowu stanęła. Kiedy znieruchomiała, Will ruszył z miejsca, minął jej pozycję i wszedł jeszcze głębiej w las.

W ten sposób poruszali się wśród gęstych drzew, ledwie widoczni, kiedy szli i niemal całkowicie niewidoczni, kiedy się zatrzymywali, ponieważ ich peleryny wtapiały się w leśne cienie. Właśnie takim manewrom zwiadowcy zawdzięczali plotki, że potrafią stawać się

niewidzialni. Ćwiczyli je raz za razem, dopóki nie doprowadzili ich do perfekcji.

Kiedy Will wysunął się na prowadzenie po raz czwarty, zatrzymał się i popatrzył na Maddie. Mając pewność, że go dobrze widzi, postukał się palcem wskazującym po nosie i schował za drzewem.

Maddie pociągnęła ostrożnie nosem i wyczuła leciutką woń dymu. Gdzieś przed nimi palił się ogień, a w tak wilgotnym lesie nie mógł to być przypadek. Ktoś musiał celowo rozpalić ognisko.

Zbliżali się do obozowiska Sępów.





Will odchylił się i wyjrzał zza osłony wysokiego drzewa, żeby sprawdzić, z której strony pada słońce. Sądząc po kącie promieni prześwitujących przez gałęzie drzew, było wczesne popołudnie.

– Przyjrzymy się ich obozowi – powiedział cicho, pochylając głowę do Maddie. – Potem wrócimy tutaj i zaczekamy, aż się ściemni.

Było najbardziej prawdopodobne, że po udanym napadzie poprzedniego dnia bandyci spędzą dzisiejszy wieczór w obozie. W pobliżu nie było żadnych wiosek zaznaczonych na mapie, a gdyby planowali obrabować jedną z tych położonych wzdłuż gościńca, nie cofaliby się tak daleko bocznym traktem.

Will i Maddie ruszyli przed siebie, tak jak poprzednio wymieniając się co pięć metrów. Maddie była z przodu, kiedy usłyszała przed sobą przytłumione odległością głosy. Uniosła ostrzegawczo rękę, więc Will zamiast ją wyminąć, zatrzymał się nieopodal pod osłoną drzewa. Maddie przyłożyła do ucha zwiniętą dłoń, a Will ściągnął kaptur i lekko przekręcił głowę.

Znowu to usłyszeli. Stłumione głosy, a potem nagły wybuch śmiechu. Należało przypuszczać, że źródło znajduje się najwyżej dwadzieścia metrów dalej. Will pochylił się do Maddie i szepnął:

– Zostań tutaj. Ja się rozejrzę.

Zwiadowczyni nie miała nic przeciwko temu. Doskonale potrafiła poruszać się bezszelestnie i niezauważalnie, ale Will górował nad nią dzięki wieloletniemu doświadczeniu. Zostawił jej swój łuk i wyslizgnął się zza drzewa, za którym się ukrywali. Czołgał się niczym szybki, bezgłośny wąż. Maddie czekała, nie podnosząc głowy

ani oczu. Naciągnęła kaptur na głowę, żeby ukryć twarz w jego cieniu. Kiedy tak leżała nieruchomo, zamaskowana pod peleryną, nie została by zauważona, dopóki ktoś by na nią nie nadepnął. Uśmiechnęła się ponuro na tę myśl. To już się kiedyś zdarzyło i to więcej niż raz.

Minęły całe minuty, zanim Will przyczołgał się niemal całkowicie bezgłośnie z powrotem. Nie odezwał się, ale gestem kciuka polecił Maddie, by podążyła za nim, i zaczął się czołgać z powrotem drogą, którą przyszli. Dziewczyna odczekała pół minuty i poszła w jego ślady.

Po jakichś dwudziestu metrach Will podniósł się i ruszył dalej na ugiętych nogach, przemykając jak cień między drzewami. Maddie szła za nim, dopóki się nie zatrzymał, mniej więcej w miejscu, gdzie poprzednio zaczęli wyczuwać woń dymu z ogniska. Przyklękli teraz na ziemi. Chociaż znajdowali się daleko poza zasięgiem słuchu bandytów, Will mówił półgłosem:

– To rzeczywiście oni. Rozbili tam obóz. Mają niewielkie ognisko, przypuszczam, że do gotowania, ale na pewno rozpalą je bardziej, kiedy zrobi się ciemno. Wydają się pewni siebie. Nie wystawili żadnych straży i wyraźnie nie przejmują się, że ktoś może wyczuć zapach dymu.

– Pewnie nie spodziewają się, że ktoś może ich śledzić – zauważyła Maddie.

Will skinął głową.

– Myślę, że masz rację. Od lat napadają na prostych wieśniaków i farmerów. Nie sądzę, żeby ktokolwiek ich w ogóle ścigał. Wydaje się, że ludzie po prostu oddają im pieniądze i traktują to jako część życia. Właśnie dzięki temu takie bandy mogą działać.

– Czy są tam wszyscy? – zapytała Maddie.

– Tak, cała ósemka. Rozwalili się po całym obozie. Ukradli wczoraj z tawerny wino, więc teraz wszyscy piją. – Will uśmiechnął się złowieszczo. – To nam się potem przyda. – Przeszedł kilka kroków w bok, znalazł odpowiednie drzewo, oparł się o nie i przykrył peleryną.

– Na razie zamierzam trochę odpocząć. Ty możesz stać na warcie jako pierwsza. Obudź mnie za godzinę.

Maddie uśmiechnęła się do siebie, kiedy Will oparł brodę na piersi, a jego oddech stał się równy i głęboki. Vincent i jego banda mogli nie zawracać sobie głowy wystawianiem straży, ale zwiadowcy tak nie postępowali.



Ciemność okryła las. Kiedy słońce schowało się za czubki drzew, cienie stały się znacznie głębsze. Maddie, patrząc w górę, widziała momentami gwiazdy. Will szedł przodem, kiedy przemykali się bezgłośnie pomiędzy drzewami w stronę obozu. W ciemności nie musieli się czołgać, ale stawiali stopy z wyczuciem, sprawdzając przy każdym kroku, czy nie mają pod butem jakiejś gałązki, której trzaśnięcie zdradziłoby ich obecność.

Maddie pomyślała z pogardą, że tak czy inaczej niewiele by im groziło, ponieważ z obozu bandytów dobiegały podniesione głosy. Mężczyźni bez żadnej obawy rozmawiali między sobą i przekrzykiwali się nawzajem. Od czasu do czasu zaczynali hałaśliwie chóralną piosenkę, którą przerywały wybuchy śmiechu.

Po jednym z takich szczególnie głośnych popisów wokalnych Will spojrzał na Maddie i gestem pokazał picie ze szklanki. Było jasne, o co mu chodziło. Wino, które bandyci pili od popołudnia, uderzyło im już do głowy.

Dorzucili także drewna do ogniska. Teraz płomienie wznosiły się wysoko pomiędzy drzewami, a ich migoczące światło było widoczne wśród gęsto rosnących, ale młodych pni z odległości jakichś trzydziestu metrów.

Dwoje zwiadowców podeszło bliżej, nadal bezgłośnie i kryjąc się w nieregularnych cieniach. Na skraju niewielkiej polany, na której znajdował się obóz, Will szybko przeliczył siedzących i leżących wokół ogniska. Odwrócił się do Maddie i pokazał osiem palców. Była tu cała banda. Nikt nie stał na warcie.

Will wskazał na siebie i zatoczył dłonią półkole, po czym wskazał przeciwną stronę polany. Maddie zrozumiałaby, o co mu chodziło, nawet gdyby nie omawiali wcześniej tego planu. Zamierzał obejść obóz i zaatakować z drugiej strony. Ona miała zostać na miejscu i w

razie potrzeby go osłaniać. Pomyślała, że w przypadku ośmiu uzbrojonych mężczyzn prawdopodobnie zaistnieje taka potrzeba.

Zwiadowczyni rozejrzała się szybko. Znajdowała się na skraju polany, a dzięki ciemności panującej w lesie mogła wyjść spomiędzy drzew, co dawało jej możliwość użycia procy. Przewiesiła łuk przez lewe ramię i przygotowała ołowianą kulkę. Trzymała skórzane rzemienie zwisające swobodnie z ręki.

Skinęła głową, żeby dać Willowi znać, że jest gotowa, więc ruszył na swoją pozycję, prześlizgując się pomiędzy drzewami jak upiór. Chociaż patrzyła za nim, szybko zaczął jej znikać z oczu. Przypomniała sobie też, że powinna obserwować hałaśliwą, pijaną bandę przy ognisku, żeby mieć pewność, że żaden z nich nie zauważył Willa wśród drzew.

Uśmiechnęła się do siebie – nie było na to szans. Nawet kiedy sama spojrzała szybko w kierunku, w którym się oddalił, nie widziała żadnego ruchu.

Z powrotem skoncentrowała się na grupie bandytów, przesuając po nich wzrokiem i pilnując, by nie spoglądać prosto w płomienie. Czekala, czy któryś z nich nie podniesie alarmu albo nie sięgnie po broń. Vincent leżał rozciągnięty na ziemi po przeciwnej stronie w stosunku do miejsca, gdzie Maddie chowała się między drzewami. Opierał się o zwałony pień. Zauważyła, że miał pod ręką kuszę, naciągniętą i z nałożonym bełtem. Prychnęła pogardliwie.

Ta cięciwa niedługo wytrzyma, jeśli będziesz ją ciągle zostawiać napiętą – powiedziała w myślach do przywódcy bandytów.

Widać było, że Vincent nie zamierza się tą kwestią przejmować. Zmienił pozycję na wygodniejszą, tak że siedział teraz oparty o pień, i sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę wina, która stała koło niego na trawie. Uniósł ją w drwiącym toaście.

– Za naszego przyjaciela Michela! – oznajmił, a Sępy zarechotały z szyderczą radością. – To miło z jego strony, że nalegał, żebyśmy zabrali te wszystkie butelki najlepszego wina.

Na te słowa pijana banda wybuchnęła śmiechem. Kilku jej członków miało własne butelki i podniosło je teraz, by dołączyć do toastu. Vincent uniósł flaszkę wyżej, żeby się z niej napić.

Strzała Willa roztrzaskała butelkę, oblewając herszta bandytów winem i sypiąc na boki odłamki szkła, po czym wbiła się z głośnym

łupnięciem w leżącą koło ogniska kłodę.

Vincent wydał okrzyk strachu, ale zaraz potem warknął ze złością, kiedy zobaczył strzałę, a jego zamglony umysł podpowiedział mu, co się dzieje. Odwrócił się niezgrabnie, żeby sięgnąć po kuszę.

– Nie ruszaj jej.

Will mówił cicho, ale jego głos był doskonale słyszalny w całym obozowisku. Vincent, który nic nie widział w ciemnościach, ponieważ przez ostatnią godzinę gapił się w ogień, zmrużył oczy i obracał głowę z boku na bok, próbując wypatrzeć mówiącego. Domyślał się, że ktokolwiek to jest, jest uzbrojony. Co gorsza, intruz miał przewagę, ponieważ doskonale widział Vincenta, podczas gdy bandyta nie mógł go zobaczyć. Jego sięgająca do kuszy dłoń zatrzymała się, a mężczyzna podniósł się na kolana, nadal wpatrując się w ciemność.

Pozostała siódemka bandytów także zamilkła i zamarła na swoich miejscach. Wtedy Will wyszedł na polanę i stanął na krawędzi koła wyznaczanego przez blask ognia. Pijanemu Vincentowi wszystko rozmywało się w oczach, więc przybysz wydał mu się widmową, rozmytą sylwetką. Twarz miał ukrytą pod kapturem, zaś peleryna, w nieregularny wzór w kolorach lasu, sprawiała, że w migoczącym świetle ognia wtapiał się w tło. W jednej chwili był widoczny, w następnej wydawał się rozpływać.

Vincent poczuł, że jego ciało tężeje ze strachu. Przesądnemu umysłowi ta niewyraźna sylwetka mogła wydać się jakimś duchem lasu – nadnaturalnym przybyszem z innego świata. Herszt bandytów otworzył usta, by coś powiedzieć, ale miał tak zaschnięte gardło, że nie zdołał wykrztusić nawet słowa. Jediną rzeczą, jaką widział wyraźnie, był potężny długi łuk, który trzymał widmowy przybysz, a także śmiercionośny żelazny grot strzały, lśniący złowrogo w blasku ognia.

– Kim jesteś? – zaskrzeczał, w końcu odzyskując głos. Przybysz nie poruszył się ani nie odpowiedział. Vincent spróbował znowu: – Czego chcesz?

Tym razem usłyszał odpowiedź. Padła tym samym cichym, spokojnym głosem.

– Chcę, żebyś oddał pieniądze zrabowane zeszłej nocy. Napadłeś na niewłaściwą wioskę.

Wśród bandytów rozległy się gniewne pomruki, a Vincent podniósł się na jednym kolanie. Will poruszył jedyne uczucie bandyty silniejsze niż przesądny strach – chciwość.

– Oddać? Dlaczego miałbym je oddawać? – zapytał Vincent wyzywająco.

– Ponieważ jeśli tego nie zrobisz, źle się to dla ciebie skończy.

Vincent myślał szybko, zmuszając umysł do wysiłku po oszałamiających efektach popołudnia spędzonego na popijawie. Na razie owinięty w pelerynę przybysz tylko im groził. Przestrzelił także butelkę, z której pił Vincent, ale nie wyrządził żadnej krzywdy samemu bandycie. Na jego miejscu Vincent zastrzeliłby przeciwnika bez żadnego ostrzeżenia. Doszedł do wniosku, że nieznajomy nie chce tak naprawdę strzelać, więc chwycił leżącą obok na ziemi kuszę i wstał, unosząc ją na wysokość ramienia.

W tym momencie uświadomił sobie, że popełnił błąd.

Maddie zakręciła procą w górze, a w powietrzu świsnęła ołowiana kulka, która śmignęła przez polanę i trafiła Vincenta z nieprzyjemnym stuknięciem tuż za uchem.

Oczy bandyty zaszkliły się, jęknął boleśnie, a potem kolana się pod nim ugięły i upadł na ziemię, ogłuszony. Po potylicy zaczęła mu spływać strużka krwi.

– Ostrzegałem – powiedział Will.





Sporo mówiło o wyszkoleniu i inteligencji Maddie to, że nie przestała rozglądać się po obozie, wypatrując jakichkolwiek oznak buntu czy zagrożenia ze strony pozostałych bandytów.

Dziewięć na dziesięć osób w takiej sytuacji koncentrowałoby uwagę na Willu i leżącym na ziemi herszcie bandy. Maddie wiedziała jednak, że jej zadaniem jest chronić Willa i tłumić jakikolwiek opór wśród przeciwników. Jako że potencjalnie mógł ich zaatakować każdy z siedmiu pozostałych mężczyzn, było to ważne zadanie. Zwiadowczyni załadowała już kolejną kulkę do procy i luźno opuściła broń, kołysząc nią lekko, gotowa do błyskawicznego działania.

Dlatego, chociaż Vincent leżał na ziemi twarzą w dół, półprzytomny, i pojękiwał cicho, spojrzenie Maddie przesunęło się szybko po pozostałych mężczyznach siedzących wokół ogniska.

Will wiedział, że Maddie będzie go osłaniać, więc nie odrywał wzroku od przywódcy. Po prawej stronie polany jeden z bandytów także był uzbrojony w kuszę. Will kątem oka zauważył ruch, kiedy mężczyzna podniósł się na jedno kolano i wycelował. Maddie także to dostrzegła. Wiedziała, że Willa tylko sekundy dzielą od śmierci, dlatego jej ramię śmignęło do tyłu, gotowe zakręcić procą i wysłać pocisk ze świstem na drugą stronę polany.

Jednakże Will był dla niej za szybki. Zanim zdążyła wypuścić pocisk, jego prawa dłoń przesunęła się błyskawicznie do podwójnej pochwy. Jednym płynnym ruchem wyciągnął nóż i cisnął go, aż zawirował w powietrzu. Dłoń bandyty zaczęła się zaciskać na spuście, kiedy nóż wbił się w sam środek jego piersi. Mężczyzna

wydał stłumiony jęk bólu i poleciał na bok. Świat pociemniał mu przed oczami. Kusza wystrzeliła z nieprzyjemnym trzaskiem. Bełt poleciał do góry. Maddie usłyszała, że zadrasnął pień drzewa, a potem utkwiał w gęstym sklepieniu tworzonym przez gałęzie.

Pozostali bandyci zamilkli na chwilę, wpatrując się w ciało. Zanim zdążyli coś zrobić, głos Willa śmignął niczym bicz.

– Wszyscy zostają tam, gdzie są. Jeśli ktoś się ruszy albo spróbuje sięgnąć po broń, zostanie podobnie potraktowany przez mojego towarzysza. – Skinął głową w stronę Maddie, która zrobiła kilka kroków naprzód i stała teraz na polanie. Sześć par oczu przesunęło się na nią. Zastąpiła już procę łukiem z nałożoną strzałą, ponieważ wyglądał groźniej. Proca to jedynie dwa rzemienie zwisające z jej ręki. Łuk był bronią, którą rozpoznawali, a żelazny grot strzały lśnił w świetle płomieni.

Podobnie jak Vincent, pozostali bandyci spędzili wieczór, wpatrując się w jasne światło ogniska, więc niewiele widzieli w ciemności. Dostrzegali tylko nieostre kontury i ruch, kiedy Maddie przesuwała łuk, celując w nich na zmianę.

– Może pokażesz, co potrafisz, Matthew – zaproponował Will.

Ustalili ten podstęp wcześniej, zanim zbliżyli się do obozu.

– Musimy szybko stłumić ich opór, a to znaczy, że powinni się nas bać – stwierdził Will. – Jeśli zauważą, że jesteś dziewczyną, będą się czuli mniej zagrożeni.

Maddie otworzyła usta, żeby zaprotestować, więc uniósł szybko rękę w geście nakazującym jej zaczekać.

– Wiesz, że to bzdura i ja też to wiem – powiedział. – Ale ich malutkie mózdzki są na to nastawione, dlatego nie ryzykujemy bez potrzeby. Inaczej być może będziemy musieli zastrzelić trzech czy czterech, żeby pokazać, ile jesteśmy warci.

Umilkł i popatrzył na nią z naciskiem. Maddie skinęła głową. Irytowało ją to, lecz wiedziała, że miał rację. Tacy mężczyźni nie mieli na tyle oleju w głowie, by uwierzyć, że dziewczyna może posiadać dostateczną odwagę i umiejętności, by się z nimi zmierzyć i ich pokonać. Poza tym Will miał rację. Gdyby bandyci zaczęli stawiać opór, on i Maddie musieliby prawdopodobnie zabić niektórych, a na tym im nie zależało.

Teraz jednak została poproszona o zademonstrowanie celności i szybkości, zaś życie Willa nie znajdowało się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Wypuściła trzy strzały jedną za drugą.

Pierwsza roztrzaskała butelkę wina stojącą na pniu drzewa obok jednego z bandytów. Kiedy trunek i odłamki szkła prysnęły na wszystkie strony, mężczyzna szarpnął się gwałtownie, żeby się odsunąć.

Zanim zaskoczeni bandyci zdążyli zareagować, druga strzała Maddie wbiła się w rękaw jednego z nich, co sprawiło, że jego prawa ręka została przygwożdżona do kłody, o którą się opierał. Trzecia strzała zagłębiła się w miękkiej ziemi pomiędzy kolanami bandyty siedzącego z szeroko rozłożonymi nogami. Z przenikliwym wrzaskiem przestachu cofnął się szybko od niebezpiecznej strzały, chociaż zareagował o wiele za późno.

Will roześmiał się ponuro.

– Zapamiętajcie to sobie. Każdy, kto nie wykona dokładnie moich poleceń, stanie się obiektem kolejnej demonstracji. Ale następnym razem Matthew nie będzie celować tak, żeby was nie trafić.

Bandyci rzucali nerwowe spojrzenia na ledwie widoczną sylwetkę osoby, która wypuściła trzy strzały. Wiadomość była jasna: znajdowali się w skrajnie niekorzystnej sytuacji, na łasce łucznika o przerażających umiejętnościach, zaś własnej broni nie mieli nawet pod ręką.

Nie byli przyzwyczajeni do walki. Byli bandytami i złodziejami, przywykłymi do napadów na prostych, nieuzbrojonych farmerów i wieśniaków. Uderzali zniechęca, wykorzystując swoją liczebność i bezwzględność, by zasiać lęk w sercach swoich ofiar.

Teraz mieli do czynienia z dwójką wyszkolonych wojowników, którzy nie zawahaliby się strzelić, gdyby musieli. Bandyci nie byli oswojeni z taką sytuacją i zdecydowanie im się ona nie podobała. Will odczekał chwilę, żeby dotarło do nich, w jakim są położeniu – żeby wyobrazili sobie efekty jakiegokolwiek próby stawiania oporu. Jego kolejne słowa przypomniały im, gdzie się znajdują.

– Ty tam, w zielonej koszuli. Zaczniemy od ciebie – powiedział. – Wstawaj. Natychmiast!

Ostatnie słowo warknął z całą stanowczością, ponieważ mężczyzna się zawahał. Bandyta podniósł się powoli, rozglądając się

nieufnie, niepewny, co się teraz stanie. Niebawem się przekonał.

– Dobra, ściągnij ciuchy. Rozbierz się do samych gaci.

Zaskoczony poleceniem bandyta znowu się zawahał, więc Will zrobił pół kroku do przodu i podniósł łuk z nałożoną strzałą.

– Masz trzy sekundy – powiedział.

Bandyta zareagował błyskawicznie, ściągnając kubrak i spodnie, tak że został w samej koszuli i kalesonach. Drżał i patrzył niepewnie na Willa, zastanawiając się, co będzie dalej.

– Jeszcze koszulę i buty – rozkazał zwiadowca, więc mężczyzna posłuchał. Ściągnął koszulę, a potem, podskakując na jednej nodze, zdjął najpierw jeden, a później drugi but. Pod spodem miał brudne, poszarpane skarpetki. Jeden paluch wystawał mu przez wielką dziurę.

– Teraz się kładź twarzą na ziemi, z rękami na plecach.

Bandyta zrobił, co mu kazano. Kiedy tak leżał, bezradny i bezbronny, Will oparł łuk o drzewo i wyciągnął sakwę. Podeszedł i szybko przyklęknął przy bandycie i wbił sakwę ostrzem w miękką ziemię. Potem wyjął rzemienne więzy, które nałożył na kciuki mężczyzny i zacisnął je mocno. Bandyta spróbował stawić opór, ale więzy trzymały solidnie, więc jego ręce zostały unieruchomione na plecach.

Will wyciągnął sakwę i równie szybko wstał, żeby odsunąć się od unieszkodliwionego już bandyty. Wskazał długim nożem kolejnego członka bandy.

– Ty w czerwonej czapce. Wstawaj i zrzucaj ciuchy.

Drugi bandyta wykonał polecenie, poddając się bez oporu, po czym położył się i pozwolił, by Will związał mu ręce.

W ciągu dziesięciu minut Will miał już pięciu bandytów rozebranych, spętanych i bezbronych. Leżeli na brzuchach, trzęsąc się z zimna. Rozkazał szóstemu się rozebrać, po czym gestem polecił mu podejść do Vincenta, który nadal leżał na ziemi, jęcząc i mamrocząc cicho, wciąż zamroczony po uderzeniu ołowianego pocisku. Krew sączyła mu się z rany. Rany na głowie zazwyczaj mocno krwawiły, a ta nie była wyjątkiem.

– Zabandażuj go – polecił Will. – Możesz podrzeć swoją koszulę, żeby to zrobić.

Bandyta owinał głowę Vincenta paskami oderwanymi z koszuli, tamując upływ krwi. Potem pomógł hersztowi usiąść. Vincent zaczął odzyskiwać przytomność, ale nadal ledwie kontaktował. Rozglądał się po polanie, zdezorientowany i zdumiony. Świat rozmazywał mu się przed oczami, a głowa pulsowała bólem.

– Sosiem stało? – zapytał na w pół przytomnie, bełkotliwym głosem. Zmarszczył brwi i spojrzał na towarzysza. – Szy to ty, Pierre?

Will szybko związał Pierre'a, a potem Vincenta. Posadził herszta bandytów i przytrzymał mu podbródek dłonią, żeby przyjrzeć mu się uważnie i sprawdzić, czy nie udaje. Widział jednak, że Vincent ma rozszerzone, niewidzące źrenice, co oznaczało, że nie byłby w stanie stawiać w tym momencie żadnego oporu. Zwiadowca podniósł Vincenta i pozostałych bandytów na nogi i szybko związał ich razem długą liną owiniętą wokół ich szyi. Drugi koniec liny przywiązał do czterech grubych pni. Czarne Sępy były teraz uwiązane w kole wokół drzew, z rękami spętanymi na plecach. Will pokiwał głową z satysfakcją. Miną całe godziny, zanim zdołają się uwolnić.

– Pozbieraj ich rzeczy – powiedział do Maddie i pomógł jej w tym zadaniu. Potem wrzucił stos ubrań, butów i najróżniejszych noży, mieczy, kusz oraz innych broni do ogniska na środku polany.

Płomienie na chwilę przygasły, zaczął się unosić gryzący dym. Zaraz jednak ogień zapłonął jaśniej, gdy Will zaczął dorzucać gałązki i kawałki drewna. Dołożył na stos także koce i posłania bandytów, a potem jeszcze więcej drewna. Patrzył, jak drzewce kuszy, włóczni i toporów zaczęły płonąć, podobnie jak zrobione z drewna i skóry rękojeści mieczy. Nawet ostrza stały się jaskrawoczerwone i zaczęły się odkształcać, gdyż żar okazał się dla nich zbyt silny.

Will przeszukał obozowisko i znalazł wielki, ciężki worek pełny pieniędzy. Zarzucił go sobie na ramię.

– To chyba pieniądze, które wczoraj ukradli – powiedział do Maddie. – I jeszcze trochę. Jestem pewien, że Michel i jego przyjaciele ucieszą się, gdy je odzyskają. Ruszajmy już.

Kiedy zaczęli się oddalać od żalosnej grupki bandytów, jeden z nich zawołał za nimi:

– Czekaście! Chyba nie zamierzacie nas tak zostawić?

Will pokiwał głową.

– Właśnie tak zamierzamy zrobić – oznajmił. Bandyta próbował złożyć błagalnie ręce, ale miał je porządnie związane za plecami.

– Zamarzniemy tutaj!

Will popatrzył na niebo, na którym znowu gromadziły się chmury.

– To nie jest wykluczone – oznajmił pogodnie. – Wygląda na to, że znowu będzie padać.

– Umrzemy z głodu – jęknął bandyta, próbując innego argumentu.

Will skinął głową.

– To także wydaje się możliwe – przyznał. – Powinniście byli o tym pomyśleć, zanim postanowiliście zarabiać na życie, napadając bezbronych ludzi. – Skinął na Maddie i wszedł w głąb lasu, kierując się w miejsce, gdzie zostawili konie. Błagalne okrzyki ucichły, kiedy oddalili się od obozu.

– On ma sporo racji – zauważyła Maddie. – Mogą umrzeć z głodu.

– Nie będzie mi to spędzać snu z powiek – odparł Will. – Ale nie sądzę, by tak się stało. Uwolnią się za jakieś kilka godzin, chociaż będą nieuzbrojeni i bezradni. Przez jakiś czas nie będą niepokoić okolicznych wsi.

Maddie milczała przez kilka minut.

– Nie wolałbyś przekazać ich w ręce władz? – odezwała się znowu.

Will wzruszył ramionami.

– Nie wiem, kim są miejscowe władze. Nie da się wykluczyć, że to Lassigny i jego ludzie. Gdybym przyprowadził im pół tuzina przestępców, trudno byłoby nam udawać rybałtów, nie uważasz?

– Chyba rzeczywiście – przyznała Maddie. Zadała jeszcze jedno pytanie o coś, co nie dawało jej spokoju. – To całe zabieranie im ubrań i butów... Wiem, że robiliśmy to już i wiem, że dzięki temu czują się bezbroni i stają się mniej groźni. Ale kto to w ogóle wymyślił?

Will się uśmiechnął.

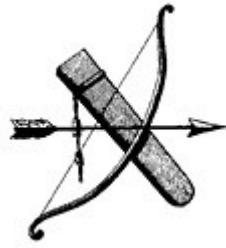
– Możesz zgadywać.

Maddie milczała kilka sekund.

– Halt? – zapytała.

Will skinął szybko głową.

– Od razu trafiłaś.





Michel du Mont, karczmarz w położonej u stóp gór wiosce Entante, zasmucony grabił żwir na placyku przed swoją gospodą. Wizyta Vincenta i Czarnych Sępów drogo go kosztowała. Bandyty ukradli tygodniowe zarobki gospody, w tym większą niż zwykle kwotę, która trafiła do kufierka Michela w wieczór występu dwójki rybałtów.

Na szczęście rabusie nie położyli łap na jego głównych oszczędnościach, zakopanych w żelaznej skrzyni na dziedzińcu stojącym za gospodą. Mimo to straty były poważne.

Co więcej, bandyci obrabowali z gotówki wszystkich gości, co oznaczało, że mieszkańcy wsi przez jakiś czas będą musieli zaciskać pasa. To z kolei sprawiało, że nie będą wydawać pieniędzy w gospodzie, dopóki nie podreperują budżetu podczas następnego dnia targowego, który przypadał za dwa tygodnie.

Wszystko to powodowało, że następne dziesięć dni zapowiadało się ponuro. Michel zaklął cicho pod nosem. Vincent i jego banda napadali już wcześniej na wieś, ale tym razem było gorzej niż zwykle. Gospoda była pełna, a większość mieszkańców wsi straciła całą gotówkę.

Podobnie jak rybałci. Michel pomyślał o nich ponuro, ale nie mógł się nimi nadmiernie przejmować. Nie byli miejscowi. Nie byli jego sąsiadami ani przyjaciółmi. Poza tym ich styl życia – podróżowanie po kraju z całym dobytkiem – w zasadzie gwarantował, że od czasu do czasu padną ofiarą bandytów.

Mimo wszystko jednak byli bardzo sympatyczni i utalentowani, więc Michel trochę im współczuł. Mieli wyjątkowego pecha, że Vincent zauważył, jak dziewczyna zanosí zebrane datki do skrzynki na wozie. Stracili nie tylko urobek tego wieczoru, ale wszystko, co zarobili przez ostatni miesiąc.

– Karczmarzu!

Michel podskoczył, słysząc za sobą głos. Obejrzał się szybko przez ramię i zaledwie dziesięć metrów od siebie zobaczył człowieka na koniu. Obawiając się w tym momencie nieznanomych, oszacował odległość dzielącą go od wejścia do gospody i długiej pałki, którą trzymał za drzwiami. Uznał, że jest za daleko. Nieznajomy dogoniłby go po kilku metrach, gdyby tylko zechciał.

Michel miał jednak pod ręką coś niemal równie dobrego. Grabie do żwiru były długie, ciężkie i nabijane rzędem gwoździ. W razie potrzeby stanowiłyby skuteczną, nawet jeśli niezgrabną, zaimprovizowaną broń. Odwrócił się do nieznanomego i uniósł grabie oburącz, trzymając je na skos przed sobą.

Jeździec od razu zrozumiał, o co mu chodzi.

– To nie będzie potrzebne – powiedział, wskazując grabie. – Nic ci nie grozi z mojej strony.

Michel zmarszczył brwi. W tym człowieku było coś znajomego, ale nie umiał stwierdzić co. Mężczyzna miał na sobie dziwną pelerynę, która zacierała kontury ciała, tak że Michel musiał przyglądać się uważnie, by się na nim skoncentrować. Twarz miał ukrytą w cieniu pod kapturem. W poprzek kolan trzymał potężny łuk z napiętą cięciwą.

Jego głos wydawał się odrobinę znajomy, ale mówił z lekkim akcentem – Michel doszedł do wniosku, że był to akcent hibernijski.

– To chyba należy do ciebie i innych z twojej wsi – powiedział jeździec. Z tymi słowami odpiął od łęku siodła ciężką sakwę i rzucił ją na zagrabiony żwir. Uderzając o ziemię, sakwa zabrzęczała. Michel zrobił kilka kroków, z coraz szerszym uśmiechem, ponieważ zrozumiał, że on i pozostali mieszkańcy wsi właśnie odzyskali swój majątek. Zawahał się jednak, kierowany wewnętrznym poczuciem uczciwości.

– Część z tego należy do dwójki rybałtów, którzy występowali tutaj wczoraj wieczorem – powiedział.

Zakapturzony mężczyzna skinął głową.

– Oddaliśmy im już to, co im się należało. Spotkaliśmy ich na drodze.

Michel skinął głową, ponieważ zaczął rozumieć, co zaszło. Rybacy najprawdopodobniej napotkali tego tajemniczego wojownika i jego towarzyszy – mężczyzna używał przecież liczby mnogiej – i opowiedzieli im o napadzie na karczmę w Entante. Wtedy z powodów znanych tylko jemu samemu zakapturzony jeździec postanowił policzyć się z bandą Czarnych Sępów. Michel nie wiedział, dlaczego to zrobił, i nie zamierzał dociekać. Domyślał się, że musi on mieć na swoje rozkazy cały oddział, skoro najwyraźniej zmiażdżył Czarne Sępy.

Gdyby Michel był bardziej spostrzegawczy, mógłby rozpoznać siwego, kosmatego konika, na którym jechał nieznajomy, jako jednego z dwóch koni ciągnących wóz rybałów. Ale nie miał zwyczaju zwracać większej uwagi na konie. Konie pociągowe to konie pociągowe. Nie były szczególnie zadbane ani warte zapamiętywania.

– Żegnaj – powiedział jeździec i obrócił konia, by odjechać tam, skąd przyjechał.

– Żegnaj... – powtórzył niepewnie Michel. Popatrzył na sakwę z pieniędzmi u swoich stóp. – I... dziękuję ci, kimkolwiek jesteś.

Jeździec nie odpowiedział. Szturchnął konia obcasami butów i pogalopował gościńcem wiodącym do Chateau des Falaises.



– Nie rozpoznał cię? – zapytała Maddie, kiedy Will dołączył do niej w lesie na obrzeżach wsi.

Zwiadowca potrząsnął głową.

– Nie miał żadnych powodów. Jestem inaczej ubrany i zmieniłem ton głosu. Użyłem nawet lekkiego akcentu hibernijskiego. Bardziej zainteresowała go torba z pieniędzmi, którą ode mnie dostał. – Will podrapał się z namysłem po podbródku. – Wiesz co, to naprawdę uczciwy człowiek, rzadkość wśród karczmarzy. Powiedział mi, że część pieniędzy powinna trafić do dwójki rybałów, którzy wczoraj występowali w gospodzie. Zapewniłem go, że już się tym zajęliśmy.

- Co teraz robimy? – zapytała Maddie.
- Jedziemy do Chateau des Falaises. Leży mniej więcej dzień drogi stąd. Ale myślę, że po drodze schowamy wóz w lesie i zostawimy go. Maddie spojrzała na niego zaskoczona.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Zastanawiałem się nad tym i chyba powinniśmy przyciągać trochę mniej uwagi. Chcę, żebyśmy się wydawali skromniejsi. Przyjedziemy do zamku jako prosty rybałt i jego córka. Nie będziemy prosić o możliwość występu przed Lassignym i jego dworem. Będziemy dawać nieformalne pokazy dla służby i żołnierzy w ich świetlicach. Dzięki temu będziemy mogli tam zostać trochę dłużej. Gdybyśmy wystąpili w sali głównej przed Lassignym, zostalibyśmy wynajęci na jedną noc, a potem musielibyśmy ruszać w dalszą drogę. W ten sposób nikt nie zwróci na nas uwagi, jeśli zostaniemy cztery lub pięć dni. Będiesz miała okazję się rozejrzeć, podczas gdy ja będę występować.
- Za czym mam się rozglądać? – zapytała Maddie, chociaż była pewna, że zna odpowiedź.
- Nie za czym, a za kim. Możesz powęszyć w zamku i sprawdzić, gdzie przetrzymują syna Philippe'a.



Iechali dalej gościńcem do Chateau des Falaises. Około południa znaleźli osłoniętą polankę jakieś dwadzieścia metrów od drogi. Will wjechał tam, ostrożnie klucząc pomiędzy drzewami i zatrzymał wóz w miejscu, gdzie był całkowicie niewidoczny od strony drogi. Maddie wyciągnęła sieć maskującą, którą wieźli ze sobą na taki właśnie wypadek. Sieć miała poprzywiązywane skrawki brązowej i zielonej tkaniny, a zarzucona luźno sprawiała, że wóz wtapiał się w zieleni lasu.

Wyciągnęła łuki z ukrytego pod dnem wozu schowka. Razem z nożami w podwójnych pochwach zostały schowane do długich skórzanych tub, podobnych do tych, w jakich rybacy trzymali wędki. Znalazły się tam także dwa wąskie kołczany, mieszczące po piętnaście strzał.

Maddie wskazała noże.

– Mamy już przecież noże – powiedziała. Przypięli do pasów saksy w prostej pochwie, a każde z nich miało także ukryty nóż do rzucania.

Will podniósł głowę.

– Nie zaszkodzi mieć zapasowe – odpowiedział. – Nasze noże mogą zostać skonfiskowane przy wejściu do zamku.

Podczas gdy Maddie nakładała na wóz siatkę maskującą, Will zajął się pracą nad strojem rybaka. Wziął gorszy z dwóch kompletów, jakie miał, i przybrudził go błotem i kurzem z drogi. Potem doszył na

kurtce kilka przypadkowych łąt, żeby wydawała się stara i zniszczona. Maddie przyjrzała mu się.

– Jaki to ma cel? – zapytała.

Will przez chwilę milczał, bo musiał odgryźć nitkę, którą przyszywał łątę.

– Tak jak mówiłem, chcę, żebyśmy wyglądali skromnie. Z tym wozem, ozdobami i sprzętem sprawiamy wrażenie artystów wysokiej klasy. Takich, którzy mogą chcieć wystąpić przed panem na zamku. Dzięki temu będziemy wyglądać na drugorzędnych obszarpańców, którzy będą się cieszyć, jeśli dostaną kolację za pośpiewanie dla służby, i nie zamierzają zawracać głowy szlachetnym panom.

Słowo „szlachetni” powiedział lekko drwiąco. Nie sądził, by Lassigny zasługiwał na takie określenie.

Kiedy skończył, schludny, kolorowy strój rybałta prezentował jedynie ułamek dawnej świetności – był poszarzały, poplamiony i połatany.

Maddie także włożyła prosty strój – zieloną kurtkę i brązowe spodnie. Przywiązała za siodłem pelerynę zwiadowcy i zarzuciła sięgający jej do pasa płaszcz z szarej wełny.

Will przyjrzał się jej z aprobatą.

– Właśnie o to chodziło – powiedział. Rozłożył ręce, by zaprezentować tunikę, której żywe kolory przygasły pod warstwą kurzu i smaru z osi wozu. – A jak ja wyglądam?

Maddie obejrzała go z udawanym brakiem zachwyty.

– Jak ktoś, z kim nie powinnam podróżować – oznajmiła w końcu.

Will zdjął z wozu skrzynkę z pieniędzmi i zakopał ją pod drzewem z charakterystycznym rozwidleniem na wysokości dwóch metrów. Naznaczył pień dwoma równoległymi nacięciami saksy – były w miarę łatwe do znalezienia, ale nie rzuciłyby się w oczy przypadkowemu obserwatorowi.

– Byłaby szkoda, gdyby ktoś natrafił na ten wóz i postanowił go ukraść – stwierdził. – Razem ze wszystkimi naszymi zarobkami.

Wsiedli na konie i opuścili niedużą polanę, by pojechać górską drogą prowadzącą do zamku Lassigny’ego.



Chateau des Falaises brało swoją nazwę od stromych urwisk otaczających je ze wszystkich stron – *falaise* było galijskim słowem oznaczającym klif. Wznosiło się na skałach wystających z jeziora, z brzegiem łączyła je grobla, wysoka na jakieś osiem metrów i długa na czterdzieści. Jej strome krawędzie nie były niczym ogrodzone. Przy brzegu była dość szeroka, by ośmiu lub dziewięciu ludzi mogło iść koło siebie, ale bliżej bramy zamkowej wyraźnie się zwężała. Pod samym zamkiem obok siebie mogłyby na niej stanąć zaledwie cztery osoby.

Dla przybyszów przekraczających groblę dodatkowe zagrożenie stanowiło to, że jej nieutwardzone krawędzie w kilku miejscach się odłamały, co wyglądało, jakby jakiś olbrzym wygryzł ogromne kęsy z boku przejścia.

U nasady urwiska, po lewej stronie grobli, uwagę zwiadowców przykuło stado mew, wrzeszczących i kotłujących się w powietrzu nad stosem odpadków, najwyraźniej wyrzucanych z wysoka z zamku.

Will z niechęcią pociągnął nosem.

– Domyślam się, że w upały musi to nieźle cuchnąć – zauważył.

Sam zamek wyglądał dość typowo. Po wytwornej urodzie La Lumiere i Zamku Araluen wydawał się wręcz pospolity. Był jednak solidnie zbudowany i trudny do zdobycia, nawet gdyby prowadziło do niego podejście łatwiejsze niż wąska grobla.

Cztery główne wieże były połączone murami kurtynowymi sięgającymi do połowy ich wysokości, tak że cała budowla tworzyła kwadrat. Szczyt każdej wieży otaczał pierścień sięgających poza jej obręb wieżyczek otoczonych blankami, na których znajdowały się stanowiska obronne. Dzięki temu rycerze mogli strzelać lub zrzucać kamienie na napastników zgromadzonych u podnóża wieży.

Potężna wartownia, w której mieścił się mechanizm podnoszący i opuszczający ciężką kratę, strzegła wejścia do zamku. Zaopatrzono ją w platformę, dzięki której obrońcy znajdowali się wysoko i mogli strzelać w dół do wrogów szturmujących ciężką bramę.

Wewnątrz kwadratu utworzonego przez wieże i mury stał piąty budynek, szerszy i niższy od narożnych wież. Była to masywna, solidna konstrukcja, o kilka pięter wyższa od murów kurtynowych. Miała płaski dach otoczony blankami, przez co stanowiła dodatkową linię obrony.

To był donżon – centralna budowla zamku, w której mieszkali i jedli służba oraz żołnierze. Na wyższych piętrach znajdowały się gabinety zamkowych urzędników i prywatne komnaty lorda, a także jego najwyższych rangą doradców i dowódców. Było to także ostateczne schronienie na wypadek, gdyby wróg przedarł się przez mury i znalazł na terenie zamku.

Po grobli wędrował strumień ludzi zmierzających do zamku. Około połowy z nich szło pieszo, czasem ciągnąc wózek, ale było także sporo jeźdźców i wozów z zaprzęgniętymi do nich końmi i osłami. Do zamku wieziono najróżniejsze dobra: tusze wołowe i baranie, jarzyny, drewno na opał, baryłki piwa i wina. Niektóre wozy były wyładowane drewnianymi klatkami pełnymi kaczek i kur. Każdy wóz i każdy człowiek byli zatrzymywani przy wejściu i przepytywani, a dopiero potem mogli przekroczyć bramę i dostać się na dziedziniec.

Wozy zbliżające się do końca grobli jechały szczególnie ostrożnie, ponieważ ich woźnice musieli pilnować, by koła nie zbliżyły się zanadto do osypujących się brzegów wału. Osoby chętne, by wejść do zamku, kontrolował oddział złożony z ośmiu czy dziewięciu żołnierzy uzbrojonych w krótkie miecze oraz halabardy. W czasie gdy Maddie i Will obserwowali ruch przy bramie, nikt nie został przed niej odprawiony z kwitkiem.

– To się wydaje obiecujące – zauważyła Maddie.

Will mruknął potwierdzająco.

– Na razie dobrze wygląda.

Zatrzymali się na niewielkim wzgórzu z widokiem na groblę. Teraz ruszyli dalej i znaleźli lukę w strumieniu ludzi.

Potrzebowali sporo czasu, by przekroczyć groblę, ponieważ płynność ruchu zakłócało przepytywanie i przeszukiwanie każdej osoby lub grupy chcącej wejść do zamku. W końcu nadeszła ich kolej. Jeden z żołnierzy gestem zaprosił ich do środka, żeby zrobić miejsce dla wozu pełnego tuszy świeżo zaszlachtowanych wołów, który miał zostać sprawdzony przed bramą.

Wjechali w półmrok wartowni, a potem wyłonili się znowu w jasnym blasku słonecznym, gdzie żołnierz kazał się im zatrzymać. Przyjrzał się brudnemu strojowi Willa i zauważył skórzany futerał mandoli przywiązany do łąku siodła.

– Rybałt, tak? – zapytał.

– Tak, sir. Jestem muzykantom i podróżuję z córką.

Żołnierz zmarszczył brwi, słysząc akcent Willa.

– Skąd jesteście?

– Z Araluenu, sir. Podróżujemy po tym kraju od miesiąca. – Will darował sobie hibernijski akcent, którego używał w rozmowie z Michelem w gospodzie.

– A czego tu chcecie? – zapytał żołnierz. Nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany. Było całkiem oczywiste, czego tu szuka obszarpany muzykant. Trzeba jednak było działać zgodnie z procedurą.

– Miałem nadzieję znaleźć tu wikt i nocleg na kilka dni, sir. W zamian chętnie wystąpię przed zamkową służbą i żołnierzami.

– Dlaczego nie zatrzymaliście się w gospodzie we wsi? – zapytał żołnierz. Wieś, znajdująca się pod opieką zamku, była położona jakieś ćwierć kilometra stąd. Will zawahał się, wyraźnie zakłopotany.

– To mała wioska, sir. Nie można liczyć na większą widownię. Zaś gospoda jest dość... kosztowna.

Żołnierz roześmiał się ostro. Znał miejscowego karczmarza i jego reputację dusigrosza.

– Domyślam się. – Popatrzył na długą skórzaną tubę przywiązaną pionowo za siodłem Willa. – Co tam macie? – zapytał.

– Wędki i kołowrotki, sir – wyjaśnił Will.

Żołnierz zmarszczył ostrzegawczo brwi.

– Wszystkie ryby w rzekach i jeziorach tego lenna należą do barona. Obcy nie mają tu prawa wędkować.

– Oczywiście, sir. – Will skłonił się w pas, żeby potwierdzić, że przyjął to do wiadomości. – Rozumiem. Żadnego wędkowania.

Żołnierz przyglądał się im przez kilka sekund, a potem wzruszył ramionami.

– Niech wam będzie – powiedział. – Musicie dostać zgodę na pobyt od seneszała. Jego biuro jest na trzecim piętrze w donżonie. Przywiążcie konie na dziedzińcu.

Wskazał podniszczony pal osadzony pomiędzy kamieniami, kilka metrów od wejścia do donżonu. Will skłonił się raz jeszcze i poprowadził za sobą Wyrwija.

– Chodźmy, córko – powiedział i jako pierwszy wszedł na zamkowy dziedziniec.



Seneszał – rycerz odpowiedzialny za sprawy administracyjne w zamku oraz jego służbę – zadał im kilka szybkich pytań, a następnie udzielił pozwolenia na zajęcie dwóch miejsc do spania. Były to osłonięte kotarami wnęki w ścianach zamkowych sal. Spała tam niższa rangą służba – posługacze, pomywacze i sprzątacze – a także prości goście.

– Cztery miedziaki za dzień – powiedział krótko. – Za to dostaniecie dwa posiłki dziennie, śniadanie na zimno i kolację na gorąco, a także po jednym miejscu do spania. Świeża słoma co dwa dni. Jak długo zamierzacie tu zostać?

– Może tydzień, sir – odparł Will.

Mężczyzna bez pośpiechu skinął głową i bacznie przyjrzał się jego ubraniu.

– Zakładam, że chcesz występować?

– Tak sir, jeśli otrzymam zgodę – odparł Will.

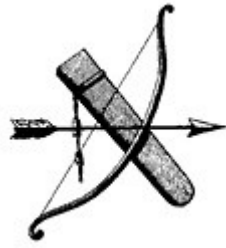
Seneszał zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze, to niech będą trzy miedziaki dziennie. W sumie dwadzieścia jeden, ale zaokrąglimy to do dwudziestu. Jeśli będziecie chcieli zostać dłużej, przyjdźcie tu do mnie.

Will zapłacił i dostał dwa skórzane krążki z wypalonymi liczbami.

– Osiemdziesiąt dwa i osiemdziesiąt trzy. To wasze miejsca do spania – oznajmił seneszał. – Możecie zaprowadzić konie do stajni po wschodniej stronie dziedzińca, ale musicie się sami nimi zajmować.

– Oczywiście, sir. Dziękujemy, sir. – Will skłonił się kilka razy, ale seneszał stracił już zainteresowanie. Odprawił ich szybkim machnięciem ręki i przysunął do siebie stos rachunków.





Zaprowadzili konie do stajni, piętrowego budynku pod murem po wschodniej stronie dziedzińca. Na wyższym poziomie najwyraźniej przechowywano siano. Przy szerokich podwójnych drzwiach zamocowano belkę i linę z bloczkami, pozwalające wciągać na górę bele siana. Na dole znajdowało się pojedyncze, pogrążone w półmroku pomieszczenie z boksami dla koni po obu stronach. Tylko nieco ponad połowa była zajęta, zaś dwóch nowych przybyszów wchodzących do budynku sprawiło, że z tuzin zaciekawionych nosów wysunął się ponad drzwiami boksów.

Stajenny powitał ich przy wejściu. Był ponurym mężczyzną, chudym jak szczapa i aktualnie przeziębionym, co sprawiało, że bezustannie pociągał nosem. Przyjrzał się dwójce nowo przybyłych i ich niepozornym wierzchowcom.

– Czego chcecie? – zapytał sucho, chociaż Maddie pomyślała, że jest to raczej oczywiste.

Will jednakże odpowiedział mu pokornym tonem. Nie było sensu zrażać do siebie tego człowieka. Wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy mają niewielką władzę nad czymś i przerośnięte poczucie własnej ważności, potrafią zmienić się w tyranów, jeśli nie czują się odpowiednio traktowani.

– Seneszał powiedział, że możemy tu trzymać nasze konie, sir – powiedział.

– Doprawdy? I pewnie oczekuje, że będę się nimi za was zajmować, tak? – zapytał wyzywająco mężczyzna.

Will rozłożył ręce w pojednawczym geście.

– Ależ skąd, sir. Powiedział, że mamy się sami nimi zajmować. Bardzo chętnie będziemy to robić.

– I dobrze, bo ja nie mam czasu, żeby ganiać jakieś dwie skołtunione chabety – oznajmił stajenny. Stojący za Maddie Zderzak podniósł łeb i parsknął z oburzeniem. Zwiadowczyni uspokoiła go szybkim dotknięciem ręki.

– Zaprowadźcie je do dwóch boksów tam z tyłu. – Stajenny machnął ręką, wskazując rząd pustych boksów na samym końcu długiej i niskiej stajni.

– Mogą zajmować jeden boks – zapewnił go Will. – To małe koniki i są przyzwyczajone do swojego towarzystwa.

– To miło z ich strony. Wasz wybór, ale tak czy inaczej płacicie za dwa. W poidle jest woda, możecie im także dawać siano i owies. Jedna torba owsa na trzy dni – dodał chytrze.

Will wzruszył potwierdzająco ramionami.

– To będzie sześć miedziaków na tydzień za ich paszę – powiedział mężczyzna. W jego głosie zabrzmiała wyzywająca nuta, jakby czekał, czy Will zacznie kwestionować tę cenę.

Will patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Był pewien, że koszt końskiej paszy zawierał się w sumie, jaką zapłacił seneszalowi. Nie było jednak sensu się spierać.

– Oczywiście – powiedział. Wygrzebał z sakiewki przy pasie sześć miedziaków i wręczył je mężczyźnie.

O dziwo, skwaszony stajenny wydawał się lekko rozczarowany, jakby oczekiwał kłótni. Machnął ręką w stronę boksów, więc Will i Maddie zaprowadzili konie do boksu i napełnili żłób sianem, a poidło czystą wodą. Will oparł futerał z łukami o ścianę w cieniu w głębi boksu. Wiedział, że Wyrwij i Zderzak nie pozwolą, by ktokolwiek się do tego zbliżył.

Potem zabrali juki, a także zwinięte posłania i peleryny zwiadowców, i skierowali się do donżonu. Maddie pomachała na pożegnanie stajennemu, który naprawiał jakąś uprząż. Skrzywił się do niej w odpowiedzi.

– Co za przyjemniaczek – powiedziała do Willa, kiedy wyszli na zalany popołudniowym słońcem dziedziniec.

Will potrząsnął głową.

– Zanim wyjedziemy, mogę poświęcić chwilę, żeby trzepnąć go w ucho – stwierdził.

Maddie uśmiechnęła się na myśl o tym.

– Za taki widok mogę zapłacić ci sześć miedziaków.



Podczas pobytu w zamku mieli jeść i spać w niższej sali na parterze donżonu. Było to obszerne pomieszczenie, wypełnione stołami i ławkami, przy których mogło usiąść jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu osób – mniej ważnych służących i żołnierzy. Miejsca do spania znajdowały się w niszach wzdłuż ścian. Torby i ubrania można było powiesić na hakach przy ścianie, a jako łóżko służyła drewniana platforma na wysokości pasa, na której leżał cienki, wypchany słomą materac i poduszka obciążona szorstką lnianą tkaniną. Wnęka była oddzielona od reszty sali zasłoną, by zapewnić osobie w środku odrobinę prywatności.

Will i Maddie znaleźli przydzielone im miejsca i rozłożyli pośłania na słomianych materacach. Will przyjrzał się swojemu i pociągnął kilka razy nosem.

– Wydaje się w miarę czysty.

Pod pośłaniami ukryli swoje saksy. Noże do rzucania mieli schowane w pochwach – Will przypięte do lewego przedramienia, a Maddie z tyłu pod kołnierzykiem.

Will potrząsnął głową, kiedy wybrała takie miejsce. Wiele lat temu omal nie zginął, kiedy jego nóż zaklinował się podczas wyciągania z pochwy pod kołnierzem. Jednakże nie było czegoś takiego jak idealne miejsce do schowania noża – zawsze istniało ryzyko, że może się zaklinować albo zaczepić o ubranie, jeśli właściciel spróbuje go wyciągnąć zbyt szybko.

Zwiadowca rozejrzał się po sali, w której rozbrzmiewał przyciszony gwar rozmów ludzi siedzących pod ścianami. Było tu około dwudziestu osób – reszta bez wątpienia zajmowała się teraz swoimi obowiązkami w zamku. Pojawia się pod koniec dnia, kiedy zbliży się pora wieczornego posiłku.

– Zagram trochę, kiedy już zjemy – powiedział Will do Maddie. – Kiedy skoncentrują na mnie uwagę, wymknij się stąd i zajrzyj na

wyższe piętra donżonu. Musimy się dowiedzieć, gdzie Lassigny przetrzymuje księcia.

– Czy powinnam szukać czegoś konkretnego? – zapytała Maddie.

– Rozglądaj się za komnatami, przed którymi stoją strażnicy. Zwracaj uwagę na miejsce, od którego wścibscy nieznajomi mają się trzymać z daleka.

– Myślisz, że będzie w donżonie?

Will potrząsnął głową.

– Raczej nie, ale równie dobrze możemy od tego zacząć.

Jakieś dwadzieścia minut później posługacze przynieśli ze znajdujących się w podziemiach kuchni wieczorny posiłek. Rozstawili na stołach w regularnych odstępach pół tuzina sporych kotłów. Inni przynieśli stopy drewnianych misek i łyżek. W miarę zbliżania się pory posiłku, liczba ludzi czekających w sali podwoiła się. Will spojrzał na jedno z okien osadzonych wysoko w ścianie ponad wnękami do spania. Na zewnątrz było jeszcze jasno. Najwyraźniej służba spożywała posiłek wcześniej niż rycerze i szlachta w sali jadalnej Lassigny’ego.

Will i Maddie zajęli miejsca przy jednym stole. Will nałożył chochlą jedzenie z jednego z kociołków do dwóch drewnianych misek. Nabrał trochę na łyżkę i ostrożnie spróbował. Potrawka z jagnięciny z jarzynami okazała się zaskakująco smaczna, choć nieco za mocno przyprawiona jak na jego gust.

– Nie żałują czosnku – mruknął. – Typowo galijskie jedzenie.

Maddie nie miała takich oporów – jadła szybko, maczając w sosie oderwany kawałek chleba. Zauważyła, że w potrawie było więcej jarzyn niż mięsa, ale jedzenie było gorące i dobrze doprawione. Sos okazał się gęsty, a chleb lekki i puszysty, zupełnie różny od płaskich, ciężkich bochenków, do jakich przywykła w Araluenie. Dokończyła szybko swoją porcję i rozejrzała się po sali. Ponieważ zobaczyła, że inni biorą dokładki, nałożyła do miski jeszcze trochę potrawy i jadła dalej.

– Nie przesadzaj – ostrzegł ją Will. – Brzuch cię rozboli.

Maddie zauważyła jednak, że on także wziął sobie drugą porcję, a potem z wyrazem satysfakcji na twarzy odsunął się trochę od stołu.

– Niezłe – powiedział z zadowoleniem. – Naprawdę niezłe.

Posługacze postawili na stołach dzbany z wodą, piwem, winem i kawą. Will spróbował wina, ale skrzywił się – nie odpowiadało jego gustom. Nalał sobie zamiast tego kubek kawy i rozejrzał się z nadzieją za miseczką miodu. Nie było jednak nic takiego, więc musiał wzruszyć ramionami i wypić kawę nieposłodzoną. Wolałby słodką, ale była dobra, aromatyczna i zdecydowanie nadawała się do picia.

Reszta zebranych stopniowo kończyła posiłek, zaś posługacze wynieśli kotły i miski, pozostawiając na stołach tylko dzbany z kawą i winem. Ludzie podzielili się na mniejsze grupki, ustawili stołki w koło i pochyłali się do siebie, by rozmawiać przyciszonymi głosami.

Will wstał i podszedł do swojej wnęki, gdzie na łóżku leżała jego mandola. Otworzył skórzany futerał i wyjął instrument, sprawdzając od razu, czy jest nastrojony. Maddie, która poszła z nim, zauważyła, że niektórzy rzucali mu zaciekawione spojrzenia.

– Zamierzasz dać występ? – zapytała.

Will potrząsnął głową.

– Zamierzam siedzieć z boku, nie przeszkadzać i pograć trochę w tle – powiedział. – Ludzie nie zawsze lubią, żeby im przerywać rozmowy. Ci, którzy wolą słuchać, zamiast gadać, będą mogli zebrać się wokół mnie.

Zarzucił pas mandoli na ramię i odwrócił się do stołów.

– Zaczekaj tutaj – polecił. – Kiedy zwrócę na siebie uwagę, wymknij się stąd i sprawdź, czy nie uda ci się dowiedzieć, gdzie trzymają księcia Gilesa.

Maddie zaczęła przy swojej wnęcie, udając, że wieszka ubrania na haczykach i rozkłada je na półkach, które miała do dyspozycji. Will przeszedł na drugą stronę sali, po drodze zaczepiając nogą stołek i przesuując go pod przeciwległą ścianę.

Usiadł i zagrał cicho kilka akordów. Prowadzone rozmowy urwały się na chwilę, kiedy ludzie odwrócili się, by na niego popatrzeć. Większość wróciła do przerwanych dyskusji, ale część odwróciła się w jego stronę, kiedy zaczął cicho śpiewać. Po pierwszej piosence kilka osób przestawiło stołki, tworząc wokół niego półkole. Will uśmiechnął się do swojej widowni i zaczął następną piosenkę.

Maddie się rozejrzała – nikt nie zwracał na nią uwagi. Przeszła cicho wzdłuż rzędu nisz do spania i wyslizgnęła się przez podwójne drzwi.





Z parteru na wyższe piętra donżonu prowadziły szerokie główne schody. Maddie trzymała się pod ścianami, starając się w miarę możliwości nie rzucać w oczy. Kiedy zacznie wchodzić na górę, będzie doskonale widoczna. Nie miała żadnej wymówki innej niż ciekawość, by znajdować się w tej części zamku – i obawiała się, że nie byłaby to najskuteczniejsza wymówka, gdyby została zauważona.

Na szczęście zmierzchało się już, a wnętrze budowli było kiepsko oświetlone. Okna były nieduże i wąskie – wielkie i szerokie nie sprawdziłyby się podczas ataku. Mimo to, wchodząc po szerokich schodach, czuła się na widoku. Trzymała się przy balustradzie, a jej buty na miękkich podeszwach szurały cicho po deskach, kiedy przemykała w górę. Czuła mrowienie na całym ciele, gdy wyobrażała sobie tuziny niewidocznych oczu, obserwujących jej ruchy.

Na pierwszym piętrze znajdowały się gabinet Lassigny'ego i apartamenty mieszkalne. Drzwi do gabinetu były otwarte, więc Maddie widziała w środku ogromne biurko zavalone papierami i notatkami. Nie było śladu barona ani jego urzędników. Uznała, że przebywał w tym momencie w swoich komnatach, szykując się do wieczornego posiłku.

Obeszła ostrożnie zakręt szerokich drewnianych schodów, ciągnących się dalej na kolejne piętra. Zatrzymała się na najniższym stopniu i zadarła głowę, starając się w miarę możliwości nie pokazywać ewentualnemu obserwatorowi, który mógł patrzeć z góry. Ponieważ niczego nie zobaczyła ani nie usłyszała, ruszyła

dalej. Szła jak najszybciej, żeby nie pozostawać tak widoczna dłużej, niż to było konieczne.

Zatrzymała się u szczytu schodów i rozejrzała. Tu znajdowała się najwyraźniej sala jadalna przeznaczona dla barona i jego dworzan. Widziała służących, którzy uwijali się pomiędzy długimi stołami, nakrywając je do wieczornego posiłku. Nikt nie zwracał na nią uwagi i chyba w ogóle jej nie spostrzegł. Maddie szybko weszła na kolejne piętro.

Tutaj na wprost schodów znajdował się gabinet seneszała, gdzie ona i Will przyszedli poprosić o zakwaterowanie. Ogromne, okute brązem drzwi były zamknięte, a ze środka nie dobiegały żadne odgłosy ruchu. Maddie rozejrzała się po trzecim piętrze. Pozostałe ściany zajmowały szeregi ciężkich drzwi, co do jednego pozamykanych. Źródłem światła były pochodnie w uchwytych na ścianach. Dziewczyna szybko przeszła do punktu dokładnie pomiędzy dwoma pochodniami, gdzie cień był najgłębszy. Znieruchomiała, patrząc i nasłuchując.

Nie dobiegał jej żaden dźwięk, choć miała wrażenie, że jej własne serce bije ogłuszająco głośno. Skulona w cieniu, przyglądała się układowi tego piętra.

Wielkie główne schody nie prowadziły wyżej, więc rozglądała się za jakąś inną drogą.

W dwóch narożnikach wśród rzędu ciężkich, drewnianych drzwi znajdowały się węższe, otwarte przejścia. W głębi jednego z nich Maddie widziała pierwsze stopnie. Podbiegła do bliższego z dwóch przejść i zajrzała do środka. W wąskim wnętrzu zobaczyła spiralne schody, jak zwykle w zamkach skrócone z lewej w prawą stronę. To oznaczało, że wspinający się po schodach napastnik musiał odsłonić całe ciało, żeby użyć miecza, podczas gdy praworęczny obrońca mógł wysunąć zza osłony ściany tylko prawą rękę. Maddie spojrzała w górę. Schody były pogrążone w półmroku, a na ścianach nie umieszczono żadnych pochodni. Musiało jej wystarczyć odbite światło wpadające z niższych poziomów. Dziewczyna szybko wspięła się na schody, nasłuchując, czy ktoś nie idzie z góry. Gdyby tak się stało, musiałyby się odwrócić, zbiec na dół i znaleźć jakąś kryjówkę na najbliższym piętrze. Ale nie usłyszała żadnego poruszenia i po chwili znalazła się na czwartym piętrze.

Zobaczyła duże pomieszczenie bez żadnych przegród, z wysokimi oknami na dwóch ścianach. Wiedziała, że tak wysoko cechy obronne nie mają już aż takiego znaczenia. Zrobiła kilka kroków, żeby się rozejrzeć. Pod ścianami pozbawionymi okien stały rzędy stojaków z bronią i zbrojami. To piętro najwyraźniej było zamkową zbrojownią i salą treningową.

Wysokie okna zapewniały światło żołnierzom ćwiczącym swoje umiejętności. Maddie widziała, że dużą część broni na stojakach stanowiły drewniane atrapy do treningów.

Zawróciła do schodów i ruszyła w górę.

Na razie nie widziała niczego, co sugerowałoby obecność więźnia w którejkolwiek z tych komnat, a kolejne dwa piętra okazały się pod tym względem równie rozczarowujące. Na każdym z nich znajdował się wąski korytarz z drzwiami po obu stronach. Te od strony zewnętrznego muru zamku były rozmieszczone w większych odstępach, więc Maddie podejrzewała, że to komnaty przeznaczone dla dowódców i wielmożów z dworu Lassigny'ego. Te po drugiej stronie były bliżej siebie. Maddie nacisnęła klamkę, która ustąpiła pod jej dłonią. Z mocno bijącym sercem uchyliła drzwi i ostrożnie zajrzała do środka.

Usłyszała jakieś poruszenie i zamarła, gotowa rzucić się biegiem do schodów. Ciszę przerwał jednak charakterystyczny dźwięk – ktoś pochrapywał. Maddie uchyliła drzwi odrobinę szerzej, żeby zobaczyć wewnątrz komnaty.

Młody człowiek, częściowo rozebrany, leżał na plecach na wąskim łóżku naprzeciwko drzwi. Miał zamknięte oczy, a jego pierś miarowo wznosiła się i opadała. Poza łóżkiem w pokoju znajdowały się stół, krzesło i szafa. Przez oparcie krzesła była przewieszona kurtka liberii.

Maddie domyśliła się, że to jeden z paziów – przemawiały za tym także rozmiar komnaty i skromność jej umeblowania. Dziewczyna ostrożnie wycofała się i zamknęła drzwi, starając się zrobić to jak najciszej. Nadal słyszała pochrapywanie, teraz już stłumione. Przyjrzała się najbliższym drzwiom po drugiej stronie korytarza. Podeszła do nich i przyłożyła ucho do drewna. Ze środka słyszała przytłumione głosy – męski i kobiecy. To potwierdzało jej teorię, że znajdują się tu komnaty przeznaczone dla wyższych rangą rycerzy

oraz ich rodzin. Bezgłośnie przeszła dalej korytarzem i zaczęła nasłuchiwać przy kolejnych drzwiach. Tym razem niczego nie usłyszała – ani głosów, ani żadnego poruszenia. Nacisnęła klamkę, która ustąpiła gładko. Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem zapadki. Uchyliły się do środka, więc Maddie oparła się o nie, przytrzymując klamkę, i pchnęła delikatnie o jeszcze kilka centymetrów. Znieruchomiała.

Serce biło jej jak młotem, a puls przyspieszył jak szalony. Gdyby ją teraz zauważono, nie miałaby żadnej wymówki. Odetchnęła głęboko, otworzyła drzwi na jakieś pół metra i zajrzała za nie, gotowa natychmiast rzucić się do ucieczki.

Tym razem zobaczyła pięknie umeblowaną komnatę. Na podłodze leżało kilka chodników, po bokach kominka stały krzesła z poręczami, zaś pod jedną ze ścian ustawiono drewnianą ławkę. Pod oknem znajdował się stół z czterema krzesłami o wysokich oparciach. Widać też było drzwi prowadzące do dalszych komnat, co potwierdzało jej domysły, że to apartament kogoś wysoko postawionego. Usłyszała gdzieś w głębi trzaśnięcie drzwi i męski głos, który coś mówił. Pospiesznie zamknęła drzwi i wycofała się do schodów.

Kolejne piętro, na które weszła, miało podobny układ – mniejsze komnaty po wewnętrznej stronie korytarza i większe po zewnętrznej, żeby ich mieszkańcy mogli cieszyć się widokiem na jezioro i okolicę. Pomyślała, że w jednym z tych apartamentów mógłby być przetrzymywany książę Giles. Nie było jednak ani śladu strażników, co przemawiało przeciwko tej teorii. Maddie podbiegła korytarzem, zatrzymując się na każdym zakręcie, by wyjrzeć zza niego i upewnić się, że nikt jej nie obserwuje.

Korytarz był pusty, więc po kilku minutach znalazła się ponownie w miejscu, z którego wyruszyła. Napięcie nerwowe stawało się nie do wytrzymania. Maddie denerwowała się za każdym razem, gdy mijała kolejny zakręt, spodziewając się, że w każdej chwili może na kogoś wpaść – wtedy musiałaby uciekać, by ratować życie. Kiedy nikogo nie widziała, czuła, że adrenalina powoli odpływa, a jej nierówny oddech odrobinę się uspokajał. Zatrzymała się i odetchnęła kilka razy głęboko, żeby się opanować. Pomyślała, że czas się stąd zbierać.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała cicho do siebie. – Spokojnie.

Właśnie kiedy mówiła te słowa, drzwi koło niej otworzyły się, a z komnaty wyłonił się zwalisty mężczyzna w zielono-żółtej liberii, który wpadł prosto na Maddie.

Oboje zachwiali się zdezorientowani. Mężczyzna zaklął z zaskoczenia, a potem spojrzął na Maddie podejrzliwie.

– Kim jesteś? – zapytał ostro. – Co ty tu robisz? – Złapał jej rękę mocnym chwytem.

– Zmieniam pościel – odparła natychmiast i odwróciła się, by odejść.

Mężczyzna nie był jednak usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

– A gdzie twój wózek z pościelą? – warknął.

Maddie wiedziała, że pokojówki miały wózki, na których rozwoziły świeżą pościel, z pojemnikiem pod spodem przeznaczonym na brudne poszewki i podpinki. Wskazała w głąb korytarza.

– O, tam.

Kiedy mężczyzna odwrócił głowę, spróbowała mu się wyrwać i dzięki elementowi zaskoczenia prawie jej się to udało. Jej ręka wyslizgnęła się z jego uścisku, ale mężczyzna natychmiast złapał ją znowu, tym razem za nadgarstek, i przyciągnął do siebie.

Spodziewał się, że znowu spróbuje się wyrwać, więc Maddie zaskoczyła go, robiąc krok w jego stronę. Odruchowo chciał ją odepchnąć, ale zanim to zrobił, zwiadowczyni złapała go za tunikę, ugięła nogi i uderzyła o niego biodrami. Kiedy oparł się na niej całym ciężarem, wyprostowała kolana, wykorzystując siłę nóg, by podnieść go z podłogi, po czym przerzuciła go górą przez biodro, aż jego ręce i nogi zamachały bezwładnie w powietrzu.

Mężczyzna z głośnym łomotem uderzył o podłogę. Z jego płuc z donośnym świstem uszło powietrze.

Maddie zerwała się do biegu.

Przy schodach obejrzała się jeszcze za siebie. Rycerz wstał chwiejnie, opierając się o ścianę korytarza, a potem, ciężko dysząc, rzucił się za nią.

Maddie zbiegła po schodach niemal bezgłośnie w swoich miękkich butach. Była już na piętrze poniżej, kiedy usłyszała nad sobą ciężkie tupanie na schodach. Następne piętro pokonała, zbiegając co dwa stopnie. Gdy tym razem znalazła się na kolejnym piętrze, przebiegła przez korytarz do spiralnych schodów znajdujących się w drugim

narożniku. Dotarła do nich i schowała się w ich półmroku. Za sobą słyszała ciężkie kroki ścigającego ją mężczyzny, zbiegającego z góry. Czekwała bez ruchu, aż jego kroki miną wejście na schody na tym piętrze – mężczyzna pobiegł na dół. Uznała, że rycerz nigdy by się nie domyślił tego, co zamierzała zrobić, i ruszyła znowu w górę po schodach.

Tym razem weszła bez zatrzymywania na najwyższe piętro, służące za magazyn. Stare meble, broje oraz skrzynie z ubraniami i pościelą piętrzyły się na środku. Na każdej ścianie były drzwi prowadzące na balkon z widokiem na całą okolicę. Maddie uznała, że to piętro w czasie wojny jest wykorzystywane przez wartowników. W końcu uspokoiła się i wyrównała oddech. Odsunęła na bok stos złożonych zasłon, żeby zrobić sobie kryjówkę, i przykucnęła za nimi. Nie spodziewała się, by rycerz nadal jej szukał, kiedy stwierdzi, że mu się wymknęła. Na wszelki wypadek zaczęła jednak godzinę, aż zrobiło się całkiem ciemno, a potem przekradła się po schodach do dolnej sali.

Kiedy tam weszła, zobaczyła Willa siedzącego pod ścianą i rozmawiającego z kilkoma kuchcikami. Na stole pomiędzy nimi leżała jego mandola. Zauważył wchodzącą Maddie i spojrzał na nią, unosząc pytająco brew.

Potrząsnęła głową i podeszła do swojej wnęki sypialnej. Rzuciła się na łóżko, wyczerpana napięciem niedawnego spotkania, które o mało nie zakończyło się fatalnie.

Zmęczonym ruchem zaciągnęła kotarę.



Za donżonem, w północno-zachodnim narożniku dziedzińca, znajdował się ogród tarasowy.

To dobre miejsce do odpoczynku na świeżym powietrzu w czasie oblężenia zamku, kiedy z powodu ataków nieprzyjaciela bramy musiały być zaryglowane. Maddie pomyślała, że przecież służba i żołnierze nie mogli spędzać całego czasu zamknięci w swoich pokojach albo w ogólnodostępnych salach w donżonie. Musieli zachować jakieś poczucie normalności w codziennym życiu.

Oczywiście dzisiaj brama i krata były szeroko otwarte. Nic nie wskazywało, by zamkowi miało coś grozić, więc jak co dzień strumień ludzi przepływał groblą i wlewał się na dziedziniec. Nie zbliżali się jednak do przyjemnej, porośniętej trawą części. Kuchnie i spichrze znajdowały się po przeciwnej stronie zamku, a wstęp do tego ogrodu mieli tylko mieszkańcy twierdzy.

Will i Maddie siedzieli na kamiennej ławce wśród drzew. Było wczesne popołudnie, jakiś czas temu Will grał i śpiewał dla niewielkiej, ale zachwyconej widowni. Teraz odłożył już mandolę, a słuchacze rozeszli się, lecz przed tym niektórzy wrzucili monety do otwartego futerału na mandolę, który leżał na ziemi.

Will zaczekał, aż ostatnie osoby oddalą się na tyle, by znalazły się poza zasięgiem słuchu.

Dopiero teraz on i Maddie mieli okazję porozmawiać o odkryciach, jakie poczyniła poprzedniego wieczoru. We wspólnej sali było za dużo ludzi i zbyt wiele miejsc, w których ktoś mógłby się ukryć, żeby

ich podsłuchiwać. Tutaj, na otwartej przestrzeni, widzieliby każdego, kto by się zbliżył.

– Myślisz, że mógłby cię rozpoznać? – zapytał Will. Maddie powiedziała mu już o nieprzyjemnym spotkaniu na jednym z wyższych pięter donżonu.

Zwiadowczyni potrząsnęła głową.

– Miałam czapkę i upięte pod nią włosy. Wątpię, czy w ogóle zauważył, że jestem dziewczyną.

– Nawet gdyby to podejrzewał, męska duma nie pozwoliłaby mu się do tego przyznać. – Will się uśmiechnął. – Mówisz, że rzuciłaś nim jak workiem owsa. Jego zdaniem dziewczęta nie robią takich rzeczy.

– Będę o tym pamiętać, jeśli jeszcze go spotkam – obiecała Maddie. – Chociaż ja też bym go nie rozpoznała. W korytarzu było naprawdę ciemno. – Po namyśle dodała: – Chyba poznałabym jego liberię.

– Jest szansa, że nic więcej nie zrobił w tej sprawie. Prawdopodobnie uznał, że myszkowałaś tam w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się ukraść. Być może zgłosił to seneszalowi, ale co on miałyby zrobić? Po tobie nie było już śladu, a nic nie zginęło. To raczej nie powód, żeby wszczynać alarm i poszukiwania.

– Przynajmniej wiemy już, że księcia nie ma w donżonie – stwierdziła Maddie.

– Nie spodziewałem się, żeby tam był – odparł Will. – Zbyt wiele rzeczy jest tam wnoszonych i wynoszonych, za dużo ludzi się tam kręci. Jest prawdopodobnie w jednej z wież, na wysokim piętrze. Podejrzewam, że Lassigny stara się go w miarę możliwości trzymać w miejscu, gdzie nikt go nie zauważy.

– O wilku mowa – powiedziała Maddie ostrzegawczo.

Will podążył wzrokiem za spojrzeniem uczennicy. Baron Lassigny spacerował po ogrodzie w towarzystwie seneszala. Pochylali do siebie głowy, pogrążeni w rozmowie, więc Will i Maddie mieli okazję dobrze mu się przyjrzeć. Widzieli go już wcześniej, ale tylko przelotnie i z dużej odległości.

Baron był wysoki, musiał się więc pochylać, by rozmawiać z idącym obok niego mężczyzną. Był mocno zbudowany, miał szerokie ramiona i wydawało się, że nie ma nawet grama zbędnego

tłuszczu. Jego wygląd sugerował, że jest sprawny fizycznie i muskularny. W czarnych, krótko przystrzyżonych włosach połyskiwała siwizna, zwłaszcza na skroniach. Skórę miał oliwkową, bez zarostu. Ciemnobrązowe, niemal czarne oczy były osadzone pod grubymi brwiami. Przywodziły na myśl oczy jastrzębia, wydawały się czujne i skupione na jednym punkcie. Baron miał wyraźnie zarysowany nos i regularne rysy. Śmiało można było powiedzieć, że jest przystojnym mężczyzną. Nosił zielony płaszcz z naszytym złotym jastrzębiem w locie – stylizowanym tak, by jego skrzydła tworzyły kształt serca. Ptak zaciskał szpony na krótkiej włóczni.

Oczy seneszala rozjaśniły się, gdy zobaczył Willa i Maddie, którzy siedzieli na kamiennej ławie. Powiedział coś do barona i wskazał ich. Ciemne oczy pana zamku spoczęły na nich i przyjrzały się im uważnie. Maddie poruszyła się niepewnie. Miała wrażenie, że Lassigny potrafi przejrzeć jej niewinny wygląd i odczytać jej myśli.

Will wyraźnie wyczuł niepokój zwiadowczyni.

– Spokojnie – powiedział cicho, gdy mężczyźni zmienili kierunek i ruszyli przez trawę w ich stronę. Kiedy się zbliżyli, Will podniósł się z ławki i pociągnął Maddie za łokieć, żeby zrobiła to samo.

Baron Lassigny zatrzymał się o kilka metrów od nich. Stał na rozstawionych nogach, z rękami na biodrach, i wpatrywał się w Willa i Maddie. To była agresywna, dominująca poza. Mowa ciała wskazywała na mężczyznę, który wiedział, że patrzy na gorszych od siebie.

– Milordzie – powiedział Will, pochylając głowę.

– Jesteś rybałem – stwierdził Lassigny. Miał głęboki, dźwięczny głos, który zawdzięczał masywnemu ciału i szerokiej piersi.

– Tak jest, milordzie. Jestem Will Accord z Araluen, a to moja córka Madelyn.

Jastrzębie spojrzenie przeniosło się na moment na Maddie, która pospiesznie dygnęła. Opuściła wzrok i głowę, żeby Lassigny nie zauważył lekkiego skrzywienia jej warg. Nienawidziła dygania. Było poniżającym symbolem podporządkowania się. Skoro mężczyźni mogli po prostu pochylać głowę, tak jak Will, dlaczego kobiety nie miałyby robić tego samego?

Lassigny spojrział ponownie na Willa, który wyprostował się już po ukłonie.

– Powiedziano mi, że jesteś naprawdę dobry – oznajmił baron. Will uśmiechnął się przymilnie.

– Dziękuję wam za dobre słowo, milordzie.

Lassigny potrząsnął szybko głową. Wszystkie jego ruchy wydawały się gwałtowne.

– Ja tego nie powiedziałem – odparł. – Mówiłem tylko, co mi „powiedziano”. Własną opinię wyrażę, kiedy zobaczę twój występ.

Will nic nie powiedział. Trudno było znaleźć odpowiedź na takie słowa. Znowu pochylił głowę.

Lassigny odwrócił się do seneszała.

– Kiedy możemy go posłuchać, Gastonie? – zapytał i natychmiast odpowiedział na własne pytanie: – Jutro wieczorem?

Seneszał skinął głową.

– Jutro wieczorem odbędzie się uczta dla dworzan i rycerzy, sir. To doskonała okazja.

– W takim razie jutro, o dziewiątej – powiedział Lassigny do Willa. Zrobił krok w jego stronę i machnął lekceważąco ręką, wskazując poplamione ubranie Willa. – Może się trochę odśwież. Wyglądasz jak żebrak.

– Tak jest, sir – odparł Will, z trudem zachowując uniżony uśmiech.

Baron prychnął pogardliwie i odwrócił się, by podjąć przerwana rozmowę z seneszalem, jakby Maddie i Will nie istnieli. Will znowu się skłonił, a Maddie dygnęła.

– Przyciśnij trochę tego handlarza winem, Gastonie. Zbija na nas fortunę. Czas, żeby zaczął zarabiać trochę mniej.

– Tak jest, panie – odparł seneszał, a zaraz potem obaj znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Zwiadowcy wyprostowali się i wymienili spojrzenia.

– Umyj się trochę – powiedziała Maddie głosem dobrze imitującym władczy ton Lassigny’ego. Will przewrócił oczami. Usiedli z powrotem na ławce.

– Przynajmniej wiemy już, że większość jego rycerzy będzie jutro na uczcie – zauważył Will. – To da ci okazję, żebyś mogła się przyjrzeć wieżom. Przypuszczam, że tam baron przetrzymuje Gilesa.

Maddie popatrzyła na cztery wieże wznoszące się w narożnikach zamku. Wyglądały identycznie, z ciężkimi drewnianymi drzwiami

prowadzącymi na dziedziniec. Do wysokości murów nie miały żadnych okien, tylko wąskie szczeliny strzelnicze, przez które z wnętrza mogli strzelać łucznicy lub kusznicy. Powyżej poziomu przejścia biegnącego na wysokości blanków znajdowały się większe okna, zdradzające istnienie sal lub komnat.

– Od której mam zacząć? – zapytała Maddie. Wszystkie wieże wydawały się praktycznie takie same.

Kiedy to mówiła, usłyszeli, że drzwi donżonu otwierają się i zamykają z trzaskiem. Dwóch posługaczy kuchennych przeszło przez brukowany dziedziniec, kierując się do południowo-zachodniej wieży. Nieśli tacę przykrytą serwetą, duży gliniany dzban i kilka drewnianych kubków. Maddie i Will patrzyli, jak służący zatrzymali się pod ciężkimi drzwiami i trzykrotnie uderzyli w nie pięścią. Po chwili drzwi się uchyliły. W środku dało się dostrzec kilku uzbrojonych żołnierzy, którzy sprawdzili szybko, kto jest za drzwiami i wpuścili posługaczy. Kilka sekund później drzwi się za nimi zamknęły. Nawet z tej odległości Will i Maddie usłyszeli metaliczny szcęk klucza obracającego się w ciężkim zamku.

– Zastanówmy się – powiedział z namysłem Will. – Minęła właśnie pora popołudniowego posiłku, a służący niosą tacę z jedzeniem i winem dla kogoś znajdującego się w południowo-zachodniej wieży. Przypuszczam, że tam znajdziesz młodego Gilesa.





Powieszę trochę wieczorem – powiedziała Maddie, kiedy wracali do donżonu. – Muszę się zorientować, jak się dostać do wieży i wejść na schody. Potem, kiedy będziesz śpiewać jutro wieczorem, będę mogła się tam zakraść i poszukać, gdzie trzymają Gilesa.

– Moim zdaniem będziesz musiała się wspiąć po wieży od zewnątrz. Musisz jakoś ominąć wartowników przy drzwiach, a to chyba jedyna metoda – poradził Will.

Maddie zatrzymała się i odwróciła, żeby spojrzeć na wieżę. Była zbudowana z wielkich bloków granitu i z tej odległości wydawało się, że ściany mają mnóstwo szczelin, które mogą dać oparcie dłoniom i stopom. Maddie była wytrawnym wspinaczem i nie miała lęku wysokości.

– Nie zawracałbym sobie głowy pierwszymi trzema piętrami – dodał Will. – Tymi do wysokości muru. To są pomieszczenia dla obrońców na wypadek szturm na zamek. Powyżej wysokości muru znajdują się komnaty mieszkalne. Myślę, że on może tam być.

– Przyjrę się z bliska tym kamieniom – zdecydowała Maddie i zawróciła, żeby podejść do wieży.

Will położył jej dłoń na ramieniu, żeby ją zatrzymać.

– Nie oglądaj z bliska wieży południowo-zachodniej – ostrzegł. – Jeśli właśnie tam przetrzymują Gilesa, nie powinnaś wzbudzać żadnych podejrzeń. Przyjrzyj się północno-zachodniej, jest zbudowana dokładnie tak samo. Jeśli na nią da się wspiąć, to na tamtą także.

Maddie skinęła głową i wróciła spacerowym krokiem do ogrodu, w którym niedawno siedzieli. Will obserwował ją przez jakąś minutę, a potem poszedł do donżonu.

Maddie z całej siły starała się wyglądać niepozornie. Spacerowała po trawnikach, kierując się w stronę narożnej wieży. Baron Lassigny i seneszał wrócili już do swoich gabinetów, a w ogrodzie pozostała tylko garstka ludzi. Większość po posiłku wróciła do swoich zajęć. Zwiadowczyni zatrzymała się, żeby zajrzeć do sadzawki pod skalnym nawisem. Spory karp szturchał pyskiem powierzchnię zielonej wody w poszukiwaniu zbłąkanych owadów, które mogły do niej wpaść, zostawiając rozchodzące się pierścienie na tafli. Maddie wykorzystała tę okazję, żeby się rozejrzeć, ale nikt nie wydawał się nią zainteresowany. Podjęła swobodny spacer i zbliżyła się do północno-zachodniej wieży.

Jeszcze raz się rozejrzała. Dostrzegła tylko młodą parę – zakochani trzymali się za ręce i patrzyli sobie głęboko w oczy. Maddie pomyślała, że z pewnością nie zwrócą na nią uwagi.

Podeszła do wieży, by przyjrzeć się nierównym szarym murom i ciężkim okutym drzwiom. Kilka metrów dalej drewniane schody prowadziły na przejście biegnące od środka wzdłuż blanków na murach. Maddie pokiwała z namysłem głową i odwróciła się, by spojrzeć na południowo-zachodnią wieżę. Były tam podobne schody, najwyraźniej miały ułatwić obrońcom wejście na stanowiska obronne na murach. Uświadomiła sobie, że musi tam być także wyjście z wieży. Podeszła bliżej niej i przyjrzała się uważnie. Na wysokości przejścia na murach zobaczyła drewniane drzwi, przez które można było dostać się do środka.

Przypomniała sobie słowa Willa, że najniższe piętra wieży służą za baraki dla obrońców, więc nie powinno dziwić, że potrzebny był dostęp do stanowisk obronnych na murach.

Rozejrzała się jeszcze raz. Nikt jej nie obserwował. Młoda para cofnęła się w cień pod drzewem i zatonała w uścisku.

– Szczenięca miłość – mruknęła lekceważąco Maddie i skupiła się na konstrukcji wieży.

Potężne granitowe bloki były dopasowane, ale miały nieregularne kształty, więc pomiędzy nimi pozostawały spore szczeliny wypełnione zaprawą, która przez lata zdążyła się już wykruszyć.

Maddie wsunęła prawą dłoń w poziomą szczelinę. Stanowiła ona doskonałe oparcie dla ręki, a jednocześnie dawała sporo miejsca do manewru. Dziewczyna ostrożnie wsunęła stopę w inną szczelinę tuż nad ziemią i oparła się na niej całym ciężarem. Tu także miała mnóstwo miejsca i świetne oparcie. Pomyślała, że bez trudu może wspiąć się na ten mur, chociaż początkowo, aż do wysokości przejścia na murach, będzie doskonale widoczna.

Cofnęła się od ściany – w samą porę. Ciężkie drzwi, zaledwie kilka metrów od niej, nagle otworzyły się i ze środka wyłonił się wartownik. Popatrzył na Maddie, a na jego twarzy odmalowały się zaskoczenie i podejrzliwość.

– Czego tu chcesz? – zapytał szorstko. – Co tu robisz?

– Rozglądam się – wyjaśniła Maddie niewinnie. – Zwiedzam zamek. Przyjechałam tu dopiero wczoraj. – Uśmiechnęła się do mężczyzny, ale on nie odpowiedział uśmiechem. Nadal patrzył na nią gniewnie. – Czy mogę zajrzeć do środka? – zapytała niewinnym tonem, wskazując ciemne wnętrze wieży za plecami wartownika. – Nigdy nie byłam w środku w prawdziwym zamku.

– Nie! – warknął mężczyzna. – Myślisz, że oprowadzam tu wycieczki? Znikaj stąd!

Uniósł ostrzegawczo dłoń, więc Maddie szybko się cofnęła.

– Oczywiście! – powiedziała pospiesznie. – Przepraszam!

Machnęła przepaszająco rękami i uciekła szybko w głąb ogrodu. Po jakichś piętnastu metrach obejrzała się – żołnierz nadal ją obserwował. Kiedy zobaczył, że Maddie na niego patrzy, znowu zamachnął się groźnie, a potem wrócił do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Mimo odległości zwiadowczyni usłyszała szcęk ogromnego klucza obracającego się w zamku.

Ruszyła dalej powoli, spacerowym krokiem, pocierając z namysłem podbródek palcem wskazującym i kciukiem. Zastanawiała się, czemu wartownik zachowywał się tak agresywnie. Dlaczego tak mu zależało, żeby trzymała się z dala od wieży? Czy to dlatego, że tu właśnie przetrzymywano księcia Gilesa? To z pewnością wyjaśniałoby nadgorliwość żołnierza i jego ostrzeżenia, że ma się nie zbliżać.

Uświadomiła sobie, że nie widziała, by wnoszono tam jakieś jedzenie. Wieże i blanki murów były kluczowymi punktami obrony

zamku. Nic więc dziwnego, że wartownicy przepędzają przypadkowych gości i ciekawskich. Nie miała wątpliwości, że gdyby podeszła do którejś z pozostałych wież, zostałaaby potraktowana równie szorstko i niegościnnie. Nie zamierzała jednak tego sprawdzać. Południowo-zachodnia wieża wydawała się najbardziej prawdopodobnym miejscem pobytu księcia.

– Poza tym muszę od czegoś zacząć – powiedziała do siebie. – Równie dobrze mogę tutaj.

Szła z pochyloną głową, zatopiona w myślach. Być może dlatego nie zauważyła starego żebraka siedzącego pod drzewem w ogrodzie; spostrzegła go dopiero, gdy znalazła się tuż obok.

– *S'il vous plait, mam'selle?* – odezwał się zgrzytliwym głosem, wyrywając ją z zamyślenia.

Maddie szybko mu się przyjrzała. Musiał być jednym z wielu ludzi, którzy codziennie tłoczyli się na grobli, by wejść do zamku. Był przygarbiony i nie patrzył na nią, ale wyciągnął przed siebie kubek, do którego zbierał monety. Jego siwe włosy i broda były długie i potargane. Miał na sobie obszarpany płaszcz w biało-niebieskie pasy. Zwiadowczyni sięgnęła do sakiewki, wyciągnęła kilka monet, wrzuciła je do kubka i ruszyła dalej.

– Dziękuję, panienko! – zawołał za nią żebrak. Dopiero po kolejnych dziesięciu krokach Maddie uświadomiła sobie, że odezwał się do niej we wspólnej mowie, a nie po galijsku, którego użył, kiedy zaczepił ją wcześniej. Nie odezwała się do niego ani nie dała mu żadnych powodów do stwierdzenia, że nie jest miejscowa.

Było w nim też coś jakby odrobinę znajomego.

Odwróciła się szybko, żeby mu się przyjrzeć, ale staruszek już gdzieś zniknął. Maddie zmarszczyła brwi.

Pomyślała, że to dziwne, ale zaraz potrząsnęła głową i uznała, że nie warto się nad tym zastanawiać. Miała inne, pilniejsze sprawy.



– Lepiej będzie, jak przestaniesz się kręcić przy wieżach – powiedział Will, kiedy siedzieli w ustronnym zakamarku wspólnej sali. – Nie chcemy, by ludzie zauważyli, że się tym interesujesz.

Maddie skinęła potwierdzająco głową.

– Zachowam bezpieczną odległość – obiecała. – Ale chciałabym dzisiaj wieczorem sprawdzić, jak często wartownicy robią obchody. Mogłabym wejść po schodach na przejście na murach, a potem przedostać się na zewnętrzną stronę wieży i wspiąć tamtędy.

Will zastanawiał się przez chwilę nad tym planem.

– Dobry pomysł – orzekł w końcu. – Gdybyś wspięła się od samego dołu, byłabyś za dobrze widoczna. Po zewnętrznej stronie wieży nikt nie powinien cię wypatrzeć. – Po chwili milczenia dodał: – Tylko nie spadnij.

Maddie się uśmiechnęła.

– To ostatnia rzecz, jaką bym zrobiła – odparła.

Will uniósł brew.

– Powinnaś się zastanowić nad tym sformułowaniem – powiedział.



Następnego wieczoru Maddie przykucnęła w cieniu pod schodami, które prowadziły na szczyt muru.

Nasłuchiwała miarowych kroków wartownika na drewnianej platformie w górze. Obecna warta pełniła służbę od trochę ponad dwóch godzin i za jakąś godzinę miała zostać zmieniona. Maddie zapamiętała godziny i trasy ich obchodów poprzedniego wieczoru. Oczami wyobraźni widziała teraz żołnierza na blankach nad swoją głową. W tym momencie, w dwóch trzecich trzygodzinnej warty, myślał już bardziej o końcu zmiany niż o ewentualnych napastnikach zbliżających się do zamku.

Maddie uważała, że to całkowicie naturalne. Na początku warty ten żołnierz był pełen energii i motywacji, gotów sprawdzać każdy podejrzany dźwięk czy ruch. Ale kiedy pierwsza, a potem druga godzina minęły bez śladu jakiegokolwiek zagrożenia, jego czujność i motywacja przygasły. W chłodnym nocnym powietrzu marzły mu ręce, a stopy zaczęły go boleć od ciągłego chodzenia w sztywnych butach po twardych deskach.

Gorsza od fizycznego dyskomfortu związanego z obchodzeniem murów była nuda, która ogarniała żołnierza. Nie miał okazji z nikim porozmawiać, jeśli nie liczyć kilku słów zamienianych z kolegą,

z którym spotykał się na środku przejścia – więc jego umysł tracił koncentrację, otepiały od powtarzalnych ruchów i braku mentalnej stymulacji.

Maddie zmarszczyła brwi, kiedy o tym pomyślała. Uznała, że to cenna lekcja na przyszłość: jeśli wyznaczasz wartowników, zadbaj o to, by nie zaczynali i kończyli zmiany o tej samej porze. Jeśli zróżnicujesz godziny, na warcie będzie zawsze ktoś ze świeżym okiem i przytomnym umysłem.

Nad głową usłyszała szuranie butów, kiedy mężczyzna dotarł do końca swojego odcinka muru, zamkniętego masywną ścianą południowo-zachodniej wieży. Zatrzymał się na sekundę lub dwie, żeby odpocząć, a Maddie usłyszała ziewnięcie. Potem znowu rozległ się odgłos kroków, teraz wydawały się trochę cięższe, jakby żołnierz powłóczył lekko nogami po szorstkich deskach.

– Czas ruszać – powiedziała do siebie.





Maddie prześlizgnęła się po schodach jak widmo, nisko pochylona – bezgłośny cień wtapiający się w ciemność muru za jej plecami. Gdy była już prawie na szczycie, usłyszała, że wartownik zawraca po dotarciu do końca swojego odcinka. Miarowy rytm jego kroków zakłóciło szurnięcie butów. Zwiadowczyni natychmiast położyła się na szorstkich deskach schodów i przykryła peleryną, która maskowała jej sylwetkę. Nadal była na tyle oddalona od wartownika, że nie musiała się obawiać, że zostanie zauważona. Mimo to jej serce zaczęło bić szybciej, kiedy mężczyzna się zbliżył. Logika to jedno, ale trudno nie przejąć się zupełnie, gdy znajdujesz się zaledwie kilka metrów od uzbrojonego wroga.

Żołnierz znowu zatrzymał się tuż pod kamiennym murem wieży. Podszedł do blanków i wychylił się, by spojrzeć w dół. Najprawdopodobniej nie zobaczył niczego w ciemności, ponieważ westchnął i odwrócił się, by jeszcze raz pokonać wyznaczoną trasę. Maddie zaczęła, aż wartownik oddali się kilka metrów, a potem na czworakach pokonała resztę stopni i przebiegła na drugą stronę przejścia, by przykucnąć w cieniu u podstawy muru, w miejscu, gdzie stykał się z wieżą.

Zwiadowczyni popatrzyła na żołnierza. Był oddalony o dwadzieścia metrów i zatrzymał się na chwilę, by zamienić kilka słów z kolegą z warty. Musiała zostać tu, gdzie była, dopóki żołnierz nie odwróci się ponownie plecami do niej. Co prawda istniało ryzyko, że dostrzeże ją drugi wartownik, ale będzie oddalony

o czterdzieści metrów, a jej ruchy powinny pozostać niezauważone w półmroku. Bez względu na wszystko, nie miała czasu do stracenia.

Kiedy wartownik znowu zaczął się zbliżać, Maddie skuliła się u podstawy muru, owinięta ciasno peleryną i z twarzą ukrytą pod kapturem. Miała nadzieję, że tym razem żołnierz nie zacznie wyglądać przez mur. Gdyby to zrobił, pewnie by na nią nadepnął.

Kucała, ze spuszczonego wzrokiem, i nasłuchiwała coraz bliższych kroków. W każdej chwili spodziewała się, że ucichną, a wartownik wyda okrzyk zaskoczenia, ponieważ ją zauważy. Jednakże żołnierz zbliżał się miarowym tempem.

Przez kilka sekund Maddie zastanawiała się, czy nie zaczekać, aż mężczyzna się odwróci, i nie wejść do wieży na tym poziomie, przez wielkie drzwi. Była pewna, że nie są zaryglowane – słyszała, że żołnierz wszedł tu przez nie na początku warty, a kiedy się zamknęły, nie było słychać szcęknięcia klucza. W ten sposób zniknęłaby mu z oczu znacznie szybciej, niż przełaząc przez blanki i wspinając się po zewnętrznej stronie wieży.

Szybko jednak odrzuciła ten pomysł. Po drugiej stronie drzwi najprawdopodobniej znajdowało się pomieszczenie przeznaczone dla żołnierzy pełniących wartę. Ci, którzy mieli następną zmianę, spali tam teraz na pryczach, czekając, aż przyjdzie ich kolej. Wiedziała, że tak jest to zorganizowane w Zamku Araluen, a także w Zamku Redmont. Nie miała podstaw przypuszczać, że tu będzie inaczej. Gdyby weszła do wieży na tym piętrze, najpewniej natknęłaby się na jakiś tuzin uzbrojonych mężczyzn.

Lepiej będzie trzymać się pierwotnego planu. Wspiąć się kilka pięter, znaleźć puste pomieszczenie i tamtędy wejść do wieży.

Wartownik nadal się zbliżał. Maddie uspokoiła oddech. Z opuszczoną głową i oczami nie widziała żołnierza, ale mogła go słyszeć i praktycznie wyczuwała jego obecność niedaleko siebie. Wydawało się niemożliwe, by nie zauważył mrocznego cienia skulonego pod ścianą. Maddie myślała, że teraz po prostu musi ją dostrzec.

Była jednak tylko cieniem wśród innych cieni. Odgłos kroków ucichł. Maddie usłyszała, że żołnierz zawraca i znowu rusza przed siebie. To nie do wiary, ale nie zauważył jej, chociaż znajdowała się kilka metrów od niego.

„Ludzie widzą to, czego się spodziewają” – usłyszała w głowie słowa Willa. Przez całe lata wpajał jej, że całkowity bezruch jest najlepszym rodzajem maskowania w takiej sytuacji. Wartownik nie spodziewa się, że może zobaczyć drobną sylwetkę przykucniętą w cieniu pod murem. Dlatego właśnie jej nie widzi.

Uświadomiła sobie nagle, że przez te rozmyślenia marnuje cenny czas. Wartownik był już w jednej czwartej swojej trasy, co oznaczało, że drugi zbliżał się z naprzeciwka i niedługo mógł znaleźć się w punkcie, z którego ją zobaczy.

Maddie szybko podniosła się i wspięła na blanki muru. Przez kilka sekund przyglądała się ścianie wieży, a potem wybrała dwa punkty na uchwyty dla rąk oraz szczelinę, w którą mogła wsunąć prawą stopę. Podciągnęła się i zawisała nad przepaścią, uczipiona ściany jak ogromny pająk.

Wyciągnęła lewą nogę, szukając jakiejś szczeliny w nierównej powierzchni, która mogłaby stanowić dla niej oparcie. Znalazła ją i przeniosła ciężar ciała na tę nogę, po czym przesunęła lewą rękę po murze w lewo i do góry. Znalazła kolejną sporą szczelinę między kamieniami, sprawdziła ją i uznała, że jest solidna. Kiedy już trzymała się lewą ręką, wyciągnęła prawą stopę ze szczeliny i poszukała następnego punktu podparcia.

„Zawsze zachowuj trzy punkty kontaktu ze ścianą” – uczył ją Will.

Wsunęła prawą stopę w szczelinę i obejrzała się przez ramię. Przesunęła się już kilka metrów w górę i wokół wieży, ale nadal widziała wartownika patrolującego mury. Obracał się teraz, po spotkaniu z towarzyszem w połowie drogi, i wracał pod wieżę. Maddie zamarła bez ruchu. Wydawało się mało prawdopodobne, by wartownik miał się przyglądać zewnętrznej ścianie wieży, ale w tym momencie każdy ruch mógł przykuć jego uwagę i zdradzić jej obecność. Przycisnęła się do nierównych kamieni, rozplaszczona, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Słyszała daleko w dole szum wody uderzającej o skały. Wiatr po tej stronie wieży był silniejszy i gwizdał jej w uszach.

Przez moment miała wrażenie, że jej dłonie się ześlizgują i zaraz polecą do tyłu, by roztrzaskać się o skały w dole. Stłumiła jednak to zdradliwe uczucie. Była stabilnie zakotwiczona, przytrzymując się ściany rękami i nogami. Nie miała się czego bać – poza upadkiem.

Wiedziała, że część ludzi – właściwie większość – ma skłonność do fałszywej oceny sytuacji. Właśnie dlatego wiele osób spadało z wysokości, jakby wabiło ich samo ryzyko upadku.

Znowu uspokoiła oddech, przycisnęła się do ściany i myślała o tym, że jest bezpieczna w tej pozycji, aż w końcu nagły lęk minął. Słyszała wartownika maszerującego bez pośpiechu po swoim odcinku murów. Był już prawie przy samej wieży. Maddie nasłuchiwała, dopóki nie usłyszała szurnięcia jego butów, gdy zawracał, i znowu zaczęła się wspinać.

Lewa dłoń, prawa stopa, prawa dłoń, lewa stopa. Wspinała się szybko w górę, nieruchomiejąc na moment tylko wtedy, gdy nie znajdowała od razu oparcia dla dłoni lub stopy i musiała go chwilę poszukać. Znowu się obejrzała. Przesunęła się teraz wzdłuż krzywizny wieży, więc wartownik stał się niewidoczny. Gdyby przesunęła się jeszcze kawałek, znalazłaby się na widoku wartownika na kolejnym odcinku. Teraz musiała wspinać się prosto w górę.

Zadarła głowę. Kilka metrów nad nią było okno – kamienny parapet wystawał ze ściany. Ze środka nie dochodziło żadne światło. Albo to pomieszczenie było pogrążone w ciemności, albo też miało zaciągnięte zasłony. Maddie wspięła się wyżej i zajrzała nad kamienną płytę parapetu. Okazało się, że prawdziwe było jej pierwsze przypuszczenie. Za grubą, nierówną szybą nie zobaczyła zasłon, tylko komnatę pogrążoną w ciszy i mroku.

– Co nie oznacza, że nikt tam nie śpi – mruknęła do siebie.

Uznała, że nadal jest za blisko pomieszczenia wartowników – tylko jedno piętro ponad nim. Musiała wspiąć się wyżej, zanim spróbuje wejść do wieży.

Popatrzyła w górę, odchylając się lekko od ściany. Przez taki ruch wiele osób poleciałoby do tyłu, ale Maddie poczuła tylko lekkie zawroty głowy. Odzyskała już spokój ducha i czuła się bezpieczna na wąskim występie.

Cztery metry ponad nią było kolejne okno z podobnym parapetem. Stamtąd również nie dochodziło żadne światło. Poszukała uchwytów na nierównym murze, znalazła oparcie dla prawej stopy i znowu się podciągnęła, by zacząć się wspinać równym rytmem.

Kiedy zbliżyła się do okna, przekonała się, że nie miała racji. Widać było padającą przez nie smugę światła. Maddie wydeła wargi

z rozczarowaniem i ruszyła dalej do okna piętro wyżej.

Wnętrze komnaty spowijała ciemność. Maddie przycupnęła na parapecie i spróbowała dojrzeć cokolwiek w środku.

Po kilku sekundach się poddała.

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – powiedziała do siebie.

Zmieniła odrobinę pozycję i przyjrzała się samemu oknu. Miało dwa skrzydła na zawiasach połączone na środku zamknięciem, prościutkim skoblem z haczykiem. Maddie widziała doskonale uchwyt umożliwiający podnoszenie haczyka, ale szczelina pomiędzy skrzydłami okna była wąska – zbyt wąska, by wsunąć w nią ciężkie ostrze saksy, którą nosiła u pasa. Maddie sięgnęła do szyi i wymacała pochwę noża do rzucania. Jego ostrze było cieńsze niż ostrze saksy.

Wsunęła je ostrożnie w szczelinę między połówkami okna. Siedziało ciasno, ale zaczęła nim poruszać i w końcu mogła podważyć haczyk.

Po kilku sekundach haczyk odskoczył z głośnym kliknięciem i skobel został otwarty. Zwiadowczyni napała na ostrze tak, by prawa połowa okna otworzyła się na zewnątrz i złapała skrzydło zanim uderzyło o kamienną framugę.

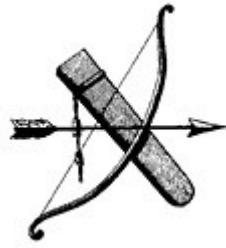
Usłyszała w komnacie jakieś poruszenie. Zamarła. Nasłuchiwała chwilę, zanim się uspokoiła. To wiatr, który wpadł przez otwarte okno poruszył coś w pomieszczeniu – gobelin albo zasłonę na ścianie. Zwiadowczyni odczekała jeszcze pół minuty, nasłuchując innych odgłosów, takich jak oddech lub poruszenie się człowieka śpiącego w łóżku.

Nic nie słyszała.

Schowała nóż do pochwy przy szyi. Ponieważ okno otwierało się na zewnątrz, nie mogła otworzyć drugiej połówki, bo blokowała ją własnym ciałem. Wybrała najprostszą metodę – przecisnęła przez otwartą połowę najpierw głowę, a potem ręce, które wyciągnęła, by wymacać podłogę. Opuściła się na nią, prześlizgując się gładko przez parapet, natychmiast zrobiła przewrót do przodu i jednym miękkim ruchem podniosła się na nogi.

Stała i czekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności, gotowa do działania z dłonią na rękojeści saksy u boku.

Komnata była pusta.





Will zakończył koncert dźwięcznym uderzeniem w struny mandoli. Skłonił się głęboko w pas, gdy w sali rozległy się gromkie brawa. Rycerze i ich damy, zasiadający przy niższych stołach, zaczęli mu rzucać monety.

Jak już wspomniano, Will miał talent do występów – był biegłym muzykiem, miał przyjemny głos i szeroki repertuar. Co więcej, wiele lat temu Berrigan nauczył go, jak dobierać piosenki, żeby zrobić wrażenie na publiczności.

„Nie zaczynaj od najlepszych” – radził doświadczony rybałt. „Musisz przykuć uwagę słuchaczy, więc początkowe piosenki powinny być dobre, porywające i ciekawe, ale nie najlepsze. Te zachowaj na później, gdy widownia będzie zasłuchana i poświęci ci całą uwagę”.

Poza tym, że Will miał talent do występów, jego słuchacze w Chateau des Falaises byli wyraźnie stęsknieni za rozrywką. Zamek znajdował się z dala od głównych szlaków handlowych. Był położony na uboczu, więc rzadko zagładali do niego wędrowni artyści.

Podróżników odstraszały także plotki krążące o baronie Lassignym. Uchodził za człowieka o nieprzewidywalnym temperamencie, ze skłonnościami do przemocy, jeśli ktoś mu się naraził. To wystarczało, by zniechęcić większość wędrownych rybałtów do udawania się w to miejsce.

Will pomyślał, że nie mieli racji. Pochylił się i zgarniał monety do kapelusza – kiedy skończył, nakrycie głowy zdecydowanie przybrało na wadze. Zauważył też, że wśród monet było niewiele miedziaków.

Przeważały srebrne, ale trafiały się także i złote. To już sporo mówiło o tym, czy warto przyjeżdżać do zamku, w którym tak rzadko pojawiali się artyści.

Will ponownie skłonił się głęboko i przesypał zawartość kapelusza do sakiewki, którą nosił u pasa.

– Rybałcie.

To słowo wybiło się ponad gwar rozmów w ogromnej sali. Will odwrócił się do barona, który wpatrywał się w niego jak jastrząb. Zwiadowca ponownie skłonił się w pas.

Baron siedział przy głównym stole ustawionym w poprzek długiej sali na podwyższeniu. Po jego lewej stronie zajmował miejsce seneszał a po prawej – baronowa. Żona Lassigny’ego była wysoką, szczupłą kobietą, z długimi, kruczoczarnymi włosami, które sięgały jej niemal do pasa. Will pomyślał, że jest naprawdę piękna, chociaż nie zaskakiwało go to. Mężczyzna taki jak Lassigny zawsze dbał, by jego towarzyszka wyglądała odpowiednio. Uroda nie przysłoniła jednak lekceważenia, z jakim spoglądała z góry, dosłownie i w przenośni, na Willa i pozostałych biesiadników w sali jadalnej. Na jej ustach gościł wyniosły uśmiech – było oczywiste, że uważa się za lepszą od wszystkich obecnych.

Przy stole barona zasiadało jeszcze dwóch rycerzy oraz pierwsza dama dworu baronowej.

– Milordzie? – odezwał się Will w odpowiedzi na to lakoniczne wezwanie.

Lassigny uniósł rękę, by go przywołać.

– Możesz się zbliżyć – powiedział. W jego głosie nie było życzliwości ani serdeczności, żadnej pochwały za dobrze wykonaną pracę. Will odłożył mandolę na najbliższy stół i podszedł do podwyższenia, by móc popatrzeć w nieprzeniknione oczy barona.

Stał i czekał. Nie miał nic do powiedzenia, zaś Lassigny mierzył go taksującym, badawczym spojrzeniem od stóp do głów. W końcu baron odezwał się znowu:

– Gdzie jest dzisiaj twoja córka?

Will nie spodziewał się tego pytania, ale nie okazał zaskoczenia ani nie zawahał się. Pomyślał, że niewiele umyka uwagi barona.

– Przeziębła się lekko, milordzie – powiedział. – Położyła się wcześniej spać.

Pomyślał, że jest mało prawdopodobne, by baron zweryfikował tę informację. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż stan zdrowia dziewczyny podróżującej z prostym rybałtem. Na wszelki wypadek Will i Maddie położyli jednak pod kocem dwie poduszki i zaciągnęli kotarę przy jej niszy do spania. Na pierwszy rzut oka w środku można było dostrzec skuloną pod kocem sylwetkę. Gdyby nie ograniczono się do pierwszego rzutu oka, mogłyby paść pytania. Jednakże to by oznaczało, że działania Willa i Maddie już wcześniej ściągnęły na nich podejrzania.

Will pomyślał nagle, że być może Lassigny usłyszała o dziewczynie przyłapanej na wyższych piętrach donżonu. Jednakże następne zdanie barona zdawało się zaprzeczać tej tezie.

– Czyli ominął ją twój występ – powiedział Lassigny. Trudno było zdecydować, czy miało to być stwierdzenie, czy też pytanie.

Will lekko wzruszył ramionami i uśmiechnął się z pokorą.

– Słyszała już, jak śpiewam, milordzie – odparł.

Lassigny nie odwzajemnił uśmiechu. Skinął tylko głową.

– Oczywiście. Jak długo jesteście w tym kraju? – zapytał nagle.

Will zaczął dostrzegać metodę w tym przepytывaniu: seria pytań i nagłe przejście na inny, kompletnie odmienny temat.

– Od kilku tygodni, milordzie. Prawie od miesiąca – odparł.

Lassigny zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

– A mimo to masz w repertuarze sporo galijskich piosenek – zauważył.

Will skinął głową.

– Dobry rybałt zawsze przygotowuje się do występów przed nową widownią, milordzie. Spotkałem kilku galijskich rybałtów podróżujących po Araluenu. Zawsze staramy się sobie nawzajem pomagać i często uczymy się od siebie piosenek.

Will pomyślał z kwaśnym uśmiechem, że nie dotyczyło to uczenia innych swoich najlepszych piosenek. Te należało podkraść, gdy zagraniczni koledzy nie zwracali na nas uwagi.

– Szkoda tylko, że masz tak ohydny akcent. Psuje całe dobre wrażenie.

W sali panowała cisza. Gościom przy stołach podobały się galijskie piosenki ludowe, które Will włączył do repertuaru. Nikt przedtem nie narzekał na jego akcent – ale nikt też nie zamierzał

teraz spierać się z opinią Lassigny'ego. Will ponownie pochylił głowę z pokorą.

– Staram się, jak mogę, milordzie – odparł uniżenie.

Lassigny prychnął pogardliwie.

– Jeśli chcesz występować w moim kraju, powinieneś mieć dość przyzwoitości, żeby wymawiać nasze słowa poprawnie – oznajmił lodowato.

Will nie potrafił wymyślić odpowiedzi, która nie zabrzmiałaby jak próba kłócenia się o swoje racje. Milczał, wpatrując się w czarne, nieprzeniknione oczy Lassigny'ego.

W końcu baron odchrząknął lekceważąco i odwrócił wzrok od Willa, by spojrzeć na seneszała.

– Twój występ był jednak znośny pomimo wszystkich niedociągnięć – stwierdził. – Zapłać mu, Gastonie.

Seneszał wyciągnął niedużą skórzaną sakiewkę i rzucił ją Willowi, który złapał woreczek i spojrział na niego szybko, ważąc go w dłoni. Nie był szczególnie ciężki. Nawet jeśli zawartość była ze złota, trudno uznać to za hojną zapłatę za jego pracę. Z drugiej strony pomyślał, że słowo „hojność” zdecydowanie nie pasuje do barona Lassigny'ego. Will schował sakiewkę do kieszeni kurtki i zasalutował.

– Wasza lordowska mość jest zbyt wspaniałomyślna – mówiąc to, pilnował się, by w jego głosie nie wybrzmiał sarkazm, który cisnął się na usta. Lassigny patrzył na niego, nadal bez mrugnięcia okiem. Will nagle zaczął się zastanawiać, czy przez cały ten czas galijski baron mrugnął chociaż raz. Nie potrafił sobie tego przypomnieć.

– Owszem, jestem. – Lassigny odwrócił się do swojej żony, która przysłuchiwała się tej rozmowie z pogardliwym uśmiechem wykrzywającym pełne wargi. – Co powiesz, moja droga? Czy ten rybałt ma jeszcze dla nas wystąpić?

Baronowa wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Śpiewa znośnie, a niebiosa mi świadkiem, że niewiele tu mamy wieczornych rozrywek.

Will pomyślał, że to należało uznać za huczne owacje.

– W takim razie wszystko jest jasne – powiedział Lassigny. – Zaśpiewasz dla nas ponownie szóstego dnia.

Will niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

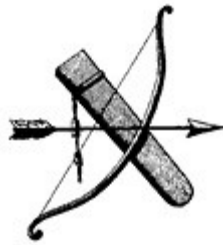
– Myślałem, że szóstego dnia o świcie wyjedziemy stąd, milordzie
– powiedział. Nie zaszkodziło dać baronowi do zrozumienia, że nie zamierza zostawać tutaj na dłużej.

Wyraz twarzy Lassigny'ego nie uległ zmianie.

– Wystąpisz dla nas tutaj szóstego dnia – powtórzył tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Czy to jasne?

– Absolutnie, milordzie – odparł Will i znowu się uklonił.

– I następnym razem dopilnuj, by twoja córka była obecna – dodał Lassigny.





Maddie podeszła do drzwi, przyłożyła do nich ucho, wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać.

Nie dobiegały jej żadne odgłosy, które świadczyłyby, że ktoś znajduje się w korytarzu. Położyła dłoń na klamce i powoli ją nacisnęła. W drzwiach tkwił ogromny klucz, ale zwiadowczynie założyła, że skoro komnata jest pusta, nie będą zamknięte. Miała rację. Zamek szczęknął, na szczęście bardzo cicho, a Maddie uchyliła drzwi.

Ponownie niczego nie usłyszała, choć to jeszcze nie znaczyło, że w korytarzu nie czeka na nią tuzin uzbrojonych żołnierzy. Przyłożyła oko do wąskiej szczeliny i spróbowała coś wypatrzyć. Miała niewielkie pole widzenia, ale nikogo nie zauważyła.

– Raz kozie śmierć – mruknęła i otworzyła drzwi, poruszając się tak miękko, jak tylko mogła, bez pośpiechu czy niepotrzebnych hałasów. Wyszła na korytarz z dłonią na rękojeści saksy i szybko się rozejrzała.

Korytarz, pogrążony w półmroku rozjaśnianym przez szereg lamp olejnych, był pusty. Na środku wieży znajdowały się schody, zaś komnaty rozmieszczono wzdłuż murów zewnętrznych. Maddie szybko podeszła do schodów i spojrzała w górę. Nie były spiralne, jak te w donżonie. Składały się z prostych odcinków – na każde piętro przypadały dwa, tak że zmuszały do zmiany kierunku w połowie drogi.

Klatka schodowa miała przekrój kwadratu i w górze znikwała w ciemności. W dole Maddie mogła dostrzec słaby blask światła. Nie

było słycać żadnych dźwięków. Oszacowała, że jest na szóstym piętrze, za wysoko, żeby usłyszeć odgłosy rozmów z trzeciego, które znajdowało się na wysokości przejścia na murach.

Ostrożnie weszła na schody, świadoma tego, że bardzo często celowo są zrobione tak, żeby uginać się, gdy ktoś na nich stanie i alarmować skrzypieniem znajdujących się wyżej obrońców. Dlatego stawiała z boku stopni, by zminimalizować to ryzyko. Kiedy weszła stopień wyżej, usłyszała ciche skrzypnięcie, więc stąpała powoli, sprawdzając każdą deskę, zanim oparła na niej ciężar ciała. Piąty stopień ugiął się pod jej butem bardziej niż pozostałe i wiedziała, że zaraz skrzypnie, gdy obluźowane deski zaczną o siebie trzeć. Cofnęła stopę i przeniosła ją wyżej. Tym razem nie rozległ się żaden dźwięk, więc szła dalej, za każdym razem sprawdzając kolejny schodek. Dotarła do podestu, na którym musiała zmienić kierunek. Nie dało się wykluczyć, że tu także będą obluźowane deski, więc Maddie nadal wspinała się ostrożnie – trafiła jedną taką deskę, ale w porę ją ominęła. Zaraz potem znalazła się na drugim ciągu schodów prowadzących na siódme piętro.

Dotarła na górę niemal bezszelestnie. Przykucnęła, żeby nasłuchiwać. Zauważyła, że to piętro było oświetlone jaśniej niż niższe.

Nagły wybuch śmiechu zaskoczył ją i sprawił, że serce zaczęło jej uderzać jak młotem. Uznała, że gdzieś w głębi korytarza trzech lub czterech mężczyzn zaczęło się nagle śmiać z jakiegoś dowcipu. Kiedy rechot umilkł, dziewczyna usłyszała głosy, ale na tyle stłumione, że nie rozróżniała słów. Nadal się nie podnosząc i trzymając twarz możliwie blisko podłogi, wyjrzała ponad krawędź schodów.

W odległości pięciu metrów zobaczyła czterech uzbrojonych żołnierzy, pilnujących drzwi. Na tym piętrze oprócz lamp olejnych znajdowały się także dwa duże świeczniki stojące na stole, co tłumaczyło lepsze oświetlenie. Cztery krzesła z płótna i drewna ustawiono w półokrąg przodem do drzwi, zaś na stole Maddie zobaczyła jeszcze dzban i cztery puchary. Jeden z mężczyzn napełnił naczynia, a jego towarzysze szybko je opróżnili. Zaraz potem rozległ się następny wybuch śmiechu.

Maddie wykorzystała okazję, ponieważ wiedziała, że uwaga mężczyzn będzie w tym momencie przytępiona. Prześlizgnęła się tuż

przy poręczy schodów na następny ciąg i ruszyła dalej w górę. Teraz weszła już w rytm sprawdzania każdego stopnia, zanim oparła na nim ciężar ciała, więc poruszała się znacznie szybciej. Minęła podest w połowie drogi bez zatrzymywania, zaś głosy za jej plecami przycichły, stłumione przez dzielące ją od mężczyzn schody.

Zwolniła zanim pokonała cztery ostatnie stopnie. Światło z góry było przyćmione, nie słyszała także głosów, jeśli nie liczyć odległego szmeru dobiegającego z dołu, przerywanego od czasu do czasu wybuchami śmiechu.

Ósme piętro, ostatnie, miało trochę inny układ od pozostałych. Zamiast komnat rozmieszczonych na obwodzie była tu pusta przestrzeń. Nie paliły się żadne lampy, a jedynym źródłem światła był wpadający przez okna blask księżyca. Maddie podniosła się i wyszła na środek tego pomieszczenia, żeby się rozejrzeć.

Po jednej stronie zobaczyła duży stojak z kuszami i kołczanami pełnymi bełtów. Była tu także drabina. Zwiadowczyni wspięła się po niej szybko, dotarła do kłapy w suficie, podniosła ją i rozejrzała się wokół. Można było wydostać się tędy na płaski dach otoczony blankami. Były to stanowiska obronne, z których kusznicy strzelali do wrogów atakujących zamek i próbujących się wspinać na mur kurtynowy. Pod ścianą znajdowały się prosty żuraw oraz kilka dużych kotłów.

– Na wrzący olej lub wodę – mruknęła Maddie. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła na środku palenisko. Kotły po zdjęciu z ognia były zaczepiane na żurawiu i podnoszone, a ich zawartość wylewano na wroga w dole.

Maddie opuściła klapę i zeszła po drabinie, by jeszcze raz rozejrzeć się po ósmym piętrze. Poza kuszami były tu także stojaki pełne włóczy, z tuzin pryczy oraz kilka stołów z ławami. Było jasne, że w razie zagrożenia mogli tu stacjonować żołnierze broniący zamku. Podobnie wyglądały wyższe piętra wież w Zamku Araluen.

Zwiadowczyni zorientowała się w stronach świata i podeszła do jednego z okien, które musiało znajdować się bezpośrednio nad komnatą pilnowaną przez żołnierzy. Wychyliła się i wyjrzała w dół. Cztery metry poniżej zobaczyła okno, z którego bił blask.

– Na pewno tam przetrzymują Gilesa – mruknęła do siebie i rozwinęła linę, którą miała przewieszoną przez ramię. Rozejrzała

się, by zdecydować, o co może ją zaczepić, i wybrała jedno z łóżek. Sprawdziła je i spróbowała popchnąć, by mieć pewność, że nie przesunie się zbyt łatwo po podłodze pod jej ciężarem. Nie chciała, by jakiś hałas zaalarmował strażników piętro niżej. Jednakże prycza była zbita z grubych desek i nawet nie drgnęła, gdy Maddie próbowała ją przesunąć.

Zwiadowczyni szybko zawiązała linę na nodze łóżka i podeszła do okna.



– Jest na siódmym piętrze, w komnacie po zewnętrznej stronie zamku – powiedziała Maddie. Will rzucił dyskretnie okiem na wieżę.

– Jesteś pewna, że to on? – zapytał.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Na tyle, na ile to możliwe. Weszłam na ósme piętro i zjechałam na linie, żeby zajrzeć przez okno. To młody chłopak, niski, w kosztownym ubraniu. Kto inny mógłby to być?

– Czy wyglądał jak na portrecie, który pokazał nam król? – upewnił się Will.

Maddie się zawahała.

– Kto wygląda tak jak na portrecie? – odparła w końcu. – To mógł być on, ale podejrzewam, że malarz zdecydowanie mu pochlebił, kiedy malował ten obraz. Na przykład mocniej zarysował podbródek. Ale był zdecydowanie podobny do króla.

Był poranek, Maddie spacerowała z Willem po ogrodzie, gdyż było to najlepsze miejsce, by porozmawiać na osobności. Poza kilkoma słowami, które zamienili, kiedy Maddie wróciła poprzedniej nocy do wspólnej sali, to była dla nich pierwsza okazja, by wymienić się informacjami.

– Co jest na najwyższym piętrze? – zapytał Will.

– Pojedyncze pomieszczenie. Wydaje mi się, że stanowi część systemu obronnego na wypadek ataku. Jest z niego wejście na dach. Znalazłam tam także stojaki z kuszami i bronią białą oraz prycze dla żołnierzy.

– Nie próbowałaś z nim porozmawiać?

Maddie potrząsnęła głową.

– Nie. Uznałam, że mogliby nas usłyszeć wartownicy pod drzwiami. Wiedziałam, że tak czy inaczej musielibyśmy się z nim porozumieć jeszcze raz, żeby uprzedzić o naszych planach. Uznałam, że w ten sposób ograniczę ryzyko.

Will zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Masz rację – powiedział w końcu.

– Jak go stamtąd wydostaniemy? – zapytała Maddie.

Will potarł podbródek kciukiem i palcem wskazującym.

– Myślę, że wyprowadzenie go z wieży będzie stosunkowo łatwe. Wyciągniemy go na najwyższe piętro, zejdziemy po schodach, a potem opuścimy z okna na szóstym piętrze. Możemy go obwiązać liną, jeśli nie będzie umiał się wspinać.

Maddie przewróciła oczami.

– To galijski książę. Wątpię, by umiał się wspinać. Wątpię, by umiał cokolwiek.

– Gorzej będzie z wyprowadzeniem go z zamku. Jedyna droga wiedzie przez główną bramę i groblę. Ukryjemy go w stajni do szóstej rano, kiedy są otwierane bramy zamku. Kuchnia zaczyna podawać śniadanie dopiero około ósmej, a jak zaobserwowaliśmy, on dostaje jedzenie później niż wszyscy. Jest szansa, że nikt nie zauważy jego zniknięcia do momentu przyniesienia posiłku. Wyjedziemy z zamku, mówiąc, że chcemy trochę rozruszać konie. Możemy ukraść dla niego wierzchowca i powiedzieć, żeby jechał kilka metrów za nami. – Will skinął głową w stronę głównej bramy. – Od kilku dni obserwuję strażników i o ile rzeczywiście sprawdzają wchodzących do zamku, nie zwracają większej uwagi na tych, którzy go opuszczają. Pewnie uważają, że skoro jesteś w środku, to już zostałeś sprawdzony. W najgorszym razie, jeśli ten podstęp się nie uda, być może trzeba będzie wywalczyć drogę. Przy bramie jest sześciu wartowników, ale jeśli weźmiemy ich zaskoczenia, powinno nam się udać stąd wydostać. Książę może wyjechać z zamku, kiedy my odwrócimy uwagę strażników. A potem będziemy uciekać, jakby gonił nas sam diabeł.

Maddie wydeła wargi.

– Trochę za dużo „jeśli” jak na mój gust – zauważyła.

Will wzruszył ramionami.

– Masz jakiś inny pomysł?

Zwiadowczynie potrząsnęła głową.

– Ja też nie mam. Ten plan jest przynajmniej prosty, a to zawsze najlepiej.

– Możliwe – zgodziła się Maddie.

– Jeszcze jedno – dodał Will. – Musimy to zrobić w ciągu najbliższych dwóch dni. Wydaje mi się, że Lassigny zaczyna coś podejrzewać. Wypytywał mnie, gdzie byłeś wczoraj wieczorem i zażądał, żebym zaśpiewał dla niego znowu szóstego dnia, chociaż nie wydaje mi się, żeby podobało mu się moje śpiewanie.

– Podejrzewać? Co takiego może podejrzewać? – zapytała Maddie.

Will potrząsnął głową.

– Jesteśmy obcy. Jesteśmy cudzoziemcami. Zaś on siedzi głęboko w spiskach i intrygach. Tacy ludzie zawsze są podejrzliwi.

– W takim razie im szybciej wydostaniemy księcia, tym lepiej – stwierdziła Maddie. – Zróbmy to dzisiaj w nocy.

Will zastanowił się, a potem powoli pokiwał głową.

– To samo myślałem – odpowiedział.





Zaplanowali rozpoczęcie misji ratunkowej na godzinę trzecią po północy. Księżyc zachodził koło pierwszej, a gęste chmury sprawiały, że mogli liczyć na głęboką ciemność i cienie pozwalające się ukryć.

Było to ważne, ponieważ musieli opuścić się przy ścianie wieży na dół, a potem zejść po schodach z murów tak, żeby nie dostrzegli ich wartownicy. Dla Maddie było to w miarę łatwe, ale przy trzech osobach ryzyko zauważenia znacznie wzrastało – szczególnie biorąc pod uwagę, że książe nie był nauczony, jak się skradać.

Dzień mijał powoli. Wczesnym popołudniem zajrzeli do stajni pod pretekstem nakarmienia i napojenia koni. Zabrali ze sobą rzeczy i schowali je w głębi boksu. Maddie wrzuciła tam także dodatkowy stosik siana, w którym zamierzali ukryć księcia Gilesa, kiedy już przyprowadzą go do stajni. Will obejrzał skórzany pokrowiec na łuki. Wydawało się, że nikt go nie ruszał, od kiedy zostawili go w stajni. W środku nadal były oba łuki i kołczany, a także dwie podwójne pochwy, każda z saksą i nożem do rzucania.

Jedyną rzeczą, jakiej Will nie zabrał ze sobą, była mandola. Wisiała na kołku przed jego wnęką do spania w donżonie, gdyby zabrał ją do stajni, byłoby to zbyt podejrzane. Dawałoby jasny sygnał, że rybałt planuje wyjazd.

– Szkoda – oznajmił, kiedy wrócili do wspólnej sali. – Będzie mi brakować tej mandoli.

Maddie uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Całe szczęście, że to nie twój gilet – powiedziała.

Gilet był dumą i chlubą Willa, mandolą wykonaną przez jednego z najlepszych lutników w Araluenie, którą zwiadowca otrzymał w prezencie wiele lat temu. Był to niezwykle kosztowny instrument, więc Will uznał, że nie będzie go narażać na niebezpieczeństwa podróży.

Wieczorny posiłek podano o zwykłej porze. Była to gęsta potrawka warzywna z chrupiącym świeżym chlebem, wypiekanym na miejscu. Na stołach jak zwykle stały dzbany z piwem, winem i wodą. Żołądek Maddie skręcał się z niepokoju przed oczekującą ich misją, więc ledwie skubała jedzenie, dopóki Will jej nie skarcił.

– Najedz się – polecił. – Nie wiadomo, kiedy będziesz mogła zjeść następny posiłek.

Maddie skinęła głową, przyznając, że jest to rozsądne podejście, i przyłożyła się do opróżnienia miski. Dania podawane tutaj były proste, a menu powtarzalne, ale wszystkie potrawy były smaczne i pożywne. Inna rzecz, że w tym momencie, jeśli chodzi o odczuwany smak, Maddie równie dobrze mogłaby jeść siano.

Zakończyli obiad kawą, jak zwykle osłodzoną miodem. Will namówił jednego ze służących, by przynosił im niedużą miseczkę do każdego posiłku.

Kiedy sprzątnięto naczynia, ludzie w sali wspólnej podzielili się na grupki i ustawili ławy w kręgi, by rozmawiać i śmiać się razem, pijąc piwo i wino. Will wstał od stołu.

– Prześpijmy się – powiedział. – Czeka nas ciężka noc.

Maddie odpowiedziała na to ziewnięciem. Prawie nie spała poprzedniej nocy, a w dzień nie miała okazji na drzemkę. Kiedy jednak skierowali się do swoich posłań, zatrzymał ich jeden ze służących.

– Może kilka piosenek, rybałcie? – zagadnął. Mówił przyjaźnie, wskazując grupkę towarzyszy, którzy siedzieli w półkolu i patrzyli na Willa z nadzieją. Zwiadowca ukrył niechęć pod uśmiechem. Ostatecznie żaden rybałt nie odmówiłby takiemu zaproszeniu, ponieważ stanowiło ono okazję, by trochę zarobić.

Zdejmując mandolę z kołka na ścianie, podziękował sobie w duchu, że nie postanowił zabrać jej do stajni wraz z resztą rzeczy. Trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego jej nie ma. Podszedł do półkola wyczekujących słuchaczy, przyciągnął sobie stół i usadowił się

przed nimi. Jeszcze kilka osób dołączyło do widowni, widząc, że Will szykuje się do śpiewania. Maddie uznała, że jej nieobecność mogłaby zwrócić uwagę, więc usiadła za plecami słuchaczy, oparta o jeden z długich stołów.

Pomyślała, że Will, który właśnie zaczął pierwszą piosenkę, ma za dobrze. W ten sposób mógł czymś zająć myśli, ona zaś siedziała i zastanawiała się nad wszystkim, co może pójść nie tak.

Znowu czuła w żołądku twardy supeł. Jak zawsze czekanie było najtrudniejsze. Mimo zdenerwowania, a może właśnie z jego powodu, ziewnęła szeroko. Zamknęła oczy z nadzieją, że melodyjne dźwięki mandoli i kojący głos Willa pomogą jej się zrelaksować.

Po kilku minutach wyczuła jakieś poruszenie wśród otaczających ją ludzi, więc otworzyła oczy, żeby się rozejrzeć. Seneszał, sir Gaston, wszedł do sali i przyglądał się uważnie obecnym. Ponieważ widział, że Will występuje przed niewielką, ale zachwyconą widownią, obserwował go przez dłuższą chwilę, przytupując stopą do rytmu. Will podniósł wzrok, spojrzał na niego i powitał lekkim skinieniem głowy.

Sir Gaston odpowiedział podobnym skinieniem, a potem odwrócił się i skierował do ogromnych drzwi. Najprawdopodobniej miał zamiar udać się do sali jadalnej piętro wyżej, by zdać relację baronowi, z tego, co zobaczył.

Maddie pomyślała, że w sumie to dobrze, że służący zaczepił Willa. Sir Gaston przekaze baronowi, że w sali dla służby nie dzieje się nic niepokojącego.

Will zaśpiewał jeszcze dwie piosenki po wyjściu seneszała, po czym zakończył występ. Słuchacze z entuzjazmem bili brawo, a potem zaczęli wstawać, jeden po drugim, i wrzucać monety do kapelusza. Potem rozeszli się w małych grupkach.

Will zgarnął pieniądze do sakiewki, a potem odwiesił mandolę na kołek. Zwiadowczyni zauważyła, że przez kilka sekund gładził wypolerowane drewno, jakby w geście pożegnania. Potem spojrzał na Maddie i znaczącym ruchem głowy wskazał niszę do spania.

Maddie podniosła się i podeszła do wąskiego łóżka. Zdjęła buty i położyła się, a potem przykryła kocem. Will zajrzał przez kotarę.

– Obudzę cię o trzeciej – powiedział.

Zwiadowczyni skinęła głową. Wiedziała, że Will ma zdumiewający dar budzenia się o dowolnie wybranej przez siebie godzinie. Zaciągnął kotarę. Maddie leżała na plecach, oddychała głęboko i nasłuchiwała stłumionych odgłosów rozmów.

Zauważyła to dziwne zjawisko, że kiedy człowiek jest na wpół śpiący, ale jeszcze przytomny, znacznie wyraźniej słyszy głosy i może przysłuchiwać się rozmowom prowadzonym półgłosem w sporej odległości.

Znowu ziewnęła, ale nie była w stanie zasnąć, nawet kiedy w sali zaczęło się robić coraz ciszej i ciemniej, a służący kładli się do łóżek i gasili latarnie. Odtwarzała w głowie cały plan i wyliczała rzeczy, które mogą pójść nie tak.

Wartownik na murze może zauważyć ją albo Willa, kiedy będą się wspinać na wieżę. A co będzie, jeśli księżę Giles wrzaśnie ze strachu, kiedy wejdą do jego komnaty, i zaalarmuje tym strażników pod drzwiami? A jeśli spanikuje i narobi hałasu lub spadnie, kiedy będą go wciągać na najwyższe piętro? A jeśli zostaną zauważeni, kiedy będą się opuszczać na linach z szóstego piętra na mur? A jeśli stajenny się obudzi, kiedy wejdą do stajni, by poczekać tam do rana?

Jeśli, jeśli, jeśli. Powiedziała Willowi, że w tym planie ucieczki było za dużo „jeśli”. Teraz wszystkie one kłębiły się w jej głowie, przekreślając jakiegokolwiek szanse na sen i sprawiając, że Maddie wierciła się i przewracała z boku na bok na cienkim sienniku.

Dzwon na wieży nad wartownią wybił dwunastą. Maddie liczyła uderzenia. Goniąc myśli nie pozwoliła jej zasnąć, więc nadal całkowicie rozbudzona, słyszała dzwon wybijający pierwszą, a potem drugą. Wtedy, jak na złość, w ostatniej godzinie zasnęła i obudziła się gwałtownie, gdy ręka Willa ostrożnie potrząsnęła jej ramieniem. Usłyszała dzwon wybijający trzecią.

– Czas ruszać – powiedział szeptem Will.





Zawiasy w głównych drzwiach prowadzących do donżonu były zardzewiałe i skrzypiały głośno. W dzień nie stanowiło to poważniejszego problemu, ponieważ ten dźwięk wtapiał się w odgłosy dobiegające z dziedzińca.

Teraz jednak, nad ranem, na zewnątrz panowała cisza, a skrzypienie byłoby słyszalne zarówno na dziedzińcu, jak i na murach. Will zabrał ze sobą małą butelkę oleju i kiedy stanęli pod drzwiami, polał nim obficie wszystkie trzy potężne zawiasy.

Maddie wierciła się niecierpliwie, kiedy czekali, aż olej przeniknie do wszystkich szczelin w zawiasach. Will zmarszczył brwi i bezgłośnie powiedział jej, żeby się uspokoiła. Maddie westchnęła cicho i spróbowała się opanować. Miała wrażenie, że minęły całe godziny, zanim Will w końcu skinął głową i położył rękę na potężnym pierścieniu zastępującym klamkę. Obrócił go i uchylił drzwi na kilka centymetrów, by sprawdzić efekt działania oleju.

Rozległo się ciche skrzypnięcie, kiedy drzwi się poruszyły, ale zaraz potem zawiasy umilkły. Will otworzył drzwi jeszcze kilka centymetrów szerzej. Ponieważ poruszały się bezgłośnie, popchnął je na tyle, żeby Maddie mogła przejść.

– Biegnij – powiedział szeptem.

Maddie wyślizgnęła się przez szczelinę i, przyciskając się do muru, skierowała się w lewo, w przeciwną stronę niż wieża. Gdyby ktoś ich zauważył na dziedzińcu, byłoby lepiej, gdyby nie szli w tym momencie w stronę wieży, w której przetrzymywano Gilesa. Will zdecydował, że najpierw pójdą do stajni, a potem przejdą tuż pod

murem do schodów prowadzących na górę przy południowo-zachodniej wieży, kryjąc się w cieniu pod przejściem dla obrońców.

Obserwował, jak ciemna sylwetka Maddie zbliża się do stajni, a potem znika w cieniu. Wtedy sam wyslizgnął się przez drzwi, zamknął je ostrożnie za sobą i poszedł w ślady młodej zwiadowczynie.

Dziedziniec po tej stronie nie był całkowicie pusty – to był kolejny powód, dla którego Will wybrał tę trasę. Stały tu kamienne ławki, a także koryto z wodą dla koni i kilka bloków ułatwiających dosiadanie wierzchowców. Wszystko to pozwalało ukryć ich ruchy przed każdym, kto mógł przypadkiem spojrzeć w tę stronę. Will przemykał się od jednej osłony do drugiej, od jednego cienia do następnego. Poruszał się szybko, ale bez nadmiernego pośpiechu, który mógłby zwrócić uwagę lub zostać dostrzeżony kątem oka przez jednego z wartowników.

Will minął stajnię, chowając się na kilka sekund w ciemności pod umieszczonymi we wnęce głównymi drzwiami. Czekał, słuchając i patrząc, czy cokolwiek mogłoby świadczyć, że zostali dostrzeżeni. Nie rozległ się żaden okrzyk ani dźwięk alarmu, więc Will ruszył dalej, przemykając przez ostatni kawałek otwartej przestrzeni do cienia pod przejściem na murach. Kiedy bezgłośnie wsunął się pod osłonę ciemności, przykucnięta do tej pory Maddie wstała. Will skinął głową i gestem wskazał schody przy południowo-zachodniej wieży.

Słyszeli nad głowami miarowe kroki wartowników spacerujących drewnianym przejściem na górze, ale sami poruszali się niemal bezgłośnie, tuż przy murze. Kiedy dotarli do schodów, Maddie przykucnęła u ich podstawy, żeby zaczekać na Willa, ale on dał jej sygnał, żeby ruszała dalej. Zaczęła na czworakach wspinać się po schodach. Will obserwował ją z dołu i zobaczył, że znieruchomiała, gdy wartownik się zbliżył. Żołnierz zaraz zawrócił, a Maddie zdążyła dotrzeć do szczytu schodów, zatrzymując się poniżej poziomu przejścia. Will bezszelestnie poszedł w jej ślady i przyczał się tuż za nią.

Wcześniej zaplanowali dalszą sekwencję. Kiedy wartownik zawrócił w stronę środka muru, Maddie prześlizgnęła się na przejście i przebiegła pod blanki przy wieży. Will czekał. Nie było dość czasu, żeby oboje zdążyli wykonać ten manewr i dość miejsca,

by mogli się razem ukrywać w cieniu. Zwiadowca ostrożnie wyjrzał z otworu schodów. Wartownik był w połowie swojego odcinka, zaś jego towarzysz znajdował się jeszcze na tyle daleko, że nie mógł zauważyć ciemnej sylwetki Maddie, która wspięła się na blanki, przykucnęła, a potem uczepliła się ściany i przesunęła wzdłuż jej krzywizny, znikając Willowi z oczu.

Will czekał, przykucnięty w ciemności, aż wartownik powróci. Był pewien swojej umiejętności pozostawania w ukryciu – ostatecznie robił podobne rzeczy już od ponad dwudziestu lat. Mimo to jego serce biło teraz szybciej. Zawsze istniało ryzyko, że coś pójdzie nie tak.

Liczył powoli w myślach, słysząc, jak wartownik się zbliża, a następnie zawraca. Musiał dać Maddie czas, by wspięła się na górę i spuściła mu linę. Kiedy doliczył do dwustu, wartownik akurat szedł znowu w jego stronę. Will musiał teraz poczekać, aż żołnierz dotrze do wieży, zawróci i pójdzie w przeciwnym kierunku. Słyszał coraz głośniejsze kroki. Kiedy zatrzymały się nad głową wartownika, usłyszał jego ziewnięcie. Potem buty szurnęły po deskach, kiedy mężczyzna zawrócił i ruszył znowu przed siebie.

Will przykucnął i na ugiętych nogach przebiegł przez przejście pod mur.



Maddie czekała niecierpliwie w komnacie na szóstym piętrze. Wiedziała, że Will musi dostosować swoje ruchy do rytmu patrolującego mur wartownika, ale wydawało jej się, że zwiadowca straszliwie się ociąga.

Bez najmniejszego problemu weszła do tej samej komnaty co ostatnio. Otwarte przez nią poprzedniego wieczoru okno nie zostało zamknięte. Było jasne, że w tej komnacie nikt nie mieszka. Dzisiaj Maddie miała ze sobą kawałek wygiętego drutu, który pozwoli jej zamknąć haczyk, kiedy będą schodzić na dół. W ten sposób nie pozostanie żaden dowód na to, że właśnie tędy wy dostał się zbiegły książę.

Maddie wyglądała przez okno i patrzyła w dół, czekając, aż pojawi się Will. Nie obawiała się, że ktoś może ją zobaczyć. W tym miejscu,

w połowie krzywizny wieży, była schowana przed wzrokiem wartowników. W końcu zobaczyła ciemny kształt poruszający się po ścianie wieży. Zagwizdała cicho i dostrzegła jaśniejszy owal twarzy, gdy Will spojrział w górę. Maddie opuściła przygotowaną linę aż do czekającego zwiadowcy, a potem kilkoma węzłami przymocowała ją do nogi pryczy.

Will chwycił linę, odchylił się do tyłu, zaparł stopami o nierówną powierzchnię wieży i zaczął się wspinać.

– Ty sobie możesz włązić po ścianie jak ogromny pajak – powiedział wcześniej do Maddie. – Ale ja jestem od ciebie starszy i cięższy. Będę bardzo wdzięczny, jeśli mi spuścisz linę.

Mimo wcześniejszych zastrzeżeń wspinał się szybko, a kiedy znalazł się na parapecie i dołączył do Maddie w komnacie, miał tylko lekką zadyszkę. Dziewczyna pomyślała, że Will nadal jest w świetnej formie.

Podeszła do drzwi – nie musieli niczego sobie mówić. W ciągu dnia drobiazgowo zaplanowali kolejne etapy. Tak jak poprzednio Maddie uchyliła drzwi i sprawdziła, co się dzieje na zewnątrz. Nie zauważyła niczego niepokojącego, więc oboje jak milczące widma przekradli się do schodów i ruszyli w górę.

Maddie знаła już drogę i opisała ją dokładniej Willowi. Kiedy znaleźli się wyżej, usłyszeli przytłumione głosy dobiegające z siódmego piętra. Strażnicy nie zachowywali się tak hałaśliwie jak poprzedniego dnia, ale z drugiej strony było już znacznie później i niewykluczone, że część z nich spała, podczas gdy pozostali pilnowali drzwi. Maddie wskazała w górę kciukiem, a potem wraz z Willem przemknęli się przy balustradzie, żeby wejść na ostatnie piętro.

Nie tracili czasu na rozglądanie się po nim, od razu skierowali się do okna, które poprzednio wykorzystała Maddie. Will otworzył je, podczas gdy zwiadowczyni ponownie przywiązała linę do łóżka. Oboje przyjrzeni się oknu znajdującemu się bezpośrednio pod nimi. Maddie złapała linę i chciała wejść na parapet, ale Will powstrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Pójdę pierwszy – powiedział cicho. – Kiedy zobaczysz, że wchodzi przez okno, idź w moje ślady.

Maddie skinęła głową i odsunęła się, żeby Will mógł wspiąć się na parapet i usiąść z nogami wiszącymi nad przepaścią. Złapał linę i jednym ruchem znalazł się na zewnątrz, zaparł się stopami o ścianę i zaczął schodzić do okna piętro niżej. Maddie wychyliła się i patrzyła, jak przysiadł na parapecie. Chmury rozstały się na moment. W świetle gwiazd dziewczyna zobaczyła błysk saksy i usłyszała ciche szcęknięcie, gdy Will otworzył skobel w oknie. Potem zniknął jej z oczu we wnętrzu komnaty. Maddie chwyciła oburącz linę i zsunęła się z parapetu.



Piętro niżej Will stał przy oknie i starał się zorientować w sytuacji. Komnatę rozjaśniał blask małej lampy ustawionej na stole pośrodku. Albo Giles nie lubił ciemności, albo – co bardziej prawdopodobne – lampa musiała się palić, żeby strażnicy mogli tu zajrzeć od czasu do czasu. Z całą pewnością mieli zrobiony w drzwiach otwór obserwacyjny.

Sam Giles leżał na wznak na wąskim łóżku pod ścianą. Ciche pochrapywanie świadczyło o tym, że spał głęboko. Szurnięcie przy oknie podpowiedziało Willowi, że Maddie dołączyła do niego. Przełożyła nogi przez otwarte okno i zeskoczyła na podłogę. Will położył palec na ustach – chociaż wiedział, że nie musi jej ostrzegać – i wskazał śpiącego Gilesa. Następnie wskazał siebie, by dać znak, że to on obudzi księcia.

Maddie popatrzyła na drzwi. Na zewnątrz strażnicy zamilkli, ale może to tylko grube wrota tłumiły ich przyciszoną rozmowę. Zrobiła krok w stronę drzwi, z dłonią na rękojeści saksy, a potem skinęła głową, by dać Willowi znać, że jest gotowa.

Will odetchnął głęboko. Pomyślał, że to najtrudniejsza część planu – obudzić księcia Gilesa tak, żeby nie narobił nadmiernego hałasu. Podszedł bezgłośnie do łóżka i przyklęknął, a następnie uniósł dłoń nad otwartymi ustami księcia.

Pomyślał, że dobrze przynajmniej, że Giles śpi na plecach. Byłoby znacznie trudniej, gdyby leżał na boku, twarzą do ściany. Will przysunął się do ucha Gilesa i zacisnął mu dłoń na ustach,

przytrzymując go mocno i tłumiąc wszelkie dźwięki, jakie mógłby wydać zaskoczony książę.

Poczuł, że ciało młodzieńca zeszywniało z przerażenia, gdy Giles się obudził. Will usłyszał stłumiony pomruk, książę próbował coś powiedzieć.

– Proszę nie krzyczeć, książę Gilesie – szepnął mu Will do ucha. – Jesteśmy tutaj, żeby cię uratować. Przysyła nas twój ojciec. Spokojnie. Jesteśmy przyjaciółmi.

Widział oczy księcia, szeroko otwarte, z widocznymi białkami, wpatrujące się w niego. Jednakże młody człowiek zaczął się uspokajać, kiedy usłyszał słowa Willa.

– Rozumiesz mnie? – zapytał Will, nadal spokojnym półgłosem. – Jesteśmy przyjaciółmi. Nie rób żadnego hałasu.

Giles skinął głową na tyle, na ile był w stanie, trzymany w żelaznym uścisku. Will zobaczył, że przerażenie w oczach księcia znika, a jego ciało przestaje stawiać opór.

– Zabiorę teraz rękę – ciągnął Will cichym, kojącym tonem. – Żadnego dźwięku. Jasne?

Książę znowu skinął głową, więc Will powoli cofnął rękę, gotów w każdej chwili zacisnąć ją z powrotem. Jednakże Giles milczał – oddychał tylko szybko, spanikowany. Will skinął pokrzepiająco głową. Nadal z twarzą przy uchu Gilesa, mówił ciągle tym samym, uspokajającym tonem.

– Doskonale – powiedział. – A teraz powiem ci, co zrobimy.





Wsunął dłoń pod łopatki Gilesa i pomógł mu usiąść, a potem obrócił tak, by stopy księcia znalazły się na podłodze.

– Wyjdziemy tędy – powiedział, wskazując otwarte okno kilka metrów dalej.

Poczuł natychmiast, że ciało Gilesa sztywnieje. Młodzieniec znowu wytrzeszczył oczy.

– Nie bój się – szepnął Will. – Mamy przygotowaną linę, na której wciągniemy cię piętro wyżej. Nie musisz nic robić.

Młody książę potrząsnął głową.

– Ale ja nie mogę... – powiedział, zaś strach sprawił, że jego głos zaczął się niebezpiecznie podnosić. Will szybko zacisnął mu znowu dłoń na ustach i potrząsnął głową.

– Bądź cicho! – szepnął nagle. – Ludzie barona są za drzwiami.

Czuł, że książę odдыcha szybko, ale jego ciało przestaje być aż tak spięte. Młodzieniec popatrzył na Willa, gestem prosząc, żeby zabrał rękę. Zwiadowca zrobił to powoli, gotów w każdej chwili zacisnąć ją z powrotem, gdyby zaszła taka konieczność.

– Ale ta wysokość... – wyszeptał Giles. – Ja nie radzę sobie z wysokością.

Will poklepał go po ramieniu.

– Trzymaj oczy zamknięte, a my zajmiemy się resztą – powiedział. – Wstawaj.

Zwiadowca objął młodzieńca w pasie, postawił go na nogi i popchnął w stronę otwartego okna, przy którym czekała Maddie. Giles z wyraźnym lękiem przeszedł przez pokój i ujął dłoń

dziewczyny. Maddie przyciągnęła go do siebie i oparła o ścianę obok okna. Will odwrócił się do łóżka, szybko ściągnął narzutę, zwinął ją w rulon i przykrył kołdrą. Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu. Na pierwszy rzut oka wyglądało, jakby ktoś spał na łóżku.

– To powinno wystarczyć – powiedział do siebie, po czym dołączył do Maddie i Gilesa przy oknie.

– Musisz iść pierwszy – powiedziała Maddie. – Sama go nie wciągnę.

Will skinął głową i sięgnął za okno, by złapać wiszącą tam linę. Właśnie wtedy Giles, który uznał, że zaraz zostanie związany i pchnięty w przepaść, wyrwał się z uścisku Maddie. Pod ścianą stał nieduży stolik z lichtarzem, w którym tkwiła niezapalona świeca. Przestraszony książę wpadł na niego i zanim Maddie zdążyła zareagować, cynowy lichtarz przewrócił się, spadł ze stołu i uderzył o podłogę z brzękiem, który ich wyczulonym zmysłom wydawał się ogłuszający.

Will błyskawicznie zarzucił na Gilesa swoją pelerynę i pociągnął księcia w dół, zmuszając, by przykucnął pod oknem. Maddie zamarła pod ścianą, owijając się ciasno peleryną.

Od drzwi rozległo się chrobotanie i odsunęła się pokrywa otworu obserwacyjnego. Przez moment z zewnątrz wpadał promień światła, który zaraz zniknął, kiedy ktoś przyłożył oko do otworu.

Na szczęście okno nie znajdowało się na linii prostej od drzwi, tylko trochę z boku. Serce Maddie tłukło się o żebra. W końcu usłyszała, że pokrywa się zasuwa. Zza drzwi dobiegł głos:

– Wszystko w porządku, dalej śpi.

Odczekali kilka minut, żeby mieć pewność, że wartownicy nie będą dalej szukać źródła hałasu. Potem Will podciągnął się na parapet i zaczął wspinać.

Maddie patrzyła, jak koniec liny drga w rytmie jego ruchów. Potem lina zwiotczała, dlatego zwiadowczynie wiedziała, że Will dotarł do okna piętro wyżej. Po jakiejś minucie lina zadrgała w górę i w dół kilka razy, dając umówiony sygnał. Maddie wychyliła się przez okno, chwyciła koniec liny i szybko obwiązała nią Gilesa pod pachami. Książę jęknął, patrząc z lękiem na okno i wyobrażając sobie otwierającą się pod nim przepaść.

– Chodź – powiedziała Maddie i pociągnęła go do okna, ale on potrząsnął głową i odsunął się, mamrocząc coś pod nosem.

Maddie przysunęła mu usta do ucha i powiedziała cicho, lecz stanowczo:

– Na litość, weź się w garść. Jeśli będziesz hałasować, strażnicy wejdą tutaj i złapią nas wszystkich. Chodź już!

Giles znowu potrząsnął głową i spróbował się odsunąć od otwartego okna. W końcu Maddie straciła cierpliwość. Wyciągnęła szybko sakwę i uderzyła jej ręką w skroń Gilesa, ogłuszając go. Złapała go, gdy nogi się pod nim ugięły, i oparła o parapet, żeby nie upadł. Szarpnęła mocno linę, która naprężyła się, kiedy Will zaczął wciągać zamrozonego księcia na górę. Maddie przesunęła nogi i stopy Gilesa przez parapet, a potem obserwowała, jak wznosi się powoli, krótkimi szarpnięciami, aż w końcu zniknął jej z oczu.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim lina znowu opadła za oknem. Maddie złapała ją, obwiązała się nią pod pachami i wspięła się po ścianie wieży na najwyższe piętro. Tam Will klęczał koło Gilesa, który półprzytomnie obracał głowę.

– Co się stało? – zapytał.

Maddie ze złością potrząsnęła głową.

– Spanikował, więc musiałam go ogłuszyć. – Odetchnęła głęboko z ulgą, czując, jak napięcie, które towarzyszyło jej przez ostatnie minuty, ustępuje, a rytm uderzeń serca zwalnia. Wydostali się z komnaty Gilesa i oddalili od strażników. Teraz wystarczyło zejść na szóste piętro i opuścić go na przejście na murze.

Pomyślała, że jeśli księżę nie będzie cicho, znowu da mu w głowę.

Will postawił Gilesa na nogi. Gallijski księżę potrząsał głową i rozglądał się ze zdumieniem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Will, a Giles niepewnie skinął głową. Will poprowadził go do drzwi, podtrzymując jedną ręką pod ramię. Zatrzymał się jeszcze i przyłożył ucho do nieoheblowanych desek. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

– Dobrze – powiedział. – Droga wolna. Idź za mną i nie rób hałasu. Jeśli cokolwiek...

Nie dokończył zdania.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a wewnątrz pokoju rozjaśniło się blaskiem pochodni, kiedy do środka wpadł Lassigny i grupa

zbrojnych.

– Proszę, proszę – odezwał się baron głosem ociekającym sarkazmem. – Jak widzę, rybałt przyszedł, żeby zaśpiewać ci kołysankę.

Spojrzał błyskawicznie na Maddie, która po niewczasie chciała wyciągnąć sakwę.

– Nie rób tego! – ostrzegł ją.

Will powstrzymał ją gestem ręki.

– Daj spokój, Maddie – powiedział. Przeciwno tylu żołnierzom uzbrojonym w miecze i pałki ich dwie sakwy na nic by się zdały.

Kiedy Maddie wsunęła broń z powrotem do pochwy, baron machnął na swoich ludzi, każąc im ruszać.

– Związać ich – polecił. – Są aresztowani.

W SERII **ZWIADOWCY** ukazały się

KSIĘGA 1: RUINY GORLANU

KSIĘGA 2: PŁONĄCY MOST

KSIĘGA 3: ZIEMIA SKUTA LODEM

KSIĘGA 4: BITWA O SKANDIĘ

KSIĘGA 5: CZARNOKSIĘŻNIK Z PÓŁNOCY

KSIĘGA 6: OBLĘŻENIE MACINDAW

KSIĘGA 7: OKUP ZA ERAKA

KSIĘGA 8: KRÓLOWIE CLONMELU

KSIĘGA 9: HALT W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

KSIĘGA 10: CESARZ NIHON-JA

KSIĘGA 11: ZAGINIONE HISTORIE

KSIĘGA 12: KRÓLEWSKI ZWIADOWCA

KSIĘGA 13: KLAN CZERWONEGO LISA

KSIĘGA 14: POJEDYNEK W ARALUENIE

KSIĘGA 15: ZAGINIONY KSIĄŻĘ

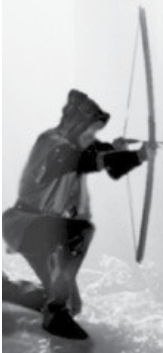
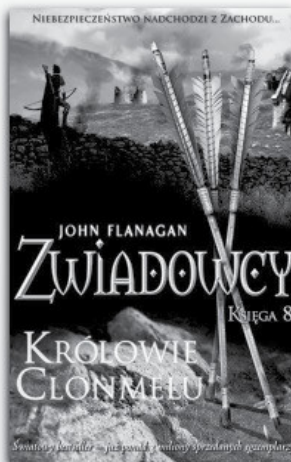
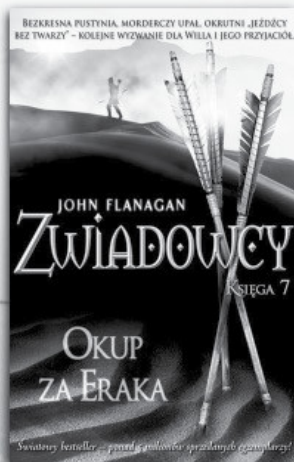
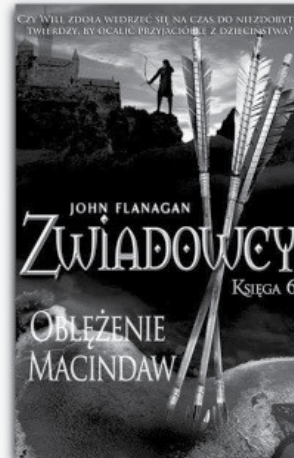
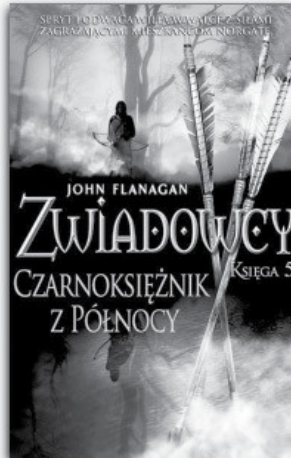
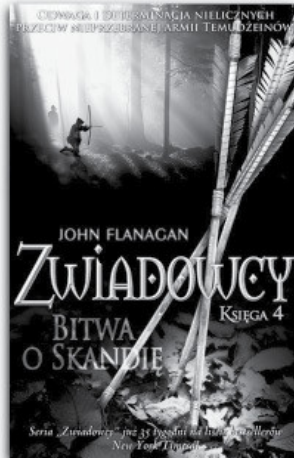
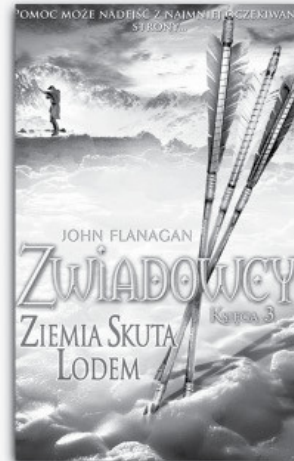
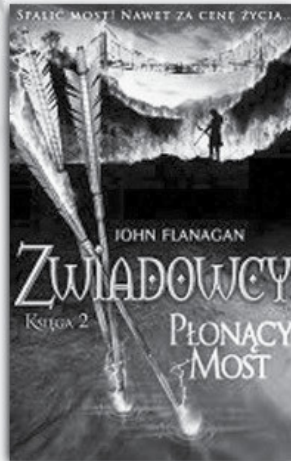
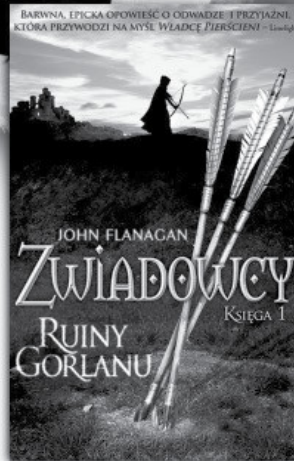
WCZESNE LATA

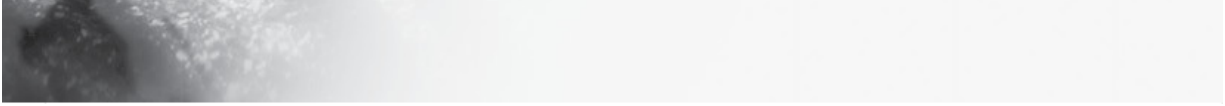
KSIĘGA 1: TURNIEJ W GORLANIE

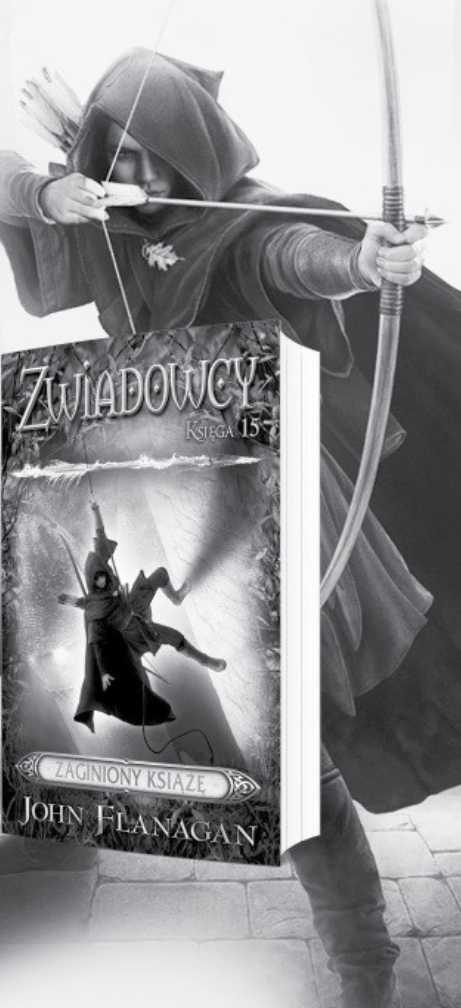
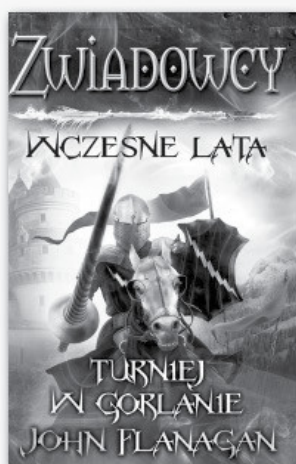
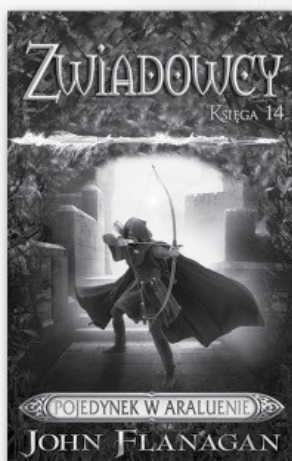
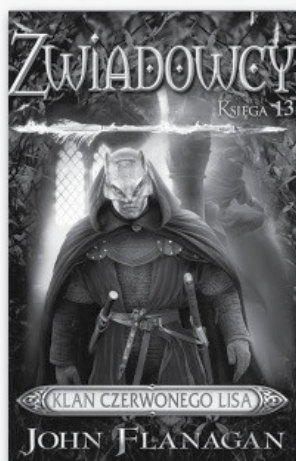
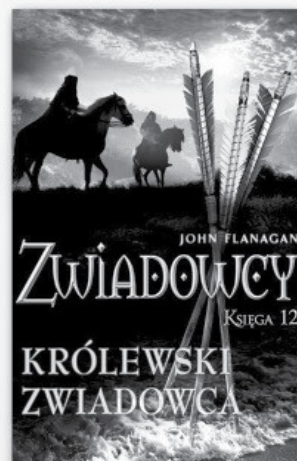
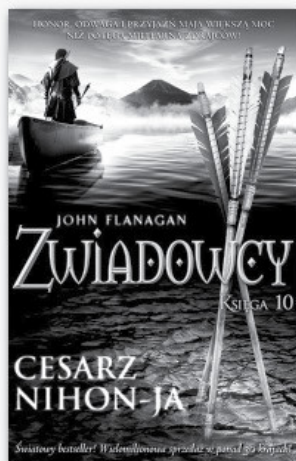
KSIĘGA 2: BITWA NA WRZOSOWISKACH



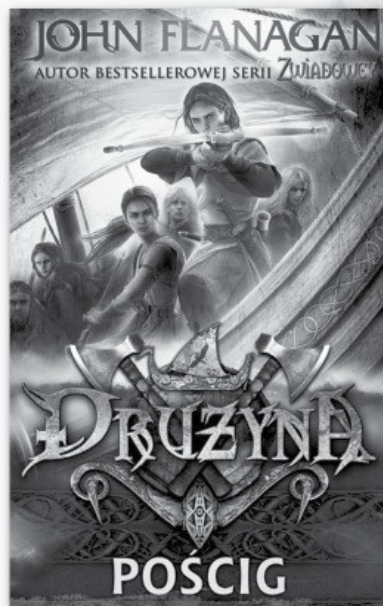
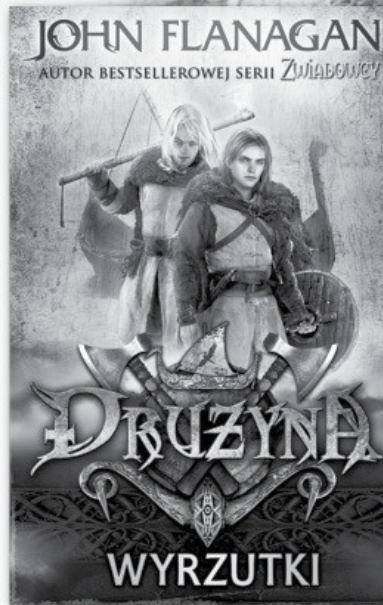
ULUBIONA SERIA FANTASY MŁODYCH CZYTELNIKÓW NA CAŁYM ŚWIECIE!











PASJONUJĄCE PRZYGODY,
PRZYJAŹŃ I ODWAGA W NOWEJ
SERII JOHNA FLANAGANA!

